

MARGINESY



EWA WYSOCKA

BARCELONA

STOLICA • POLSKI

Dlaczego Katalończycy kochają Polskę,
a Polacy Katalonię



EWA WYSOCKA

BARCELONA

STOLICA • POLSKI

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

Papa i Balesa

Jak Polak z Polakiem

Historia jednego przezwiska

Szturm jasnowłosych Polaków

Polski klan w Madrycie

Polska legenda

Do Barcelony przez Pireneje

Symbol z przypadku

Wędka, dziadek i pal

Katalońskie Mury

Dyktatury wszystkich krajów łączy się...

Łyk barcelońskiego powietrza

Pożegnanie z Europą Ignacego Jana Paderewskiego

Jedyny taki spacer Gombrowicza

Wóz transmisyjny, książki i róże

W barcelońskiej łazience zadomowił się tygrys

Kapuściński w labiryncie Ravalà

Twardy Krystian Lupa

On wciąż tu jest

Wszystko przez Brodskiego

Kochać i trenować mózg

Bolek i Lolek na katalońskich ścieżkach

Program spod Wawelu

Katalońska Jasna Góra

Bonaventura i Częstochowa

Groch z kapustą

Polski śledź w katalońskich ustach

Polski Messi

Więcej niż klub

Tęgi i klasowy przeciwnik

Jan Paweł II na Camp Nou

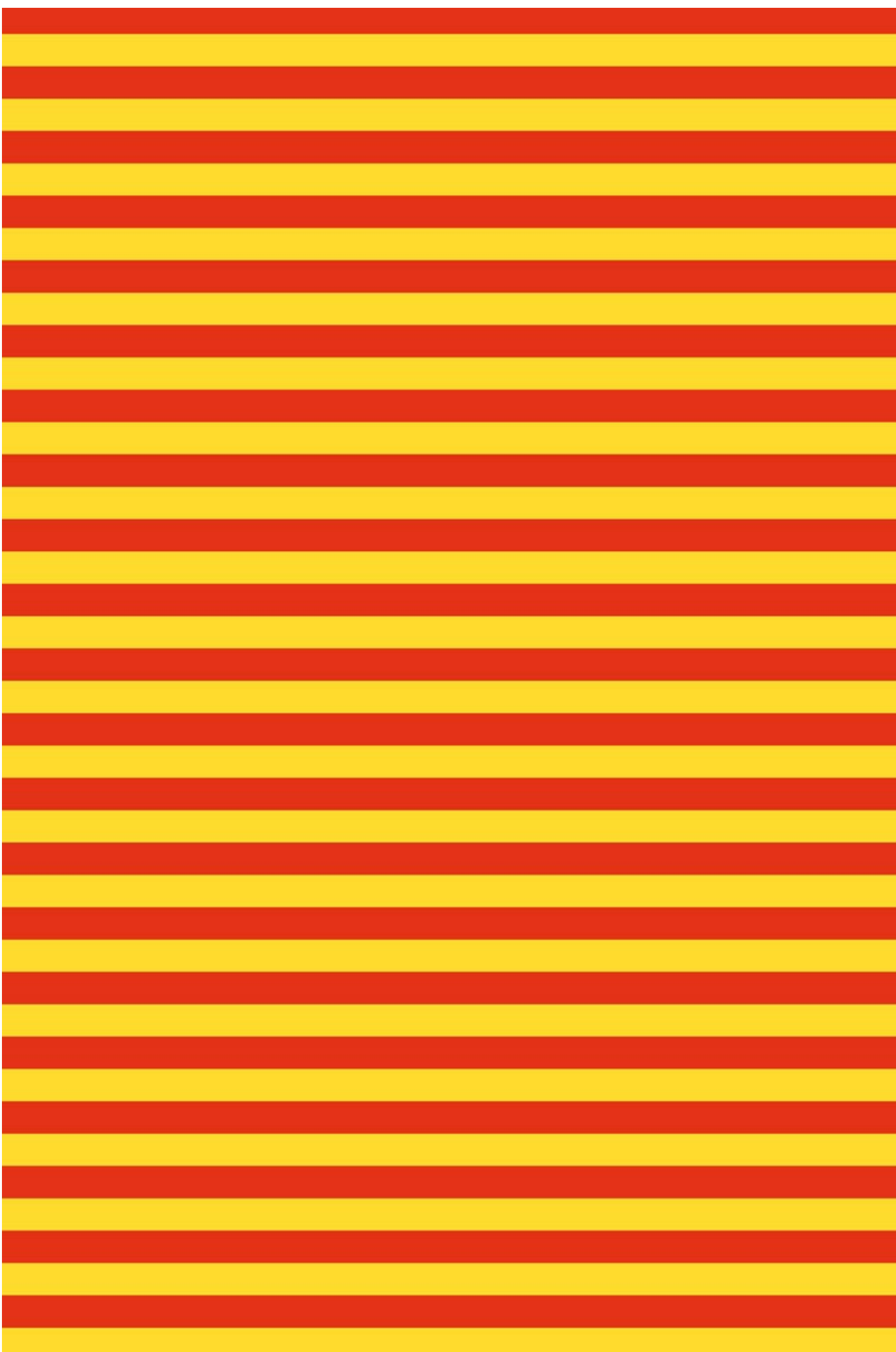
Marsz Mendelssohna na murawie

Trudne życie kibica Barçy

Barcelona taka jest...

Kroki, po krokach...

Spis fotografii



Redaktor prowadzący: MONIKA MIELKE

Konsultacja: IWONA MAŁECKA-SAYOL

Redakcja: JANINA BATORSKA

Korekta: KRYSTIAN GAIK, JADWIGA PILLER

Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne, łamanie: TO/STUDIO

Zdjęcie na okładce: © Jorg Greuel / Stone / Getty Images

Copyright © by Ewa Wysocka

Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2016

Warszawa 2016

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65282-75-0

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a,

01-540 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Coś jest na rzeczy. Dwa krańce kontynentu, my bliżej Rosji, oni – Afryki. Inne: klimat, kuchnia, trunki, bardzo różniące się języki. Jednak z jakiegoś powodu nad Starą Europą zawiesiliśmy niewidzialny most. Jego budowę chyba zaczęli oni, w XIX wieku biorąc nas za przykład narodu bez Ojczyzny, który potrafi przetrwać. W konstrukcji mostu pomogli Hiszpanie, wychwalając uczestników Powstania Styczniowego, płacząc nad ich losem, a potem przestrzegając, że własny kraj – jeśli się nie opamięta i nie przestanie kłócić – może spotkać to samo nieszczęście, co nas. Rzadko się zdarza, by ci, którzy byli najeźdźcami – a tak przecież było z Polakami ślepo przemierzającymi Europę za Napoleonem – zostali obdarzeni sympatią. Na Francuzów do dziś kręcą nosem.

W XX wieku niewidzialne przymierze mogłoby bez przeszkód przestać istnieć. No bo i po co ono komu? Polska odzyskała niepodległość, Katalonia poszła swoją drogą ku republice. Potem jedni i drudzy wpadliśmy w zastawione sidła, my – w niemieckie i sowieckie, oni – w generała Franco. Podzieliły nas mury i kurtyny i bardzo różne ustroje. Choć, jeśli byśmy się przyjrzeni, to przekonalibyśmy się, że oba reżimy miały bardzo dużo wspólnego. Od podobnej estetyki po chorobliwą konieczność kontroli, lęk przed wolnością i inteligencją człowieka.

Jednak to właśnie w czasach Franco „bycie Polakiem” nabrało w Barcelonie wyjątkowego znaczenia. Najpierw pejoratywnego, nadanego z zewnątrz przez mieszkańców innych regionów – miało ośmieszać. Jednak Katalończycy ze swoim nieco przytłumionym, śródziemnomorskim temperamentem, zamiast odwracać się do nas plecami i wstydzić się, że w całej Hiszpanii przezywają ich „Polakami”, otworzyli przed nami ramiona. Przyjęli jak swoich i zaadoptowali. Więcej – wykorzystali i wykorzystują nadane im słowiańskie pochodzenie. Polski tu jest na pęczki. I od lat ta katalońska, lokalna, miesza się z naszą, przyjezdną. I nie są to mieszanki ciężkostrawne. Polskie tytuły mają programy telewizyjne i książki. I mimo innych korzeni wzajemnie otwieramy się na nasze kultury i uzupełniamy. My płaczemy nad *Wyznaje* Jaume Cabrégo, a oni zrywają boki, czytając opowiadania Sławomira Mrożka. Nam smakuje salsa *romesco*, a oni w nowo otwartym polskim barze uczą się jeść śledzie i ruskie pierogi.



Trzeba przyznać – a nie jest to częste – w Barcelonie we wzajemnym poznaniu pomagają oficjalne instytucje. Najpierw, przed laty, rolę tę pełnił podlegający londyńskiemu rządowi barceloński Konsulat Honorowy, którego istnieniem ani patriotyczną działalnością nie była zainteresowana ludowa władza. A teraz – polski Konsulat Generalny. Jego przedstawiciele rozumieją, że w Barcelonie – kulturowej wieży Babel – nie można działalności ograniczać tylko do – jakże potrzebnych – typowych usług konsularnych. Dlatego od lat Konsulat dba o polską i katalońską kulturę. Stał się przyjaznym mostem między Polonią, Polską i Katalonią.

We wzajemnym poznaniu pomagają polsko-katalońskie stowarzyszenia kulturalne, które prowadzą szkółki niedzielne i uczą naszego języka, również Katalończyków. Powstały niedawno pod Gironą Can Clos to ogromny, ekologiczny ogród, a przy okazji polsko-katalońskie centrum kultury. Od lat działająca katalońska Fundacja Itaca – nazwę wzięła od słynnej piosenki Lluisa Llach. To dzięki niej do Barcelony zawitała radiowa Trójka, a niedawno – Zespół Reprezentacyjny. W Barcelonie i okolicach pracownie mają polscy artyści, na przykład malarz Piotr Perski – wykładowca, który wystawiał w wielu miastach świata, między innymi w Nowym Jorku.

Stara Europa się kurczy. Jesteśmy coraz bliżej i polską Barcelonę od innych polskich miast – Gdańską, Wrocławia, Poznania – oddziela teraz niewiele więcej czasu przelotu

samolotem niż trwa przejazd koleją z Warszawy do Krakowa. W Polsce nad Llobregat mieszka coraz więcej Polaków znad Wisły. A ci z Półwyspu Iberyjskiego coraz odważniej pokonują kontynent, żeby studiować, pracować, mieszkać na ziemiach dalekich kuzynów. Choć wciąż przeraża ich klimat... karp... i kiszona kapusta.





PAPA I BALESA

Koniec lat dziewięćdziesiątych – ależ to były czasy! Szybko się nauczyłam, że zwykłe wejście do jednego z tysięcy barcelońskich barów na małą czarną może nie tylko się przedłużyć, ale też zamienić w minikonferencję prasową. Wystarczyło bowiem, że na pytanie barmana: „Skąd jesteś?” odpowiadałam: „z Polski”, a od razu widziałam rozpromienioną twarz. No bo jak się tu nie cieszyć, kiedy przed Katalończykiem staje jego rodaczka z dalekiego kraju? Od wieków bowiem mieszkańcy Katalonii są w Hiszpanii nazywani „Polakami” i do tych prawdziwych, z Polski, żywią wyjątkowy sentyment. Dlatego często, kiedy przychodziło do płacenia, słyszałam: *Invita la casa*, czyli „na nasz koszt”. Dalekiego krewnego trzeba przecież ugościć. A w dodatku nie najbogatszego krewnego, który przyjechał z kraju przez długie lata oddzielonego żelazną kurtyną.

Wtedy jednak właściciele barów mogli sobie na taki gest pozwolić. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych w całej Katalonii było zameldowanych niespełna trzysta pięćdziesięcioro Polaków, z których ponad połowa mieszkała w Barcelonie. Wówczas spotkanie Katalończyka-Polaka z Polakiem-Polakiem było towarzyskim rarytasem i, jak na prawdziwych Polaków przystało, kończyło się długą rozmową o polityce i naprawianiu świata.

Dla Katalończyków byliśmy i jesteśmy daleką rodziną, z której są bardzo dumni. Chwalą nas za to, że nie ulegliśmy Rosji – tej carskiej, a potem tej niecarskiej, nie poddaliśmy się Niemcom, a wreszcie daliśmy przykład Europie: stawiliśmy czoło czerwonej Moskwie i niemal bez rozlewu krwi obaliliśmy komunizm. A do tego – podobnie jak kuzyni z Półwyspu Iberyjskiego – jesteśmy krnąbrni, solidarni, uparci, lubimy dobrze zjeść i wypić i jeśli trzeba, znajdziemy wyjście z każdej sytuacji.

Bardzo szybko jednak przychodziło się przekonać, że nasi katalońscy krewni mają o nas mgliste pojęcie. Wiedzieli, że jesteśmy „stamtąd” – czyli z dawnej Europy Wschodniej – ale kompletnie nie znali naszej historii, a przede wszystkim czasów żelaznej kurtyny.

Wydarzenia w barze zwykle przebiegały według takiego samego scenariusza. Najpierw na cały lokal rozbrzmiewało *Una polaca!* (po hiszpańsku jest to pisane małą literą), po czym barman albo któryś z klientów opartych o ladę zagajał rozmowę. Na początku zwykle słyszałam te same dwa słowa: *papa* i „Balesa” – co miało oznaczać: „papież Jan Paweł II” i „Lech Wałęsa” – których Katalończycy rozpoznawali wtedy bez chwili zastanowienia. Zaraz potem padały pytania na temat kraju – mało celne, ale zadawane z trudnym dziś do odtworzenia zainteresowaniem: „Wciąż macie komunizm?”, „Czy w Polsce jest Syberia?”, „W jakim języku mówi się w Polsce?”. Wtedy, czyli pod koniec lat dziewięćdziesiątych, Polska była dla zdecydowanej większości Katalończyków dalekim krajem gdzieś na obrzeżach Europy, który należy do sowieckiej Rosji, wszystko jest w nim szare, po ulicach

chodzą smutni ludzie i ciągle leży tam śnieg.

Najtrudniejszym typem rozmówców byli komuniści teoretycy. Tacy, którzy nigdy w życiu nie przekroczyli granicy żadnego z państw bloku wschodniego, ale byli przekonani, że wiedzą o systemie socjalistycznym więcej niż którykolwiek z jego mieszkańców. Równocześnie mieli głęboką potrzebę przekazania swojej wiedzy, a rozmówca – nawet ten pochodzący zza nieistniejącej już żelaznej kurtyny – był im potrzebny tylko jako słuchacz. „Na przykład Józef Stalin, on nie był wcale taki zły – zapewniał jeden nich. – Gębę przyprawiła mu Ameryka. Ale gdyby nie on, to kapitaliści weszliby wam wszystkim na głowę. Tak jak nam” – kontynuował z przekonaniem. Dydaktyczny monolog komunisty amatora kończył się zwykle przestrogą przed ekspansywną polityką „kapitalistycznych świń”. A kiedy komunista teoretyk już ponapawał się tembrem własnego głosu podczas wygłaszania kolejnych mądrości i w końcu tracił wenę, zwykle ogarniała go nostalgia i przyznawał, że nie jest w stanie pojąć, dlaczego dobrowolnie pozbyliśmy się ustroju, o którym oni wszyscy przez dziesięciolecia marzyli. W pamięci utkwił mi młody, dwudziestokilkuletni chłopak z wpiętym w klapę marynarki wizerunkiem Lenina. Był zadziorny i nieustępliwy. Wyjątkowo dużo wiedział o Polsce. Interesowała go nasza historia, pytał o szczegóły śmierci generała Świerczewskiego, o katastrofę lotniczą na Gibraltarze i chciał wiedzieć, kto finansował Solidarność. A kiedy wykrzyczał, co miał wykrzyzczeć, i kilka razy walnął pięścią w stół, rozplakał się, mówiąc: „Powiedz prawdę, dlaczego wam się nie udało (w domyśle: pokochać komunizmu)? Tak bardzo na was liczyliśmy”.

Częściej jednak Polską interesowali się Katalończycy, którzy wiedzieli, że nasz poprzedni ustrój był zły. Podejrzewali jednak, że niewiele lepsi od ustroju byli sami mieszkańcy krajów Europy Wschodniej. Bo czego można oczekiwać od zastraszonych ludzi, którym Moskwa pomieszała w głowach? Jednak ciekawość brała górę nad obawą, że jestem z KGB. Najbardziej interesowały ich tematy dotyczące spraw ustrojowych i kwestie językowe. Jednak każda odpowiedź – bez względu na jej treść – była przyjmowana z takim samym niedowierzaniem. „Macie własny język? To ciekawe. A przypadkiem nie brzmi jak rosyjski? Niiieee? A jak jest po polsku *na zdrowie*?” (Katalończycy chętnie wnoszą ten rosyjski toast). Trudno się dziwić, że po otrzymaniu odpowiedzi patrzyli z powątpiewaniem i z politowaniem kiwali głowami. A w ich oczach można było przeczytać: „Biedny naród, zaledwie litera różnicy, a już myślą, że mówią po polsku”. Podczas jednej z takich rozmów elokwencją chciała się popisać pani siedząca przy sąsiednim stoiku: „W Polsce mówi się po polsku. Wiem coś o tym, bo trochę znam niemiecki. A to takie podobne języki” – przekonywała zebranych.



Dla mieszkańców regionu trudny do określenia był wtedy nie tylko polski język i ustrój – ten dawny i ten obecny. Równie źle szło Katalończykom z lokalizacją Polski na mapie.

Kilka razy zapytano mnie: „Warszawa leży na wschód czy na zachód od Moskwy”. A kiedy wybuchła wojna w Jugosławii, ze współczuciem składano Polakom kondolencje. W odpowiedzi na wyjaśnienie, że to nie w Polsce walczą, słyszałam: „A jaka to różnica?”. Wtedy Europa Środkowa czy wybrzeże Adriatyku niewiele się dla Katalończyków różniły.

Pamiętam kłótnię w barcelońskim oddziale Cadena SER – największej i jednej z najpopularniejszych hiszpańskich rozgłośni radiowych. Nie miałam jeszcze w domu łącza ISDN i życzliwi technicy i dziennikarze wypożyczali mi od czasu do czasu studio. Pewnego dnia któryś z nich – na wzór scenariusza z baru – zaczepnie rzucił: „A co wy tam macie w tej twojej Polsce?”. Kiedy odpowiedziałam, że góry i morze, usłyszałam gromki śmiech. Morze w Polsce? To dopiero dowcip. Na nic się zdały moje przekonywania. Wszystkie argumenty kwitowano tak samo: „Przecież wiemy, gdzie leży Polska i tam morza nie ma, chyba że masz na myśli duże jezioro”. Spór zakończył dziennikarz, który znalazł w kalendarzyku mapę Europy. Okazało się, że katalońscy radiowcy pomylili nasz kraj z Węgrami, a Bałtyk z Balatonem.

Jednak trudno im się dziwić. Żelazna kurtyna była dla Hiszpanów wyjątkowo szczelna. Naszą – przy tamtej – porównać można do żelaznej firanki. Poznawaliśmy przecież w szkołach historię, literaturę i geografię kapitalistycznej części świata. Wpajano w nas jedynie – bardzo nieskutecznie – wiedzę o ciemnych stronach tamtego „zdradliwego” systemu. Tymczasem w Hiszpanii aż do końca lat siedemdziesiątych – czyli do zakończenia dyktatury generała Franco – tematy związane z Europą Wschodnią całkowicie pomijano w szkolnych programach. Również epoki sprzed wystrzału z „Aurory”. Hiszpańscy uczniowie do dzisiaj nie wiedzą, kim byli Puszkina i Tołstoj. Ciągłe też kuleje znajomość mapy. W czasach dyktatury w hiszpańskich podręcznikach nasza część Europy była zaznaczona jedynie wielką, czerwoną plamą bez podziału na granice. Nie nanoszono na nią nawet stolic. Niczego o tej części świata nie uczono, za to zawsze, kiedy tylko nadarzała się okazja, straszono nami. Uczniowie wiedzieli, że gdzieś pod tym czerwonym konturem leży mroźna Syberia, a stolicą imperium jest Moskwa – miasto, w którym wszyscy noszą futrzane czapy. Wpajano im do głów, że na tych niegościnnych ziemiach żyją żądni krwi mieszkańców Zachodu komuniści. No i niedźwiedzie. Oba gatunki równie niebezpieczne.

Tematy związane z wrogą Europą Wschodnią rzadko gościły też na łamach gazet, w radiu i telewizji. Ówczesna władza obawiała się zgubnego wpływu, jaki komunizm mógłby wywrzeć na hiszpańskich robotników, nauczycieli i artystów – czyli potencjalnych republikanów, z których wielu przed wybuchem wojny domowej otarło się o anarchizm, by potem, w czasach skrajnie prawicowej dyktatury, idealizować komunizm. Przez lata reżimu mieszkańcy Katalonii, Aragonii czy Kantabrii byli karmieni informacjami o braku podstawowych wolności obywatelskich w krajach bloku wschodniego.

Nikt nie uwierzyłby, że w polskiej telewizji puszczano serial *Ja, Klaudiusz*, a w kinach można było bez przeszkód obejrzeć *Love story* i *Przeminęło z wiatrem* – film, który najpierw okroiła cenzura, a potem zakazał go w Hiszpanii Kościół – czy kupić książkę

któregoś z zachodnich lub iberoamerykańskich autorów. W powszechnym wyobrażeniu byliśmy narodem zniewolonym i całkowicie podporządkowanym Wielkiemu Bratu, krajem, w którym kultura jest okrojona wyłącznie do sowieckiego kina i literatury. Do czytelników ówczesnych gazet przeciekały tylko kontrolowane przez reżim informacje. Kiedy umarł Nikita Chruszczow, wychodzący do dzisiaj dziennik „ABC” opublikował na okładce wielkie zdjęcie polityka, a w środku – w artykule informującym o jego śmierci – widniało: „Skończył z mitem Stalina, zbudował mur berliński i pogrzebał Węgry. Ktoś kiedyś napisze całą prawdę o tej postaci rodem z Dostojewskiego”.

Nastawienie hiszpańskiego społeczeństwa zaczęło się zmieniać po powstaniu Solidarności i obaleniu muru berlińskiego. Krótco po rozpoczęciu strajku w Stoczni Gdańskiej stawiała się nawet reprezentacja katalońskich anarchistów z propozycją pomocy, ale im podziękowano. I to nie była zła decyzja. Jednak nawet te wydarzenia nie zmieniły przyzwyczajień Hiszpanów. Jeszcze na początku XXI wieku w prognozie pogody emitowanej w hiszpańskich dziennikach telewizyjnych mapa Europy kończyła się na Berlinie. Dalej ani nie świeciło słońce, ani nie padał deszcz. Teraz to się zmieniło. Zdarza się, że w katalońskich mediach Polska jest punktem orientacyjnym. Niedawno (koniec lutego 2016 roku) w popularnym katalońskim radiu RAC1 tłumaczono, jak zlokalizować na mapie Litwę: „To jest mały kraj od południa sąsiadujący z Polską, naszą drugą Ojczyzną” – wyjaśniał prowadzący audycję.

Przez lata lęk Hiszpanów i Katalończyków przed mieszkańcami naszego dawnego bloku – czyli przed nami – można by porównać do psychozy. Kiedy pod koniec lat 90. – a więc w kilka lat po Okrągłym Stole i upadku ZSRR i na krótko przed wejściem Polski do Unii Europejskiej – do Warszawy wybierała się delegacja radnych z niewielkiego katalońskiego miasteczka, jeden z jej członków przed wyjazdem spisał testament. Był przerażony i wszystkim opowiadał, że udaje się w podróż wysokiego ryzyka, podczas której, nawet jeśli nie zabiją go komuniści (fakt zmiany systemu w Polsce nie był dla niego przekonywającym argumentem), to zamarznie na śmierć. Przeżył. Choć po powrocie zapewniał, że kilka razy było mu zimno. Przyznał też, że mimo niskich temperatur często robiło mu się gorąco, jednak nie z lęku, tylko z wrażeń. Nie mógł wyjść z podziwu, jak to możliwe, że po ulicach polskich – jeszcze niedawno komunistycznych – miast jeżdżą takie same jak w Hiszpanii samochody, w sklepach jest wiele podobnych towarów, no i na każdym kroku można spotkać uśmiechniętych ludzi – a przecież mieli być smutni i zastraszeni.

Podróż obaliła też jego przekonanie o Polsce jako o kraju policyjnym. Stróża prawa nie stali na każdym rogu ulicy i co kwadrans nie było słyhać radiowozów na sygnale. Jednak największym zaskoczeniem dla całej delegacji okazał się zakaz palenia papierosów na peronach warszawskiego Dworca Centralnego. Wtedy w Katalonii wprawdzie już nie można było palić w salach kinowych ani na szpitalnych łóżkach (pod koniec lat osiemdziesiątych jeszcze było to dozwolone), ale popielniczki wciąż stały na sklepowych ladach. Palili sprzedawcy i kupujący. Na korytarzach publicznych szkół średnich (bo w

podstawowych jednak nie, jak również w katolickich – jak mnie niedawno przekonywano) palili uczniowie i nauczyciele, ci ostatni również podczas lekcji. Palili nawet lekarze w ośrodkach zdrowia, kiedy przyjmowali pacjentów, deputowani na sesji plenarnej, sędziowie podczas rozpraw. Przez długie lata papieros był w Hiszpanii symbolem postępu i odzyskanej wolności. Sztruksowe spodnie, marynarka i paczka papierosów Ducados były atrybutami tych, którzy sprzeciwiali się Franco. Potem, w ramach walki o swoje prawa, po papierosy sięgnęły kobiety, wyjątkowo źle traktowane przez dyktaturę. W czasach generała Franco panie bez pisemnej zgody męża nie mogły posłać dziecka do szkoły, iść do pracy czy otworzyć konta bankowego. Nie mówiąc o rozwodzie – tych w ogóle nie było. Wprowadził je dopiero w 1981 roku prawicowy rząd Adolfo Suareza. W ostatnich latach reżimu najbardziej zbuntowane zaczęły palić na ulicy, narażając się na krytykę, a nawet agresję ze strony bardziej tradycyjnych koleżanek. W czasach dyktatury ten „przywilej” miały jedynie prostytutki. Ówczesni *progres*, czyli postępowe rodziny, przy okazji świąt i uroczystości – w ramach wprowadzania do domów nowoczesności – dawali pociągnąć kilka dymków kilkuletnim dzieciom. Dlatego zakaz palenia – palenia! – na największym polskim dworcu był dla członków katalońskiej delegacji kompletną abstrakcją, którą znajomy radny uznał nie za przejaw postępu i próbę ochrony zdrowia (wtedy jeszcze w zbiorowej katalońskiej świadomości papierosy nie szkodziły), tylko za pozostałość po ucisku komunistycznym.





• Przyjaźń polsko-katalońska.

Czasy się zmieniły. Dzisiaj, według Konsulatu Generalnego RP w Barcelonie, w Katalonii mieszka dwanaście tysięcy Polaków, z czego prawie połowa z nich w stolicy regionu i barcelońskiej metropolii. Są wśród nich wykładowcy uniwersyteccy, tłumacze, lekarze, artyści, dobrze prosperujący biznesmeni, sprzedawcy, kelnerzy, spawacze – swego czasu bardzo poszukiwany zawód – robotnicy budowlani, studenci, naukowcy. W stolicy Katalonii działają polskie sklepy i galerie, stowarzyszenia kulturalne, szkoły sobotnie i parafia rzymskokatolicka. W podtrzymywaniu sympatii pomagają też fakt, że barcelończycy nie patrzą na nas przez pryzmat naszych rodaków, którzy szukając zarobku, sprzedawali sery i kiszoną kapustę z rozłożonych na chodnikach gazet. Ci bowiem nigdy do Katalonii nie dotarli. Za daleko, a do tego Hiszpania dopiero jako jeden z ostatnich krajów w Europie pozwoliła Polakom podróżować bez wiz. Na pracę mogli liczyć jedynie

władający językiem. Trzeba pamiętać, że mieszkańcy Półwyspu Iberyjskiego, zwłaszcza ci po czterdziestce, rzadko posługują się językiem obcym. Dlatego znajomość angielskiego nie była i nie jest wystarczającą przepustką do znalezienia zajęcia. Nawet do winobrania czy zbierania pomarańczy najchętniej zatrudniane są osoby chociaż trochę mówiące po hiszpańsku, a jeszcze lepiej – po katalońsku.

Miało to też swoje dobre strony. Zamiast kojarzyć nas z handlarzami, przez lata Katalończycy łączyli Polaków z Wałęsą i papieżem. Teraz lista naszych znanych rodaków coraz bardziej się wydłuża: o Polańskiego, Kantora, Kubicę, Mrożka, Wajdę, Krychowiaka, Gombrowicza, Lupę czy Lewandowskiego. W katalońskiej Polsce powstała mała Polska znad Wisły, która dobrze sobie radzi i prosperuje.



JAK POLAK Z POLAKIEM

Katalończyków nazywa się w Hiszpanii „Polakami”. Miano to nie zostało im nadane z konkretnego powodu, ale jest wypadkową wielu wydarzeń, do których doszło na przestrzeni co najmniej dwustu lat. W zależności od miejsca i daty *el polaco* brzmiało bohatersko, przyjaźnie albo pogardliwie. Wręcz obelżywe zabarwienie miało po wojnie domowej, podczas dyktatury generała Francisco Franco. Wtedy nadużywali go frankiści, wojskowi i falangiści, czyli członkowie partii popierającej reżim, jedynej, jaka istniała w Hiszpanii w czasie dyktatury.

Dla generała Franco i jego idei Wielkiej i Niepodzielnej Hiszpanii wszystkie mniejszości i odrębności były przeszkodami na drodze do stworzenia narodowego monolitu. A używający swojego języka, uparci Katalończycy – największą z nich. Dlatego zakazano im mówić własnym językiem i tańczyć sardanę – narodowy taniec, zdecydowanie bliższy tyrolskiemu „wiatraczkowi” niż andaluzyjskiemu flamenco. Wtedy też porównywanie Katalończyków do Polaków brzmiało wyjątkowo pejoratywnie, a nawet obraźliwie, bo *el polaco* miało poniżyć i wytknąć nie lubiane przez reżim odrębności.

Najdotkliwiej skutki owego przezwiska odczuwali katalońscy rekruci odbywający zasadniczą służbę wojskową. Wszyscy byli „Polakami”, za co często „nagradzano” ich dodatkową musztrą i wyzwiskami. Do dzisiaj obrywają też katalońscy politycy. Wciąż mówi się w Hiszpanii, że kiedy Katalończycy przekraczają próg Kortezów – centralnego parlamentu – to na ich cześć puszczane są Etiudy Chopina.

O Polakach – tych znad Llobregat, nie znad Wisły – z uszczypliwością przypominają znane niekatalońskie osobistości. Na przykład w 1993 roku ówczesny prezes Realu Madryt, Ramón Mendoza. Jego zawodnicy – „królewscy” – pokonali FC Barcelonę na Camp Nou i zdobyli Superpuchar Hiszpanii. Kiedy ich samolot wylądował w Madrycie, do czekających na lotnisku i podskakujących ze szczęścia kibiców prezes radośnie krzyknął: „Skaczcie, skaczcie, tylko Polacy nie skaczą!”. Pierwowzór tego okrzyku z antyfrankistowskiej manifestacji brzmi: „Jeden podskok, dwa podskoki, ten faszystą, kto nie skacze!” (*Un bote, dos botes, fascista el que no bote*). Podczas innego meczu, dzięki któremu klub FC Barcelona wygrał ligę, komentator publicznej telewizji hiszpańskiej zauważył, że jak zwykle na stadionie Camp Nou powiewa tysiące katalońskich flag. „A gdzie są hiszpańskie flagi? Chyba nie ma ani jednej” – przyznał. Po czym dodał: „To zaskakujące, bo przecież ciągle jesteśmy w Hiszpanii. A może już nie? A może już jesteśmy w Polsce?”.



Przewrotni mieszkańcy regionu zamiast bronić się przed przypisywaniem im słowiańskich korzeni, przekuli przezwisko na własną korzyść. Wektor – z ujemnego na dodatni – zaczął

zmieniać kataloński pisarz, Manuel Vázquez Montalbán, autor przetłumaczonych na kilkanaście języków, również na język polski, przygód prywatnego detektywa Pepe Carvalho. W 1996 roku pisarz wydał książkę o intrygującym tytule *Un polaco en la corte del Rey Juan Carlos* (Polak na dworze Króla Juana Carlosa). Tytuł przewrotny, bo owym Polakiem był on sam. Publikacja jest zbiorem trzydziestu wywiadów, które Vázquez Montalbán przeprowadził podczas kilkumiesięcznego pobytu w Madrycie.

Był to wyjątkowo interesujący moment, bo po prawie piętnastu latach władzę tracili socjaliści i premier Felipe González, a przejmował ją prawicowy rząd Partii Ludowej (PP) i José María Aznar. Gabinet, który nie mógłby powstać bez poparcia nacjonalistów katalońskich (CiU). Na jednej z pierwszych stron Montalbán informuje: „W Polsce Convergència i Unió trzyma się dobrze”.

„Przed wyjazdem do Madrytu chciałem spotkać się z premierem Polski [Jordim Pujolem, liderem katalońskiego rządu], ale nie miał dla mnie czasu” – obwieszczał autor. Aby nikt nie miał wątpliwości, że nie pomylił się, przypisując sobie i wszystkim Katalończykom wschodnioeuropejski rodowód, w liczącej prawie sześćset stron książce pisarz niemal bez wyjątku zastąpił słowo *catalán* określeniem *polaco*. Używa go kilkaset razy (naliczyłam trzysta siedemdziesiąt, a nie doszłam do końca książki). „Czy jestem Polakiem?” – pyta. I kilka wersów niżej odpowiada sobie: „Tak, jestem Polakiem”. A podsumowując swój długi pobyt w Madrycie, obwieszcza wszem wobec, że Polacy pozostaną wybranym narodem „jako w Niebie, tak i na Ziemi”.

Po publikacji – nietypowej jak na autora – w prasie, wraz z recenzjami zaroilo się od Polski i Polaków. Legendę dalekiego kraju z drugiego krańca Europy pomagał podtrzymywać sam Vázquez Montalbán, który w wywiadach konsekwentnie podkreślał, że jest obywatelem naszego kraju. „Tak, to prawda” – zapewniał dziennikarza „El País”. Dlatego bardzo szybko zauważono, że książka, oprócz niewątpliwie interesującej treści, ma też wydźwięk edukacyjno-moralny i jest prztyczkiem w nos dla wszystkich tych, którzy przez lata chcieli uwłaczać Katalończykom. „Vázquez Montalbán udowodnił, że przezwisko, które od dawna nam towarzyszy, nie jest żadną uszczypliwą łatką, tylko elegancką polską etykietką” – podsumował kataloński dziennikarz.

Tropem pisarza poszli inni. Wkrótce w katalońskiej telewizji pojawiły się programy o polskich nazwach i opublikowano kolejne „polskie” książki. Bycie Polakiem stało się atutem, który przejęli mieszkańcy regionu. I tak jest do dziś. Kioskarka z Barcelony, obok dawnego Międzynarodowego Centrum Prasowego (niestety, zamkniętego podczas kryzysu), niezdecydowanym klientom zawsze zadawała to samo pytanie: „Prasa polska czy zagraniczna?”, mając na myśli gazety wydawane w Katalonii albo w Madrycie. A kiedy w innym kiosku zapytałam kiedyś o jakąś polską gazetę, usłyszałam: „Mówisz o Polsce stamtąd czy stąd?”.



HISTORIA JEDNEGO PRZEZWISKA

Bliskie nam przezwisko nie wzięło się z niczego. Mnożą się teorie, dotyczące jego historii i etymologii. Jedni zapewniają, że o przyklejeniu Katalończykom „polskiej łatki” zadecydował zupełny przypadek. Krnąbrni mieszkańcy regionu od wieków podkreślali swoją odmienność. Nie chcieli przynależeć do Korony Hiszpańskiej, mówili własnym językiem i dbali o własną kulturę, tradycję i obyczaje. Byli inni i lubili to akcentować. A w dodatku porozumiewali się w języku niezrozumiałym dla pozostałych i kojarzonym z odległymi, wręcz egzotycznymi ładami. Równie dobrze można byłoby nazwać ich „Duńczykami” albo „Holendrami”, ale padło na nas.

Inni twierdzą, że w XVII wieku przezwisko niechcący nadali Katalończykom polscy marynarze. Korona Hiszpańska utrzymywała wtedy stosunki handlowe z Rzeczpospolitą. Dużo informacji na ten temat przetrwało dzięki listom ówczesnych hiszpańskich dyplomatów. Wymiana handlowa z Gdańskiem, jak również z innymi miastami hanzeatyckimi, rozkwitła już za czasów Stefana Batorego i była na tyle rozwinięta, że w XVI wieku Hiszpanie planowali nawet założyć na Morzu Bałtyckim punkt przeładunkowy dla swoich galeonów. A kiedy ich kraj dotknął nieurodzaj, chcieli opróżnić nadwiślańskie spichrze i wykupić cały zapas zboża w Polsce. Skończyło się jednak na zamyśle. A dobrze prosperujący handel przestał się rozwijać w 1655 roku wraz z potopem szwedzkim.

Jednak przez dziesięciolecia Hiszpania sprowadzała z Polski nie tylko zboża, ale też len, konopie, a przede wszystkim drewno. Mało kto wie, że przyczyniliśmy się do zorganizowania wypraw do Indii i podboju obu Ameryk. W czasach wielkich podróżników i konkwistadorów z polskich bali sosnowych budowano maszty ówczesnych galeonów, na których *Gran Armada* – królewska marynarka wojenna – podbijała nowo odkryte lądy i którymi transportowała na Półwysep Iberyjski złoto i kosztowności. Zdaniem ówczesnych konstruktorów galeonów polskie bale sosnowe – długie i proste – najlepiej ze wszystkich nadawały się do wyrabiania masztów. „Pnie były tak długie, że do transportu każdego trzeba było używać dziesięciu koni” – napisał pod koniec XVII wieku służący we *Flota de Indias*, czyli flotyli pływającej do Ameryki i Indii, żołnierz i marynarz José Antonio de Gaztañeta e Iturribalzaga. Jego rękopis *Arte de fabricar reales* (Sztuka budowania statków pływających pod królewską banderą) do dzisiaj jest ważnym źródłem informacji. Przetrwał nawet oryginał, przechowywany w Muzeum Morskim w Madrycie. Gaztañeta odbył kilkanaście podróży do Nowego Świata, pierwszą – mając niespełna dwanaście lat.

Według zachowanych do naszych czasów przekazów polskie towary transportowano z Gdańska do Barcelony. Tam na statki zaciągali się katalońscy marynarze, którzy razem z Polakami płynęli na południe, wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego. Ich docelowym portem zwykle był Kadyks. Kontaktując się z handlarzami drewnem, mieszkańcy Andaluzji słuchali mieszaniny dwóch dziwnych języków i zaczęli utożsamiać Katalończyków z

Polakami. Zgodnie z ową teorią to właśnie oni zaczęli nazywać mieszkańców Barcelony i okolic *los polacos*.

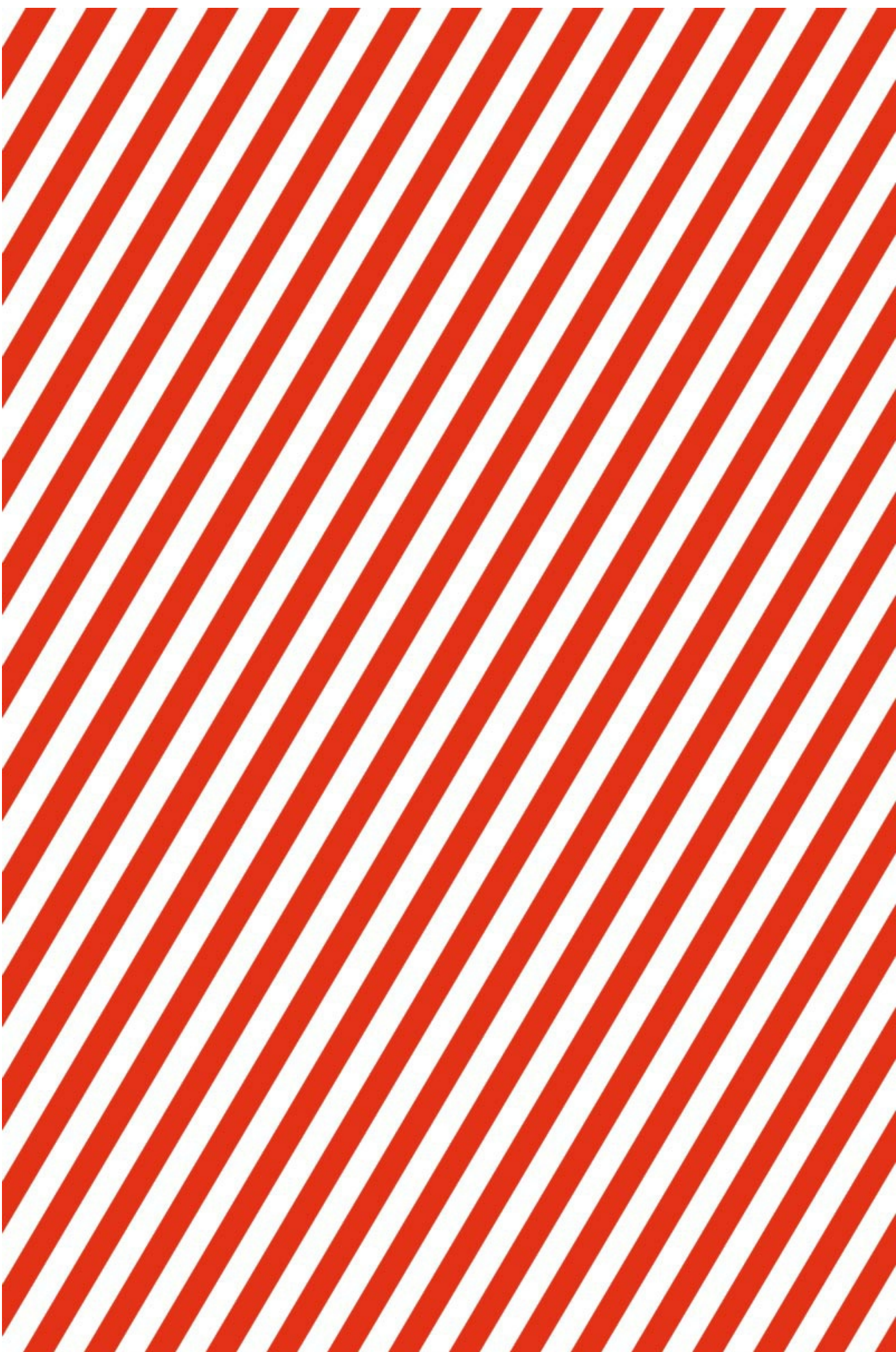
Nie wszystkich to jednak przekonuje. Przeciwnicy tej wersji utrzymują, że handel między obydwoma krajami nie trwał wystarczająco długo, by zostawić po sobie ślad, który przetrwałby do naszych czasów. Przypominają też, że nie było wtedy na mapie Polski jako takiej, tylko Rzeczpospolita Obojga Narodów.

Argument ten można jednak łatwo podważyć. Ponoć właśnie z tego okresu pochodzi używany do dzisiaj wyraz, nie najlepszej sławy, do powstania którego przysłużyć się mieli owi polscy XVII--wieczni marynarze. Jest nim *xarnego* – słowo, które wymawia się „ciarnego”. Podobno Polacy transportujący drewno na południe Hiszpanii tak często powtarzali „czarny”, wskazując na krucze włosy i ciemną karnację mieszkańców Andaluzji, że słowo to zapadło w pamięć Katalończyków i zaczęli tak określać południowców. Z biegiem lat wyraz nabrał pejoratywnego znaczenia. Od połowy XX wieku w Katalonii *xarnego* nazywani są z pogardą wszyscy imigranci mówiący po kastylijsku. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych w poszukiwaniu pracy do „hiszpańskiego El Dorado” – jak nazywano wtedy region – przyjechało prawie milion Andaluzyjczyków. Masowy napływ imigrantów z południa doprowadził nawet do protestów. Na przedmieściach Barcelony, gdzie się osiedlali, pojawiły się wtedy napisy *Xarnego fora!* (Ciarnego, wynoś się!).

Określenie przetrwało do dzisiaj i oznacza osobę zacofaną, mającą problemy z integracją, niemówiącą po katalońsku. To jedno ze słów szeptanych za plecami i niewypowiadanych prosto w twarz. Nazwanie kogoś publicznie tym mianem może mieć nieprzyjemne konsekwencje.

Jeśli zatem określenie *xarnego* przetrwało przez ponad trzysta lat, to dlaczego miałyby nie przetrwać *polaco*?





SZTURM JASNOWŁOSYCH POLAKÓW

Kilka teorii dotyczących przeważania Katalończyków „Polakami” jest związanych z XIX wiekiem. Głoszą one, że o przydomku tym zdecydowały wojny napoleońskie. W 1808 roku z podbijającym Europę Bonapartem na Półwysep Iberyjski przywędrowała Legia Nadwiślańska, ułani i Dywizja Księstwa Warszawskiego – w sumie dwadzieścia cztery tysiące polskich żołnierzy. Polacy dzielnie walczyli w Hiszpanii u boku Francuzów. Piastowali wysokie urzędy, na przykład Antoni książę Sułkowski był gubernatorem Malagi, a major 9. pułku Feliks Grotowski – gubernatorem miasta garnizonowego Almerii. Grotowski tak bardzo przypadł do gustu tamtejszym mieszkańcom, że po jego wyjeździe na ulicach długo jeszcze wisiały rozkazy i odezwy Polaka. Bardzo szybko zerwano z nich natomiast wszystkie pozostawione przez Francuzów.

Polscy żołnierze nie uczestniczyli w okradaniu kościołów. Nie byli okrutni, w odróżnieniu od francuskich towarzyszy broni, i szanowali cudzą własność. Jak wynika z zachowanych do naszych czasów zapisków, wielokrotnie powstrzymywali grabieże i plądrowanie majątków. Okazywali dużo człowieczeństwa i szcycili się przywiązaniem do religii. Często – jako katolicy i „najemnicy bez Ojczyzny”, jak ich nazywano – po wzięciu do niewoli byli traktowani lepiej niż Francuzi. Andrzej Daleki napisał w pamiętnikach, że kiedy głodnych polskich jeńców dowieziono do portu w Alicante, brytyjski generał na ich oczach zrugął Hiszpanów, że nie dbali o „żołnierzy pozbawionych Ojczyzny”.

W pamiętnikach pozostawionych przez żołnierzy Napoleona opisano wiele wydarzeń, w których zawieszane na szyi medaliki ratowały jeńców przed egzekucją. Rzadko się zdarza, żeby najeźdźcy budzili sympatię, a tak się działo w przypadku Polaków. Historycy twierdzą nawet, że to właśnie w czasie wojen napoleońskich, mimo że Polacy byli najeźdźcami, zaczęło się braterstwo dwóch narodów – polskiego i hiszpańskiego – które znajdowały się w podobnym położeniu.

Żołnierze znad Wisły podążyli za Napoleonem na kraniec Europy, gdyż obiecał im pomoc w odzyskaniu Polski. Jednak na Półwyspie Iberyjskim byli zmuszani do zwalczania ruchów narodowych, które – podobnie jak oni – miały na celu odzyskanie zagrabionego przez Francuzów kraju. W Polsce najazd Bonapartego na Hiszpanię nazywany jest kampanią hiszpańską. W Hiszpanii – wojną o niepodległość, podczas której Francuzi odbierali napadniętym to, o czym marzyli Polacy – Ojczyznę.

W trakcie walk Polaków kierowano do najtrudniejszych zadań. To oni dwukrotnie zdobywali Saragossę – miasto, które przez rok dzielnie odpierało ataki Napoleona. Szarża ułańska zdecydowała o zwycięstwie pod Somosierrą. O bitwie, z której jesteśmy tak dumni, Hiszpanie niewiele wiedzą. Polskim szwoleżerom oszczędzono jedynie krwawego tłumienia powstania, które wybuchło w Madrycie na początku maja 1808 roku.

Okrucieństwo, z jakim Francuzi rozprawiali się wtedy z broniącymi miasta, natchnęło Francisca Goyę do namalowania słynnego obrazu *Rozstrzelanie powstańców madryckich*. Zrobił to, mimo że popierał Napoleona. Sprzyjanie Francuzom sprawiło, że po porażce cesarza malarz wyemigrował do Bordeaux.

W Katalonii Napoleon musiał mierzyć się z groźnym *somatén* – oddziałami samoobrony, do których należeli chłopci i mieszczaństwo. I nie było ich mało, bo zdołali nawet oblegać Barcelonę. Ukrywających się w okolicach miast partyzantów ostrzegano przed obławą napoleońskich wojsk, bijąc w dzwony. Doszło do tego, że francuski gubernator w Barcelonie rozkazał pociąć sznury w dzwonnicach, żeby sympatyzujący z *somatén* nie mogli zawiadamiać jego członków o niebezpieczeństwie.

Bohaterem narodowym Katalończyków jest siedemnastoletni bębniarz z Brucy, który odstraszył francuskie wojska od Montserrat i tamtejszego klasztoru benedyktynów. Jak głosi legenda, odgłos uderzeń w bęben odbijał się od skał i najeźdźcy myśleli, że mierzą się z dużą siłą. Tymczasem były to tylko partyzanckie oddziały. Na Montserrat można przejść „trasą z Brucy”, a w pobliżu klasztoru stoi pomnik bębniarza. W innych regionach na francuskich nieprzyjaciół czekały *guerillas* – grupy partyzanckie.



• Bębniarz z Brucy.

Wielu Polakom nie podobało się, że na Półwyspie Iberyjskim muszą zwalczać ruchy, których idee sami chętnie by popierali. Dlatego niektórzy z nich podczas wojny hiszpańskiej zmienili szeregi i zaczęli wspierać lokalne oddziały zwolenników niepodległości. Wszyscy oni dla Hiszpanów mówili dziwnie, niezrozumiale, podobnie jak katalońscy partyzanci, którzy zasłynęli odwagą. I oba języki znów podobno potraktowano jak jeden – polski.

Z francuskich raportów sporządzanych w Hiszpanii wynika, że z polskiej armii zdezerterowało około czterystu żołnierzy. Jednak nie są to ścisłe dane. Wiadomo też, że w Hiszpanii zostało dużo polskich jeńców. Zawierano także mieszane małżeństwa. Hiszpańskie rodziny chętnie wydawały córki „za walecznych i jasnowłosych Polaków” wyznających tę samą co oni religię. Żołnierzy, którzy podobnie jak Katalończycy mówili w niezrozumiałym języku. I tak jednych i drugich zaczęto nazywać w ten sam sposób – *los polacos*.

Przed laty w jednej z barcelońskich restauracji pojawił się przede mną na stole talerz z cukierkami, mimo że nikt ich nie zamawiał. Dyskretnie postawił go kelner, starszy pan (niestety, już nie żyje), wielce przejęty, że słyszy polską mowę. Nazywał się Wisniewski i był prapraprawnikiem Polaka uczestniczącego w kampanii hiszpańskiej. Prawie nie mówił po polsku, ale rozpoznawał nasz język i kiedy usłyszał go w Barcelonie, bardzo się wzruszył. Opowiadał, że jego praprapradziadek zakochał się w Katalonce i postanowił tu zostać. Rozmówca nie zdradził, czy jego przodek dotrwał do końca walk u boku Napoleona, czy też wcześniej zdecydował się na porzucenie wojennej misji. Podkreślał zaś, że jego dziadek, a potem ojciec uczyli go polskiego i wpoili mu szacunek do leżącego po drugiej stronie Europy kraju, w którym nigdy nie był.

Według jeszcze innej teorii tłumaczącej pochodzenie przezwiska – również wywodzącej *el polaco* z czasów napoleońskich – sam Bonaparte miał wyrazić opinię, że języki kataloński i polski są do siebie fonetycznie podobne. Właściwie mógłby tak stwierdzić. Oba języki nieco „szeleszczą”, w obu słuchać „sz”, „ć” i „dź”. Tyle tylko, że dla nas Katalończycy wymawiają wyrazy ze ściśniętym gardłem, jakby zawsze mieli anginę. Nasze słowa zaś są dla nich całkowicie niezrozumiałe i – jak sami przyznają – brzmią szorstko. Mamy nawet bliźniacze wyrazy. W katalońskim istnieje *pluja*, wymawiane „pluzia” – brzmi podobnie jak polska „plucha” i to samo oznacza. Albo „galimaties” – tak jak w języku polskim, tak i w katalońskim słowo to wyszło z mody, ale jego brzmienie i znaczenie są identyczne. Spójnik „i” jest w obu językach tak samo pisany. Na bezrękawnik albo surdut Katalończycy (i Hiszpanie) powiedzą *casaca* – jakże podobnie brzmi nasz kasak. Do wspólnej rodziny wyrazów można też włączyć *divan* – jednak w tym wypadku jest różnica, bo po katalońsku wyraz ten oznacza leżankę, a nie tkaninę ozdabiającą podłogę.





POLSKI KLAN W MADRYCIE

Ciekawą teorię wysnuł historyk i były Konsul Generalny RP w Barcelonie Marek Pernal. Twierdzi on, że w XIX wieku, po pokonaniu Napoleona, przebywający na królewskim dworze Katalończycy domagali się od Korony Hiszpańskiej takiej samej autonomii dla swojego regionu, jaką od Rosji po kongresie wiedeńskim miało dostać Królestwo Polskie. Mieli na myśli konstytucję i odrębną administrację. Uważali, że należą im się takie same prawa. Swoje żądania mieli powtarzać bardzo często i podobno byli na tyle nieustępliwi, że katalońskich deputowanych zaczęto nazywać „Polakami”. Nietrudno zauważyć, że zapalczywie walczący o prawa regionu katalońscy *procuradores* – jak nazywano wtedy deputowanych – nie byli dobrze zorientowani w pokongresowej sytuacji „kuzynów” z przeciwległej części kontynentu. Z długiej listy decyzji, które zapadły po trwających prawie rok obradach kongresu wiedeńskiego, w życie weszły tylko te dotyczące zaborców. O postanowieniach mających ulżyć mieszkańcom Królestwa Polskiego bardzo szybko zapomniano.

Teoria Marka Pernala prawdopodobnie zawiera dużo prawdy. W pierwszej połowie XIX wieku w Hiszpanii powstał dwuizbowy parlament. Zasiedli w nim *procuradores* – czyli deputowani – i senatorowie zwani wówczas *próceres*. Do dysput, debat i kłótni dochodziło w Kortezach nie rzadziej niż w polskim przedrozbiorowym Sejmie. Tyle tylko, że odpowiednikiem polskich warchołów – naszych posłów nadużywających *liberum veto* – byli w Hiszpanii *turroneros* i *polacos*. Nazwa pierwszych jest synonimem karierowiczów. *Turrón* to przypominający grube tabliczki czekolady bożonarodzeniowy przysmak, który przed wiekami przywędrował na Półwysep Iberyjski z Arabami. Tradycyjne, robione z mielonych albo całych migdałów, miodu i jajek, wyglądem i smakiem przypominają polską chałwę (spadek po Turkach, w Barcelonie arabskie bary sprzedają domową *halve*). Teraz słodkości te można kupić przed świętami w każdym sklepie, jednak w XIX wieku na *turrón* mogli sobie pozwolić tylko ludzie zamożni. Dlatego *turroneros* to ci, którym zależało na osobistym bogactwie, karierze i na przywiezieniu z Madrytu bogactw.

Los polacos walczyli zaś o prawa dla swoich ziem i regionów. A ponieważ najgłośniej domagali się tych praw Katalończycy, to do nich przywarła nazwa, która dotrwała do dzisiaj. W dokumencie z 1848 roku, opisującym otoczenie młodej, osiemnastoletniej królowej Izabeli II Hiszpańskiej (wtedy zasiadała już na tronie od piętnastu lat), mianem *polacos* nazywana jest grupa Katalończyków. W jej skład mieli wchodzić katalońscy parlamentarzyści, którzy, na czele z hrabią de San Luis, dawnym premierem rządu i bliskim współpracownikiem matki królowej, regentki Marii Krystyny, stracili na dworze wpływy i usiłowali je odzyskać.

Wymieniając hrabiego de San Luis, ówczesny kronikarz miał na myśli Luisa José Sartoriusa, który prawdopodobnie też przyczynił się do „przechrzczenia” Katalończyków

na Polaków. Ten arystokrata, polityk i dziennikarz urodził się w 1820 roku w Sewilli i był z pochodzenia Polakiem. Żyjący potomek Sartoriusa, chirurg pracujący w klinice w Sewilli, poświęca mu długie opracowanie w prowadzonym przez siebie blogu. Ustalił, że ojciec jego prapradziadka był Niemcem i nazywał się Schneider. Nie zna jednak polskiego nazwiska jego żony, swojej prapraprababki. Jego przodek, który miał ambicje polityczne i wiedział, że z niemieckim nazwiskiem ma w Hiszpanii niewielkie szanse na zrobienie kariery – poczynania Prus były wtedy krytykowane i śledzone z niepokojem – zmienił nazwisko na Sartorius; słowo to po łacinie znaczy to samo, co niemieckie *Schneider* – czyli krawiec.

Sartorius był protegowanym królowej regentki Marii Krystyny, matki królowej Izabeli II, która odziedziczyła tron Hiszpanii, mając zaledwie trzy lata. Zgodnie z życzeniem regentki, najpierw piastował funkcję ministra spraw wewnętrznych, a potem – przez prawie rok – premiera rządu. Trzeba przyznać, że pan hrabia wprowadził wiele postępowych ustaw: poprawił zasady działania hiszpańskiej poczty i policji, zadbał o edukację – podniósł poziom nauczania w szkołach podstawowych i założył Szkołę Inżynierów. Minister, a potem premier, był też wierny swojemu zawodowi – dziennikarstwu. Ufundował „El Heraldo” – dziennik, który istnieje do dzisiaj – i uporządkował prawa autorskie, dzięki czemu został uznany za opiekuna pisarzy i dziennikarzy. To za jego czasów w Madrycie zbudowano Teatr Królewski – do dzisiaj najpiękniejszą tego typu placówkę w mieście – i rozbudowano słynny Puerta del Sol – plac, z którego hiszpańska telewizja od lat transmituje przywitanie Nowego Roku. Nasz rodak dbał o higienę i ekologię – w madryckich mieszkaniach zakładał kanalizację i kazał zasadzić w Kastylii tysiące hektarów drzew.

Mimo tych ważnych decyzji, z których wiele przetrwało próbę czasu, Sartorius nie przeszedł do historii jako bohater, lecz jako intrygant i karierowicz. Stojąc na czele XIX-wiecznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, stworzył sieć szpiegów i donosicieli, której nie powstydziliby się sam kardynał Richelieu. Polak i jego świta sfalszowali wybory. Dlatego ówczesny parlament do dzisiaj nazywany jest w Hiszpanii *parlamento de la familia* (rodzinnym parlamentem), bo wprowadzono do niego wielu „swoich”. A kiedy i to nie pomogło i premier rządu kilkakrotnie nie zdobył poparcia deputowanych, rozwiązał Kortezy i zaczął rządzić za pomocą dekretów. Czynił tak, mimo że zabraniała tego ówczesna konstytucja.

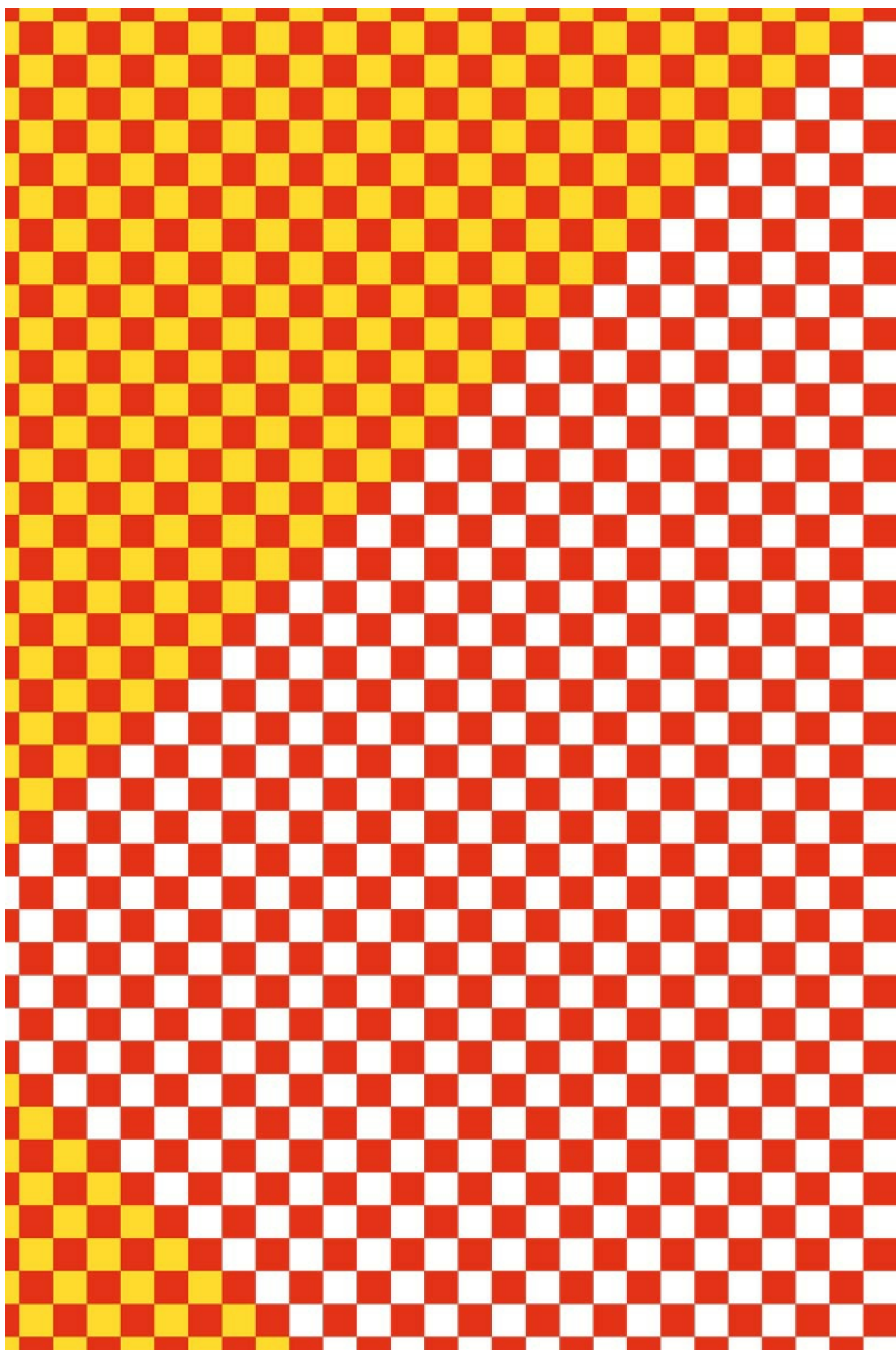
Rząd Sartoriusa zaczęto nazywać *el clan de los polacos* – polskim klanem. A najbardziej zniechęconym członkiem gabinetu był minister skarbu, Katalończyk Jacint Feliu Domènech. Zanim zasiadł w rządzie, był burmistrzem Barcelony, a potem Madrytu – dziś to nie do pomyślenia, by Katalończyk zarządzał administracją stolicy Hiszpanii. Piastował też funkcje deputowanego i senatora. Jednak najbardziej podpadł jako szef skarbu. Chcąc napełnić pustą kasę państwa i zadowolić ambicje Marii Krystyny związane z budową linii kolejowej, Katalończyk postanowił zebrać podatki od gruntów za cztery lata z

góry. W Madrycie doszło do niepokojów, które przeszły do historii pod nazwą Rewolucji 1854 roku. Zdesperowany tłum demolował sklepy i domy. Splądrował nawet mieszkanie ministra i ten musiał uciekać z miasta.

Zwolennicy tej teorii twierdzą, że przez premiera polskiego pochodzenia określenie *el polaco* przywarło też do znieawidzonego Katalończyka, a po nim – do mieszkańców całego regionu. Przypominają, że resort, którym kierował, przeszedł do historii pod nazwą *el ministerio polaco* – polskie ministerstwo. Wszystkie zaś obierane przez Sartoriusa i jego gabinet strategie i nawiązywane konszachty, w których podobno nie mieli sobie równych, nazywane są po katalońsku *polacades* – w wolnym tłumaczeniu oznacza to „coś przypisywanego Polakom”. Określenie to okazało się „praprapradziadkiem” *guardiolades* – czyli uznawanych za szalone pomysłów byłego trenera Barçy, Josepa Guardioli, które – wbrew tym podejmowanym przez XIX-wieczny rząd – zwykle okazywały się genialne.

Maria Krystyna, protektorka naszego rodaka, była postacią wyjątkową. Po trwającym niespełna cztery lata małżeństwie ze swym wujem, królem Ferdynandem VII, już będąc wdową, zakochała się w sierżancie gwardii królewskiej, Augustynie Ferdynandzie Muñozie. Mimo wielkiego jak na owe czasy mezaliansu potajemnie wzięła z nim ślub. Ich szczęśliwy związek trwał czterdzieści lat i zakończył się dopiero śmiercią Agustína Fernanda Muñoz, wtedy już księcia Riánsares i hrabiego San Agustín. Państwo Muñoz mieli też rodzinne związki z nieistniejącą wtedy Polską. Ich córka, Maria Amparo Muñoz y de Borbón, zakochała się i poślubiła księcia Władysława Czartoryskiego – działacza politycznego, emisariusza, prezesa Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, założyciela słynnej Biblioteki Czartoryskich. Ich małżeństwo było jednak mniej udane niż rodziców. Polska, a raczej jej brak, stanęła młodej parze na drodze do szczęścia. Zakochana w mężu księżniczka Maria Amparo nie potrafiła zrozumieć, dlaczego tak bardzo zależy mu na odzyskaniu Ojczyzny. Piękna i podobno niezwykle błyskotliwa Maria odeszła w kwiecie wieku – mając niespełna trzydzieści lat, umarła na gruźlicę. Niewiele brakowało, a na hiszpańskim tronie zasiadałaby teraz królowa z domieszką polskiej krwi. Byłaby nią Isabel Sartorius – młodzieńcza miłość hiszpańskiego monarchy Filipa VI, wywodząca się w prostej linii od premiera i szefa dworu Marii Krystyny. Ich narzeczeństwo trwało jednak krótko i podobno było bardzo burzliwe. A do zerwania związku mieli przysłużyć się dziennikarze, którzy nie odstępowali dziewczyny na krok. Jak wspomina po latach, aby umknąć kamerom i fleszom i spotkać się z księciem, młoda Isabel Sartorius chowała się w bagażniku samochodu znajomych. Teraz pani Sartorius jest trenerką i autorką książki, która pomogła wielu osobom. Opisuje w niej uzależnienie swojej matki od narkotyków. Przyznaje jednak, że mimo upływu lat i założenia rodziny nie może się pozbyć etykiety „byłej narzeczonej księcia Filipa”. Nie ukrywa też, że to ją jako jedną z pierwszych poinformował o zaręczynach z Letizią Ortiz, jego obecną żoną.





POLSKA LEGENDA

Nie jest więc wykluczone, że bliskie naszemu sercu przezwisko przywędrowało do Katalonii z Madrytu i zanim zabarwiło się pejoratywnie, miało wręcz romantyczne znaczenie. Hiszpania była jedyną europejską monarchią, która złożyła u zaborców formalny protest przeciwko rozbiorem Polski. Krajem, który oficjalnie nigdy nie zaakceptował zaborów, była też Turcja. „Byliśmy jedynymi, którzy protestowali przeciwko podziałowi Polski, kiedy Francja była niema, Anglia nieczuła, a Włochy umarłe. My, którzy nowoczesne kraje uczymy pokonywać najeźdźców, musimy pracować na rzecz Polski” – czytamy w *Rewolucji w Polsce w 1863 roku* napisanej przez XIX-wiecznego historyka, Joaquina Alberta de Alvareza.

Polska – naród bez Ojczyzny – była dla XIX-wiecznych hiszpańskich patriotów zaniepokojonych losem swojego kraju przykładem i natchnieniem. Ale też przestrogą – politycy, pisarze i myśliciele ostrzegali wtedy, że Hiszpania może podzielić los Rzeczypospolitej Obojga Narodów, „Mocarstwa sięgającego Morza Czarnego, które było w stanie wypędzić z Europy wojska tureckie [Odsiecz Wiedeńska 1683 roku] i zniknęło z mapy kontynentu” – tak o nas wtedy pisano. Przypominano też, że niewiele zostało ze świetności Polski, bo górę wzięła dekadencja, intrygi i egoizm arystokracji. Czyli – dla wielu hiszpańskich polityków i intelektualistów – wady, które nie były obce politykom i arystokratom XIX-wiecznej Hiszpanii.

W Hiszpanii wtedy dużo się działo. Druga połowa XIX wieku – a zwłaszcza tak zwane *Sexenio Democrático*, demokratyczne sześćciolecie trwające od 1868 do 1874 roku – była jednym z najbardziej niestabilnych politycznie okresów w dziejach kraju. Przez Hiszpanię przetaczało się powstanie kantonalistów, które dało początek ruchom robotniczym, toczyły się wojny karlistowskie i trwała wojna na Kubie. Z tronu zrzucono Burbonów i zasiadł na nim włoski władca Amadeusz I Sabaudzki. Jego panowanie nie trwało zbyt długo – rządził zaledwie trzy lata i abdykował, bo nie był w stanie opanować paraliżującego kraj zamętu. Po nim w Hiszpanii ogłoszono I Republikę – słabą i nieudolnie zarządzaną (1873–1874). Przez niespełna dwa lata jej istnienia aż czterokrotnie zmieniał się rządzący gabinet. Trudno się zatem dziwić, że zaniepokojeni Hiszpanie zaczęli nazywać swój kraj *Polonia del Mediodía* – Polską Południa. Jest to tłumaczenie dosłowne, ale użyto słowa określającego nie kierunek geograficzny, tylko porę dnia.

Im bardziej zbliżał się rok 1872 – setna rocznica pierwszego rozbioru Polski – tym w Hiszpanii głośniejszy bito na alarm. Wyjątkowym echem odbiło się tam powstanie styczniowe. „Rewolucja 1863 roku” – jak określano je w hiszpańskiej prasie. W żadnym innym państwie Europy nie wywołało ono tak dużego zainteresowania, jak na Półwyspie Iberyjskim. „Pozbawiony Ojczyzny męczeński, szlachetny polski naród” budził sympatię i współczucie. Walki powstańcze porównywano do walk Hiszpanów o niepodległość

podczas kampanii hiszpańskiej, czyli do wojny o niepodległość. W czasie wojny król Carlos IV zaoferował Napoleonowi utworzenie z Kraju Basków i Nawarry księstwa – niezależnego i neutralnego – podobnego do Księstwa Warszawskiego. I zastanawiał się nad oddaniem Francuzom delty rzeki Ebro. Przypominano, że byliśmy w Europie przedmurzem chrześcijaństwa. Krajem, który odparł ataki Ottomanów, a potem „stał się katolickim narodem prześladowanym przez innowierców: luteranów i zwolenników schizmy”. Ostrzegano przed rozczłonkowaniem, czyli „polonizacją Hiszpanii”. Pod wieloma względami XIX-wieczni mieszkańcy Półwyspu Iberyjskiego czuli się tak samo poniżeni jak Polacy sto lat wcześniej.

Potomkowie odkrywców i kolonizatorów Ameryk nie byli już mocarstwem. Po wielkim bastionie, jakim były zamorskie kolonie, zostały Hiszpanii ostatnie przyczółki – Kostaryka, Filipiny, Wyspy Kanaryjskie, Kuba – których utraty też się obawiano. Podobnie jak rozłamu kraju i ingerencji obcych państw. Najbardziej Prus. „Jeśli Prusy najpierw zawładnęły Polską, potem odebrały Francji Alzację i Lotaryngię [zrobiły to niemal w setną rocznicę pierwszego rozbioru Polski] to dlaczego miałyby nie poradzić sobie z Hiszpanią?” – pytano. Pisząc o dzielnej Polsce, ówczesni politycy wskazywali na Bismarcka jako na wielkiego przeciwnika odbudowy naszego kraju. W prasie publikowano artykuły, których autorzy zapewniali, że kanclerz Otto von Bismarck ma chrapkę na należące do Hiszpanii Filipiny i Kostarykę, a nawet na hiszpański tron. Madrycki dziennik „La Regeneración” ostrzegał przed wielkim niebezpieczeństwem, jakim był von Bismarck – „wcielenie diabła, mistrz masoński i sprzeciwiający się papieżowi innowierca”. „Nad Półwyspem Iberyjskim zawisł cień polskich rozbiorów” – napisano wtedy. Tak jak w 1772 roku ogłoszono *Finis Poloniae*, tak sto lat później zaczęto przebąkiwać o *Finis Hispaniae*.

Polacy – naród bez Ojczyzny – byli też natchnieniem dla ówczesnych artystów. Wzruszony tragicznymi losami powstania styczniowego andaluzyjski poeta José de Velilla napisał po 1863 roku wiersz *Himno a Polonia* (Hymn do Polski):

*¡Oh Polonia infeliz! Tierra oprimida
por el yugo ominoso de un tirano,
levanta ya la frente envilecida
y empuñe el hierro tu cansada mano.*

O Polsko nieszczęśliwa! Ziemi uciskana
przez złowieszcze jarzmo tyrana,
podnieś opuszczone czoło
i zaciśnij w pięść zmęczoną dłoń.

Nawoływał – ni mniej, ni więcej – do zbrojnej interwencji Hiszpanii, która miałaby uwolnić nasz kraj z rąk oprawców.

Powstanie było też tematem książki *Rewolucja w Polsce w 1863 roku. Historia bohaterskich wysiłków synów tego nieszczęśliwego narodu, aby odzyskać wolność i*

niepodległość (Joaquín Albert de Alvarez, *Revolución de Polonia en 1863*). Jedenaście lat po wybuchu powstania styczniowego opublikowano inną książkę o stosunkach hiszpańsko-polskich. *Sekretna misja w Polsce ambasadora Don Pedro Ronquillo*, której autorem był Antonio Rodríguez Villa. A w Madrycie zorganizowano konferencję „Współczesna literatura polska i Józef Ignacy Kraszewski”. Potem na język hiszpański i kataloński przetłumaczono jego *Ulanę*. A pod koniec XIX wieku na hiszpański został przetłumaczony *Pan Tadeusz*. Polska epopeja narodowa ukazała się pod tytułem *Tadeusz Sopllica albo ostatni proces na Litwie*.

W podtrzymywaniu „polskiej legendy” w Hiszpanii pomagała odległość i niewiedza. Takie idealizowanie i rozczulanie się nad polskim losem nie byłoby możliwe, gdyby oba kraje sąsiadowały ze sobą. Jednak z perspektywy drugiego krańca Europy, który w owych czasach był o wiele bardziej oddalony, niż jest teraz, nasz kraj był wzorem bohaterskiego narodu zdradzonego przez możnych i katolickiego kraju rozgrabionego przez innowierców.



Polska, a raczej jej upadek, przyczyniła się na Półwyspie Iberyjskim do rozwoju nacjonalizmów. Owa romantyczna wizja państwa rozerwanego przez zaborców wpłynęła w XIX wieku na ewolucję hiszpańskiej – ale też i katalońskiej – tożsamości narodowej. Wtedy w Madrycie los Rzeczypospolitej był traktowany jako przestroga i stawiano nas za przykład, którego nie należy naśladować. Ostrzegano, że Hiszpania podzieli losy Polski. A katalońscy XIX-wieczni nacjonaści patrzyli na nas z podziwem. Byliśmy dla nich wzorem narodu bez Ojczyzny, który „jest zdolny zastąpić brak instytucji państwowych patriotyzmem”. Porównywali porozbiorową Polskę do Katalonii „ograbionej przez Hiszpanię, Francję i Włochy”. Uważali Hiszpanów za najeźdźców, którzy okupują ich ziemie, Francji zarzucali przywłaszczenie katalońskich regionów leżących po francuskiej stronie Pirenejów. (Ich stolicą jest Perpignan, czyli Perpinyà, i do dzisiaj mówi się tam po katalońsku). Włochy zaś oskarżano o zagarnięcie należącej niegdyś do Katalonii północy Sardynii. W XIV wieku włoska wyspa została podbita przez Aragonię i sprzymierzoną z nią Katalonię, a miasto L’Alguer, w którym wciąż rozbrzmiewa katalońska mowa, nazywane było „włoską Barceloną”.

Enric Prat de la Riba, jeden z pierwszych pisarzy otwarcie opowiadających się za niepodległością Katalonii, napisał pod koniec XIX wieku, że „Katalonia została zagarnięta przez Hiszpanię, podobnie jak Polska przez Rosję”. (*Kompendium doktryny katalońskiej*, 1894). „Państwo Polskie umiera, kiedy ćwiartują go wojska Austrii, Rosji i Prus. Jednak Polska trwa i przetrwa, będąc jedynie Ojczyzną dla Polaków”. Prat de la Riba dowodził, że naród może przetrwać bez instytucji państwowych. Warunkiem tego jest poczucie przynależności do tradycji, kultury i języka.

Wiek później kolejną teorię duchowego przymierza Polaków i Katalończyków przedstawił antropolog Roger Costa. Zgodnie z jego hipotezą ponadterytorialne braterstwo

wynika z poczucia podobnej krzywdy. Naukowiec przypomina, że w pierwszej połowie XX wieku najpierw Katalonia została zajęta przez wojska generała Franco, a zaraz potem Polskę podzieliły między siebie Niemcy i Związek Radziecki. „Spotkał nas podobny los” – twierdzi. Natomiast za stygmatyzacją przydomka *el polaco* stoją frankistowscy wojskowi, którym przeszkadzało, że katalońscy rekruci nie rozmawiają między sobą po hiszpańsku. A potem, w latach sześćdziesiątych, miały mieć na nią wpływ protesty uliczne w Barcelonie, których uczestnicy też nie mówili po hiszpańsku. Antropolog postawił nawet tezę, że na początek narodzin tożsamości wielu europejskich narodów wpłynęły najpierw polskie rozbiory (1772), a potem rozwiązanie zakonu jezuitów (1773).





• Konsul Eduardo Rodón i Blasa oraz Wanda Morbitzer Tozer, balkon Konsulatu Honorowego w Barcelonie przy ulicy Fontanella 10.

DO BARCELONY PRZEZ PIRENEJE

Każdy, kto chociaż raz odwiedził Barcelonę, potrafi wskazać leżący w centrum miasta Plac de Catalunya (plac Kataloński), i rozpoczynającą się od niego Ramblę. Trzeba przyznać, że nie są to najbardziej urokliwe zakątki miasta, ale łączą w sobie dwie podstawowe cechy jego mieszkańców: poczucie tożsamości i mieszaną kultur, które z niezwykłą łatwością przenikają się z indywidualizmem Katalończyków. W Warszawie nie ma placu Polskiego, w Krakowie też nie. No bo po co... Mieszkańcy Katalonii zaś, tam gdzie tylko mogą, włączają nazwę swego kraju. Znaczą nią też produkty pierwszej potrzeby: wody mineralne – Vichy Catalan. Llet Nostra (Nasze Mleko) – znaczy pochodzące od katalońskich krów; są też inne wyroby: piwo, wędliny, buty. W obawie przed utratą tożsamości wszystko, co mogą, stemplują pieczęcią z napisem „Català”. Rambla zaś pochodzi od arabskiego słowa *ramla*, które oznacza fosę albo okresową rzekę, ożywającą tylko po ulewnych deszczach. Ulicę o tej nazwie mają niemal wszystkie hiszpańskie miasta. Barcelońska Rambla jest symbolem arabskich wpływów sprzed wieków, ale też kosmopolitycznej teraźniejszości, bo deptak zajmujący jej centralną część codziennie przemierza sto tysięcy osób, głównie zagranicznych turystów. Tu, wśród rosnących na deptaku platanów, krzyżują się kultury, religie, tradycje z różnych zakątków świata.

Przez dwa najbardziej rozpoznawalne miejsca Barcelony w czasie II wojny światowej prowadził niewidzialny szlak, którym przeszły tysiące uciekinierów z Polski. Wiódł znad Wisły przez środkową Europę, potem przez Pireneje do Barcelony. Plac i ulica były przedostatnim przystankiem długiej, ryzykownej i często tragicznej drogi. Zawsze gwarne serce Barcelony było miejscem przerzutu do Portugalii, Wielkiej Brytanii i na Gibraltar polskich lotników, żołnierzy, arystokratów, żydowskich rodzin. Zwykle przybywali do Konsulatu Honorowego RP pod osłoną ciemności. Często nawet tam nocowali. Następnego dnia radca placówki, Rzędowski, z poważną miną przemierzał ulicę, a za nim, udając przechodniów, szli potrzebujący pomocy. Musieli bezpiecznie przejść dwanaście przecznicy – tyle dzieliło biuro konsulatu od placu Katalońskiego.

Na placu Katalońskim, również w sposób niezwracający uwagi, odbierała ich Dolores Blanco, drobna i elegancka Katalonka, i prowadziła do jednego z mieszkań, które polski Konsulat Honorowy wynajmował w latach czterdziestych na kryjówkę. Ich lista była długa: kamienica przy ulicy Tallers łączącej plac Uniwersytecki z Ramblą, przy ulicy Lope de Vega biegnącej w robotniczej dzielnicy Clot, ciasne mieszkanie w sercu poszatowanej wąskimi ulicami Gracii przy niezwracającej uwagi uliczce Cano, równie niewidoczny Passatge del Treball, Pallars na przemysłowym wtedy Poble Nou, czy usytuowana blisko centrum Barcelony Comte Borrell. Adresów było więcej: Jocs Florals, Alí Bei 98, Madre de Déu del Coll 112 i 122, Conde del Asalto 9, Aribau 117... Wszędzie tam ukrywani byli

Polacy i wiele z ich dramatycznych historii – dzięki odwadze pracowników Konsulatu Honorowego – znalazło szczęśliwe zakończenie. Za każde z mieszkań konsulat płacił dziennie od dziewiętnastu do trzydziestu peset – mniej więcej tyle, ile kosztował wtedy kilogram szynki, zresztą będącej w nękanym głodem Barcelonie prawdziwym luksusem. Było to o wiele więcej, niż wynosił w Barcelonie oficjalny czynsz, ale wyższa cena była rekompensatą za ryzyko, jakie ponosił właściciel kamienicy.

Konsulat Honorowy RP istniał w Barcelonie od 1920 roku i został zamknięty w roku 1968 – sześć lat przed wznowieniem przez Madryt stosunków dyplomatycznych z komunistycznym polskim rządem. Ostatnim pełniącym funkcję Konsula Honorowego w Barcelonie był od 1931 roku Katalończyk, Eduardo Rodón i Blasa. Jego żoną była Polka Anna Maria Klemensiewicz, „Hanka”, która zajmowała się sprawami reprezentacyjnymi konsulatu i kierowała w Barcelonie polskim oddziałem Czerwonego Krzyża. Sekretarzem placówki była Wanda Morbitzer Tozer – absolwentka nauk politycznych i dziennikarka, która zanim rozpoczęła pracę w konsulacie, była korespondentką Polskiej Agencji Telegraficznej PAT. A radcą handlowym do 1936 roku – Rzepecki.



• Wanda Morbitzer Tozer.

Wszyscy oni, najpierw w czasie wojny domowej, ale przede wszystkim podczas II wojny światowej, pomogli tysiącom Polaków uciekających z okupowanego kraju. Pracownicy Konsulatu Honorowego w Barcelonie – czyli osoby nieobjęte immunitetem dyplomatycznym i za przekroczenie prawa odpowiadające przed hiszpańskim, frankistowskim sądem – wielokrotnie ryzykowali życie, żeby ratować polskich uchodźców. Konsulat Honorowy i polskie Poselstwo (ambasada) RP w Madrycie podlegały

bezpośrednio emigracyjnemu Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie w Londynie, dlatego te niezwykle odważne dokonania nie interesowały powojennej, komunistycznej polskiej władzy. Po zakończeniu wojny dokumenty świadczące o ich historii trafiły do albumów zdjęć i szuflad najbliższych członków rodziny i tam przeleżały kilka dziesięcioleci, aż do końca lat dziewięćdziesiątych, kiedy to w Barcelonie otwarto Konsulat Generalny RP. Na szczęście jego pracownikom zależało i zależy na wydobywaniu z zapomnienia rozproszonych po Katalonii polskich śladów. To oni dotarli do wydarzeń, których bohaterami byli ich poprzednicy – pracownicy Konsulatu Honorowego.

Najpierw konsulat mieścił się w centrum miasta, na rogu Gran Via i placu Tetuán. Potem, kiedy dzielił lokal z Polsko-Hiszpańską Izbą Handlową, przeniósł się do elegantszej dzielnicy. Przez pierwsze lata ośrodek wypełniał obowiązki konsularne: utrzymywał kontakty z lokalnymi oraz innymi placówkami, nawiązał kontakty z mieszkającymi w okolicy Polakami i pomagał tym, którzy byli przejazdem w mieście. A do tego – podobnie jak teraz – szerzył polską kulturę. W pomieszczeniach konsularnych otwarto polski klub i czytelnię, do której – na apel Wandy Tozer – z kraju zaczęły napływać książki. Tam też odbywały się polonijne spotkania i koncerty. Dla mieszkających w Barcelonie Polaków występowały między innymi Wanda Landowska – pianistka, klawesynistka i kompozytorka, oraz sopranistka Żenia Bergman. W latach trzydziestych w Barcelonie dwukrotnie koncertował Artur Rubinstein. Po występach i krótkim odpoczynku w hotelu Ritz pianista odwiedzał konsulat. W nieistniejącym już kościele przy Diagonal co roku Polacy wspólnie świętowali rocznicę 3 Maja. Uroczyste msze rozpoczynały się od *Ave Maria*, a kończyły pieśnią *Boże, coś Polskę*. W 1936 roku w Barcelonie odbyła się wystawa polskiej grafiki, znanej już wtedy w Europie. A w kwietniu tego samego roku do barcelońskiego portu zawinął zwodowany rok wcześniej MS „Batory”, młodszy brat pierwszego polskiego transatlantyku, którym był MS „Piłsudski”. Był to pierwszy rejs „Batorego” po Morzu Śródziemnym. Płynął z Wenecji do Gdyni. W Barcelonie cumował dwa dni, a kiedy odbijał od brzegu, zegnał miasto dźwiękami *Mazurka Dąbrowskiego*.

FUNDADORES: DON CARLOS Y DON BARTOLOMÉ GODO

Año LXII - Número 24.845

LLEGADA DE NIÑOS POLACOS A BARCELONA



Ayer llegaron a nuestra ciudad, procedentes de Génova, a bordo de la matenave española «J. J. Surrer», cuarenta niños polacos que vienen a nuestro País en busca de abrigo y refugio. Entre ellos, que han perdido la mayoría de sus familiares, serán alojados en un edificio de la Bonanova, en donde se han instalado los servicios convenientes para atenderlos en todos sus necesidades. Nuestras fotografías recogen algunos instantáneos de lo Regado de los pequeños refugiados.

(Fotos Pérez de Rojas y Cifre)

AYER SE REUNIÓ EL PLENO DE LAS CORTES ESPAÑOLAS

Don Esteban Bilbao pronunció un magnífico discurso en el que glorió la labor realizada en la primera etapa de su actuación

Fueron aprobados varios proyectos de ley, entre ellos el de expropiación de fincas rústicas

Los procuradores aclamaron con entusiasmo a Franco

Comienza la sesión.
Madrid, 24.—A las siete en punto de la tarde, se abrió la sesión, bajo la presidencia de don Esteban Bilbao y los miembros de la Mesa.
En el honor del Gobierno tomaron asiento los señores de Ochoa Pablosan, Industrial, Martín y Aire.
En el de la Junta Política, el señor de Madrid-Astibia, y el señor Egoa.
El secretario de la Cámara, marqués de la Valdeira, dio lectura al acta de la sesión anterior, que se aprobó, e igualmente a la lista de procuradores que existían en adelante por diversas causas, y entre los que figuró el nombre del Excmo. Sr. general Alonso Vega, Sr. doctoros Pica y Tejedor, Pizarro y Rodríguez y los señores de Rosales y Sevilla.
Igualmente se le otorgó la palabra de alabanza y lazo a los señores de procuradores, así como la atribución de algunas de éstas a distintas comisiones.
Jura el cargo varios señores
Diputados
Suplicando con el ceremonial de costumbre, presta juramento del cargo de procurador, don Fermín Colada de Asinosa, Marqués del Marqués Jirónes del Olmo, don Cayetano Estigarribia, don Vicente Poyato, don Esteban Rodríguez, don Cecilio Izuel, don Manuel Cortés Molero, don José María Moreno Torres, don Eulogio Quereza, don Juan Antonio Gutiérrez Suma, y don Juan Cobi Viana.
Terminada la jura de los procuradores, pasó esta a su orden.

Palabras del señor Bilbao en memoria del general Orgaz
De su muerte del fallecimiento del Sr. general Orgaz, ocurrido en el Senado parlamentario.
Don Esteban Bilbao pronunció unas palabras de elocuente recuerdo para la figura del General, que fue de los grandes en España.

hizo desde antes del advenimiento de la malhadada República.
Bilbao destacó el colaborador activo, en el Ministerio de Hacienda y al frente de los trabajos que el Sr. de Bilbao, en particular, en la Alta Comandancia de España en Barcelona y en el Alto Mando Mayor del Ejército, donde le acompañó la muerte.
Recordó que once días antes había jurado el cargo de procurador, esperando mucho de su competencia, su experiencia y su alto espíritu patriótico.
La Cámara acordó por unanimidad que se le otorgara el título de senador de la nación por la desamortización de tierras baldías.
EL PROYECTO DE LEY CONSIDERANDO CONSTITUTIVO DE DELITO EL PERDIDO DE PELLAS POR EL ARRENDAMIENTO O ENAJENAMIENTO DE VIVIENDAS
Se leyó el dictamen de la Comisión de Justicia sobre el proyecto de ley por el que se considera constitutivo de delito el perdido de fincas por el arrendamiento o enajenamiento de viviendas.
El defendió el señor Gilma, quien dice que la ley propone sobre delitos contra las propiedades fraudulentas para alinear el precio de las cosas. A este efecto, se considera la vivienda como un artículo de primera necesidad.
La ley—añade—está justificada totalmente porque el derecho al hogar es uno de los derechos inherentes a la libertad humana y el acto de vivienda difiere de su adquisición, constituyendo un nuevo derecho, ya que la vivienda, como está al alcance de quien posee medios de fortuna para afrontar los tiempos, y por lo tanto, como lo demuestra el ejemplo que ha merecido de la opinión pública al conocer su promulgación. Es, además, lógico porque el Estado, que garantiza el comercio lícito de artículos de primera necesidad, debe impedir las especulaciones sobre viviendas.
El dictamen se reduce a su verdadero contenido.

luto, que es el perdio de edifica por cesación de vivienda, como indirectamente del precio del alquiler. El valor de esta del edificio para nada en la configuración del delito, para el se excoque los partes podrá ejercitar la acción rectora.
Queda aprobado el dictamen.
Lectura y aprobación de otros proyectos
Igualmente se aprobaron sin discusión, los proyectos de ley conegridado a don Esteban García Buzón, abogado argentino, una indemnización de don Juan Pizarro y don Roberto Ramonay Fernández, argentino también, una ley sobre el pasaje de la carrera diplomática publicada desde el 1 de abril de 1931 y reducidos al servicio activo, una sobre administración y gestión de los bienes de propiedad del Estado español en suertá zona del Protectorado y el de derogación del artículo 30 de la ley de Educación Primaria.
SE APRUEBA EL PROYECTO SOBRE AYUDA DEL ESTADO PARA LA ELECTRICIFICACION DE LOS FERROCARRILES
Se leyó el dictamen sobre el proyecto de ley de ayuda del Estado para la ejecución del plan de electrificación de ferrocarriles.
Lo defendió el señor González Buzón, quien pronunció un discurso en el que anunció todas las ventajas que han de obtenerse de la electrificación, con la posibilidad de poder disponer de un medio de transporte de carácter para uso industrial; lo que es de suma importancia para nuestra economía; y recomendaron el concentrar en el sector de electricidad, que de otra forma debía por atender con material carburoso y caro importado.
Dada la urgencia al ministro de Obras Públicas y al Gobierno por su decisión.

de haber acordado su ejecución conforme a un plan de conjunto y expone el desarrollo de mismo, en cuanto se refiere a su ejecución material y en la forma que se le previó su realización.
Dada la urgencia al estado de Castileja, que fue el primer ferrocarril que tuvo una planta de electrificación de este tipo, se acordó la ejecución del plan, no se admita, ni restringa, ni interfiera a la industria privada, sino que se le permita y se fomente la colaboración de todas sus empresas.
Bilbao que al plan de electrificación ha de ser un plan popular y tendrá en él figura una gran labor social del Estado, que la industria labor-social del Estado tiene un compromiso en esta empresa que afecta a una muestra base un mejoramiento del nivel de vida de los españoles y que ha de finalizar una cantidad enorme de trabajo, pues se trata de un programa de actividades.
Al terminar, recordó algo que debían tener siempre presente los españoles. El comercio; otro es la felicidad de planes, y tenemos la seguridad de llevar a cabo.
Discurso del ministro de Agricultura
A continuación el ministro de Agricultura pronunció un discurso, en el que dijo que la importancia fundamental de la agricultura agrícola es la planta que no crea hasta falta alguna, aunque se agotó de tal orden.
Son causas perennales originadas del problema de España, entre otras, la desorganización de los patrimonios comunales, la distribución de nuestra riqueza forestal y las dificultades surgidas a la agricultura a partir de los cambios del precio trigo y los cambios de los precios de las especies agrícolas que han de tener muy en cuenta para su resolución las especiales condiciones climatológicas de nuestra Península, lo que requiere que para conseguir una verdadera independencia en productos agrícolas y alimentos como el trigo y el maíz en base apropiadas al agua recibida.
En general, hacia fines de siglo pasado y principios del presente, coincidiendo con una y con la crisis de los grandes negocios agrícolas, se mandó a los agricultores paralizarse en España y en otros países europeos, caracterizadas graves que no pudieron ser menos de superar la abstracción de los Chileanos.
El primer error grave que cometieron en España para impedir la resolución de

esta vasta programa de trabajo, gracias a un estudio que son trajo el estudio, que así haciendo servir los mejores talentos de nuestra historia patria y que sabe magistralmente terreno y clima, ante tantas dificultades e incertidumbres, exactamente porosa en la encarnación de la España verdadera, de la España importante.
Queda aprobado el dictamen de electrificación de ferrocarriles.
Bilbao que al plan de electrificación se leen y aprueban el dictamen sobre la reforma de la Mancomunidad de los canales del Tago y el decreto-ley sobre aplicación a las industrias de producción cinematográfica de las disposiciones de la ley de 24 de noviembre de 1939 sobre ordenación y defensa de la industria.
PROYECTO DE LEY SOBRE EXPROPIACION DE FINCAS RUSTICAS
Habló el señor Lano de Euzkadi, Comandante de las al provincia de las sobre expropiación social de fincas rústicas en la debida indemnización, previa declaración de interés social. Lo defendió el señor Lano de Euzkadi, en un brillante discurso, en el que hace una historia de la crisis, la ley y demagogia que se ha hecho siempre de ese tema tan profundo, socioeconómico y humano, el tema de la tierra.
Discurso del ministro de Agricultura
A continuación el ministro de Agricultura pronunció un discurso, en el que dijo que la importancia fundamental de la agricultura agrícola es la planta que no crea hasta falta alguna, aunque se agotó de tal orden.
Son causas perennales originadas del problema de España, entre otras, la desorganización de los patrimonios comunales, la distribución de nuestra riqueza forestal y las dificultades surgidas a la agricultura a partir de los cambios del precio trigo y los cambios de los precios de las especies agrícolas que han de tener muy en cuenta para su resolución las especiales condiciones climatológicas de nuestra Península, lo que requiere que para conseguir una verdadera independencia en productos agrícolas y alimentos como el trigo y el maíz en base apropiadas al agua recibida.
En general, hacia fines de siglo pasado y principios del presente, coincidiendo con una y con la crisis de los grandes negocios agrícolas, se mandó a los agricultores paralizarse en España y en otros países europeos, caracterizadas graves que no pudieron ser menos de superar la abstracción de los Chileanos.
El primer error grave que cometieron en España para impedir la resolución de

• Artykuł z „La Vanguardii” obwieszczający przybycie do Barcelony pierwszej grupy polskich dzieci.

Bardzo szybko obowiązki konsulatu zostały jednak rozszerzone o te nieoczekiwane i nieoficjalne, wymuszone tragicznymi wypadkami najpierw w Hiszpanii, a potem w Europie. Pracy zaczęło przybywać latem 1936 roku, po wybuchu hiszpańskiej wojny domowej (17 lipca). Działania wojenne odcięły drogę powrotu do Polski handlowcom, artystom, dziennikarzom, także sportowcom, którzy przyjechali do Barcelony na Olimpiadę Ludową. Miała ona być przeciwwagą letnich igrzysk organizowanych przez Hitlera w

Berlinie. Jednak dwa dni przed uroczystym otwarciem barcelońskich zawodów Francisco Franco, komendant jednostki na Wyspach Kanaryjskich, rozpoczął pucz wojskowy. Wydarzenia miały się zakończyć po kilku tygodniach, lecz przerodziły się w trwającą trzy lata bratobójczą wojnę, a potem – w czterdziestoletnią dyktaturę. Wielu polskich sportowców zdecydowało się na pozostanie w walczącej Hiszpanii i wstąpiło do Brygad Międzynarodowych. Polacy byli w nich nacją najliczniejszą po Francuzach.



• General Władysław Anders z wizytą u dzieci, 1952 r.

Do Barcelony trafiali z całej Hiszpanii potrzebujący pomocy Polacy, bo na czas działań wojennych zamknięto w Madrycie polskie Poselstwo. Konsul Honorowy Eduardo Rodón i Blasa musiał łączyć obowiązki zawodowego konsula i ambasadora. Z tą tylko różnicą, że sam pokrywał koszty wynajmu biura, drogich rozmów telefonicznych i wielokrotnie ryzykował życie. Na czas wojny domowej w mieście pozostała Wanda Morbitzer Tozer. Planowała wyjechać, ale lekarz kazał jej wygrzewać na słońcu chore kolano. „Bez słońca – ostrzegał – grozi amputacja”. Konsulat Honorowy został wtedy przeniesiony do małego lokalu przy ulicy Castelló, naprzeciwko istniejącego do dzisiaj parku i ogrodu. W Barcelonie najelegantsze dzielnice miasta położone są daleko od portu, na wzgórzach. Podczas wojny domowej były rzadziej bombardowane.



• Plac Tetuán.

W czasie wojny pod ogrodzeniami domów tych właśnie ulic często przesiadywały dzieci z dzielnic portowych. Tam przeczekiwały bombardowania. By umilić im dzień, mąż pani Wandy, Brytyjczyk Harry Tozer, w oknie mieszkania organizował marionetkowe przedstawienia. To on przywiózł do Hiszpanii pierwsze marionetki. Były jego pasją. Ich wyrabianie nauczył się w Paragwaju, gdzie mieszkał wiele lat. Szanowany księgowy dużej barcelońskiej firmy wolne chwile spędzał na budowaniu poruszanych sznurkami kukiełek. Podejrzewano nawet, że przebrany za pajaca zabawiał barcelońskie dzieci w schronach podczas nalotów. Owego anonimowego do dzisiaj arlekina, który odwracał uwagę dzieci od horroru wojny, kiedy na miasto spadały bomby, utrwalił słynny fotoreporter Robert

Capa. A artykuł o nim napisał niemniej słynny Joseph Roth – mówiący po polsku i pochodzący spod Lwowa Austriak żydowskiego pochodzenia, korespondent wojenny. Po I wojnie światowej był najlepiej opłacanym dziennikarzem w Niemczech. Popełnił samobójstwo, gdy się dowiedział, że hitlerowcy zajęli Zaolzie. To jednak nie Tozer przebierał się za klauna. On zabawiał dzieci skonstruowaną w 1936 roku kukiełką Pompilio w kraciastej czapce i pasiastej koszulce.

W styczniu 1936 roku narodowe wojska generała Franco zajęły Barcelonę, a miesiąc później Francja, Włochy i Wielka Brytania uznały jego dyktatorski rząd. Jednak zerwały z Hiszpanią stosunki polityczne i gospodarcze. Kraj został odizolowany od reszty Europy. Hiszpania w pierwszych powojennych latach niemal otarła się o autarkię. Mieszkańców zwaśnionego kraju pozostawiono własnemu losowi. To wtedy Francuzi z przekąsem zaczęli mówić, że Europa kończy się na Pirenejach, czego do dzisiaj nie mogą wybaczyć im mieszkańcy Półwyspu Iberyjskiego.

Kilka miesięcy później wojna wstrząsnęła drugim krańcem kontynentu. Osłabiona bratobójczą walką Hiszpania nie włączyła się do działań, ale nie zachowała też neutralności. Franco sympatyzował z poczynaniami Hitlera. Obaj przywódcy spotkali się w 1940 roku na dworcu kolejowym w Hendaye, na granicy hiszpańsko-francuskiej. Rozmawiali przez siedem godzin, generał Franco na piśmie zobowiązał się, że przystąpi do działań wojennych. Nigdy tego jednak nie zrobił, w zamian za poparcie zażądał od Hitlera zbyt wysokiej ceny – francuskich i brytyjskich kolonii. „Prezent” miał być dla generała początkiem odbudowy hiszpańskiego imperium. Ale nawet Hitlera nie było wtedy stać na taki podarunek. Ryzykowałby utratę ważnego sprzymierzeńca – francuskiego rządu Vichy. Po spotkaniu na dworcu przywódca III Rzeszy powiedział ponoć, że szybciej da sobie wyrwać bez znieczulenia pół tuzina zębów, niż ponownie zgodzi się na rozmowę z „tchórzliwym i plugawym Franco”.

Polski Konsulat Honorowy ponownie zaczął łączyć oficjalne obowiązki z tymi nieoficjalnymi, podziemnymi, i pomagał polskim uchodźcom, którzy przechodzili przez Pireneje. Po napaści na Polskę Niemiec i Związku Radzieckiego, do barcelońskiego biura zgłaszali się najpierw cywile, a potem zdemobilizowani polscy żołnierze i lotnicy. Nie ma dokładnych danych podających liczbę tych, którym Konsulat Honorowy uratował życie. Nikt nie prowadził rejestru ze względu na bezpieczeństwo. Z oficjalnych statystyk wynika, że w czasie II wojny światowej do Portugalii przedostało się pięć i pół tysiąca osób. Co najmniej drugie tyle – na Gibraltar i do Wielkiej Brytanii. Wiele spośród tych osób uratowali pracownicy barcelońskiego konsulatu. Wiadomo, że wśród tych, którym pomogli, było co najmniej siedmiuset polskich lotników.

W zależności od potrzeb pomieszczenia placówki dyplomatycznej zamieniano w zaimprovizowane sypialnie, jadalnie, a nawet w salon fryzjerski, bo słowiańskim blond uchodźcom trzeba było farbować włosy na ciemno. Polacy przybywali głodni, utrudzeni i spragnieni, dlatego w pomieszczeniu konsularnego archiwum zawsze stała

elektryczna kuchenka, a w szafie znajdował się zapas herbaty, sucharów i skondensowanego mleka. Cichym poplecznikiem podziemnej działalności pracowników instytucji okazał się stróż budynku, który ukrywał zbiegów w schowku na szczotki, dopóki konsul nie rozpoczął pracy.

Dobrą kryjówką było też prywatne mieszkanie państwa Tozer przy ulicy Marquesa de Villalonga. Ich córka Cristina pamięta, że często nocami trzeba było uważać, by nikogo nie nadebrać, gdyż ukrywających się było tak wielu, że musieli spać na podłodze. Za adres Wandy Tozer uciekinierzy płacili w Marsylii nawet czterysta franków. Zdarzało się, że pracownicy konsulatu czekali na uciekinierów w pobliżu granicy. Misji tej często podejmował się Konsul Honorowy, łamiąc prawo i nie stosując się do zakazów lokalnych władz, jako że na zbliżenie się do granicy były potrzebne specjalne dokumenty, których zwykle nie wydawano dyplomatom.

Dzięki finansowemu wsparciu polskiego Rządu na Uchodźstwie, barceloński konsul opłacał grupę *passeurs* – przewodników – którzy przeprowadzali Polaków przez Pireneje. Zadanie to stało się trudniejsze i niebezpieczniejsze od 1941 roku, kiedy Niemcy zajęli Francję i zaczęli patrolować granicę z Hiszpanią. Jednym z tych, którzy wtedy właśnie pokonali granicę, był hrabia Zygmunt Raczyński i jego dwudziestoletni syn – krewni ówczesnego ministra spraw zagranicznych Rządu na Uchodźstwie w Londynie, Edwarda Raczyńskiego. Kiedy rozstrzelano ich bliskich, uciekli z Krakowa i przez Węgry, Jugosławię, Włochy, Monachium i Marsylię dotarli do Hiszpanii. Za bezpieczne doprowadzenie ich do Barcelony zapłacili przewodnikowi trzy tysiące peset, co na owe czasy było fortuną, jednak ten porzucił ich w górach.

Szlak przez Barcelonę przeszli też dwaj polscy kryptolodzy Henryk Zygalski i Marian Rejewski, słynni pogromcy niemieckiej maszyny szyfrującej Enigma, którzy wspólnie z Jerzym Różyckim zrekonstruowali system wewnętrznych połączeń maszyny. Musieli uciekać po zajęciu Francji przez Niemców i likwidacji tamtejszego centrum kryptologii. Przeszli Półwysep Iberyjski, przez zieloną granicę dostali się do Portugalii, z portugalskiego wybrzeża – na Gibraltar, a następnie do Wielkiej Brytanii. Dostarczyli Brytyjczykom informacji pozwalających odszyfrować kod Enigmy. Na pamiątkę sukcesu polskich matematyków 25 stycznia obchodzony jest Międzynarodowy Dzień Kryptologii.

Każdy z Polaków musiał się ukrywać średnio piętnaście dni, bo tyle trwało wyrobienie dokumentów. Z nową tożsamością, a często i kolorem włosów, uchodźcy wyruszali w dalszą drogę. Trasę między Barceloną a stolicą Hiszpanii zwykle pokonywali nocnym pociągiem osobowym. Wprawdzie włókł się on ponad dziesięć godzin, ale rzadziej był kontrolowany przez frankistowską policję. Potem bezpieczniejszy okazał się pociąg do Walencji, gdzie przesiadali się do osobowego, niekontrolowanego przez policję. W Madrycie Polacy musieli jak najszybciej zniknąć z dworca i przedostać się do polskiego Poselstwa, które we współpracy z Konsulatem Honorowym pomagało uchodźcom dotrzeć do bezpiecznych rejonów świata.

Wszystkie te poczynania były możliwe dzięki pomocy konsulatu brytyjskiego, który przejmował część Polaków i wydawał im dokumenty kanadyjskie. Z Konsulem Honorowym z Barcelony współpracowały też placówki dyplomatyczne Meksyku i Chile.

Równie ważne były także kontakty, które Wanda Tozer nawiązała z katalońskim ruchem oporu, Esquerra Republicana de Catalunya – Republikańską Lewicą Katalonii, partią polityczną, która działa do dzisiaj, i Front Nacional de Catalunya – Frontem Narodowym Katalonii, niepodległościową organizacją powstałą w 1940 roku i istniejącą do roku 1982. Po agresji Niemiec na Polskę popierające aliantów katalońskie dowództwo (Rada) Ruchu Oporu wydało rozkaz, aby pomagać Polakom w dotarciu do wolnej strefy we Francji, a stamtąd do Hiszpanii. Wielu rodaków ocalało i przedostało się do innych krajów dzięki pomocy katalońskich organizacji anarchistycznych. To ich członkowie wyrabiali fałszywe dokumenty, szukali Konsulatowi Honorowemu mieszkań na kryjówki i bezpiecznie przeprowadzali nowo przybyłych przez miasto.

Núm. 562 (3)

"PRO POLONIA"

SECCIÓN DE AYUDA PARA LOS REFUGIADOS

Hemos recibido de D. Ignacio Rodón
cantidad de pesetas 5

correspondiente al mes de la fecha.

Barcelona, 1 de Febrero de 1942

El Tesorero,
Ana María Rodón

- Jedna z „cegiełek”, które sprzedawała Anna Klemensiewicz, aby pomóc uwięzionym Polakom.



- Czytelnia w Konsulacie Honorowym w Barcelonie. Pierwszy od lewej stoi konsul Eduardo Rodón i Blasa, obok Wanda Morbitzer Tozer, a za stołem siedzi Anna Klemensiewicz.



- Willa na Vallcarce, tu mieszkali dzieci, a na parterze mieściła się polska szkoła podstawowa.



- Uroczystości w Generalitat, siedzibie katalońskiego Rządu. Na pierwszym planie Cristina Tozer, córka Wandy, obok marionetka jej ojca.

Miejscami spotkań Wandy Tozer z katalońskim podziemiem były kawiarnia Amaya przy słynnej Rambli i mały, zapyziały bar przy wąskiej uliczce El Tigre w starej barcelońskiej dzielnicy Raval. Jak sama Wanda Tozer zapisała w niewydanych pamiętnikach, była to spelunka, do której schodziło się po stromych schodkach i w której śmierdziało smażonym olejem. Tam Wanda Tozer odbierała fałszywe dokumenty, przepustki, fotografie, bilety kolejowe. Przynoszono jej rachunki, na podstawie których dostawała dodatkowe przydziały żywności. Pomagał jej anarchista imieniem Antonio. Nie ukrywał, że po wojnie domowej, aby ustrzec się więzienia, sam korzystał z fałszywych dokumentów. Pracował w miejskim urzędzie racjonowania żywności i pomagał Konsulatowi oraz polskim uciekinierom, dopóki nie został aresztowany.

Na mieszkańca Barcelony przypadało wówczas tygodniowo 250 gramów chleba, 125 gramów mięsa, po 100 gramów ryżu i fasoli i jedna czwarta litra oleju. Aby wyżywić polskich uciekinierów, trzeba było kupować drogie produkty na czarnym rynku. Dlatego pomoc Antonia była wyjątkowo cenna.

Jego siostrze, podobnie jak on anarchistce, drobnej i eleganckiej Dolores Blanco, konsulat po cichu wypłacał pensję. To dzięki jej pomocy w co najmniej dziesięciu barcelońskich kamienicach w czasie II wojny światowej potajemnie wynajmowane były mieszkania, w których ukrywano Polaków. Wanda Tozer twierdziła, że mimo urody i zawsze nienagannego stroju Dolores nie zwracała na siebie uwagi. Zdobywała też lekarstwa. By je odebrać, panie spotykały się zwykle na zatłoczonej barcelońskiej Poczcie Głównej. Z Konsulatem Honorowym współpracował też Joan Muñoz, nauczyciel angielskiego, niegdyś urzędnik Katalońskiego Rządu Republikańskiego. Za każdego Polaka, któremu znalazł kryjówkę w Barcelonie, dostawał od Konsulatu pięć peset – czyli równowartość pięciu kanapek z rybą.

Dyplomaci pomagali nie tylko uciekinierom, ale też polskim więźniom. W czasie wojny domowej leżący na wzgórzu Montjuïc modernistyczny Palau de les Missions – jedna z budowli wzniesionych na Światową Wystawę w 1929 roku – zamieniono w zakład karny. W dzielnicy Les Corts, przy Avinguda Diagonal, gdzie teraz stoi słynny dom towarowy El Corte Inglés, nie więcej niż dziesięć minut na piechotę od stadionu Camp Nou, przez lata istniało więzienie żeńskie, do którego trafiały anarchistki, republikanki i komunistki. Panowały tam nieludzkie warunki. W celach przeznaczonych dla dwudziestu osób przetrzymywano nawet dwieście więźniarek. Wszystko to opisała Mavis Bacca, która spędziła tam cztery lata *Acusada d'espia a la Barcelona Franquista 1939–1943* (Oskarżona o szpiegostwo w frankistowskiej Barcelonie 1939–1943).

W czasie wojny domowej była tam przetrzymywana María Luz Morales, autorka wydanej w 1945 roku *Historia de Polonia*. Napisała ją pod pseudonimem „M. Luzscienski” i zadedykowała Wandzie Tozer. María Luz Morales była pierwszą w historii Hiszpanii kobietą redaktorem naczelnym gazety. Za to trafiła do więzienia. Przed i w czasie wojny domowej kierowała „Diario de Barcelona” – dziennikiem, który wychodził od

końca XVIII wieku do 2009 roku. Współpracowała z nim do śmierci; zmarła w wieku 91 lat. Na początku lat trzydziestych, podczas pobytu w Madrycie, poznała Marię Skłodowską-Curie i jej córkę Ewę. Razem mieszkały w rezydencji dla pań, bo Polka nie znosiła hoteli. María Luz Morales nigdy nie podzieliła się swymi przeżyciami z więzienia. Twierdziła, że były zbyt okrutne i poniżające. Do więzienia na Les Corts i innych, w których przetrzymywano Polaków, pracownicy polskiego Konsulatu Honorowego i prowadzonego przez żonę konsula polskiego oddziału Czerwonego Krzyża dowozili koce, ubrania, sienniki i lekarstwa. A do La Modelo – zakładu karnego w centrum miasta, zamkniętego w 2014 roku – przywozili nawet posiłki. Na prośbę konsulatu przygotowywała je okoliczna jadłodajnia. Polscy uchodźcy, którzy podczas próby przedostania się do Barcelony zostali aresztowani przez frankistowską policję, byli przetrzymywani w więzieniach w Puigcerdà, Sort i Figueres – mieście Salvadora Dalego. W zbudowanym przez Franco na życzenie Gestapo obozie koncentracyjnym w Miranda de Ebro przetrzymywano ponad stu Polaków. Podobnie jak w Burgos, Saragossie i Palencji. W 1941 roku, na żądanie Gestapo, *caudillo* wydał Niemcom trzysta siedemdziesięcioro czworo Polaków, których polski Czerwony Krzyż usiłował uwolnić z więzień i wysłać do Stanów Zjednoczonych. Wszyscy trafili na roboty przymusowe.

Podobny los groził też Wandzie Morbitzer Tozer. Polka została ostrzeżona przez brytyjski wywiad. Po aresztowaniu sędziowie zarzucili jej tylko nielegalne przekraczanie granicy. Nie mieli dowodów, żeby oskarżyć ją o udzielanie pomocy uchodźcom. Łagodne potraktowanie sekretarz Konsulatu Honorowego nie spodobało się Gestapo i to pod jego naciskiem Wandę Tozer ponownie aresztowano i tym razem postawiono przed trybunałem wojskowym w Burgos. Tam oskarżono ją o szpiegostwo, skazano na osiemnaście lat więzienia i wydalenie z Hiszpanii. Zanim ogłoszono wyrok, w listopadzie 1943 roku pani Wanda uciekła do Portugalii, najpierw do Elvas, a potem do Lizbony. Przeszła szlak, w pokonaniu którego wcześniej pomagała tysiącom osób. W Barcelonie zostawiła męża i córkę. Wróciła w grudniu 1945 roku, a dwa lata później wyrok został unieważniony. Jej historię opowiedział w Katalonii Daniel Arasa w *50 històries catalanes de la Segona Guerra Mundial* (50 katalońskich historii z czasów II wojny światowej).

Kiedy Wanda Tozer musiała uciekać, a współpracujący z nią anarchiści zostali aresztowani, ster przejął polski oddział Czerwonego Krzyża. Żona konsula – Anna Maria Klemensiewicz „Hanka” – wzięła na siebie organizowanie pomocy przebywającym w zakładach karnych, przygotowanie przerzutów i zakwaterowanie uciekinierów z Polski. Od 1 września do 15 listopada 1943 roku kierowany przez nią oddział Czerwonego Krzyża wspierał więźniów w Figueres, Leidzie, Gironie i Barcelonie. Pod jego nadzorem trzystu Polaków zostało nielegalnie przetransportowanych do Madrytu w trzech konwojach.

Dzięki staraniom „Hanki” każdy uwięziony w Katalonii Polak dostawał z konsulatu sto peset. Udało się jej niektórym z przetrzymywanych przenieść do hoteli i położonego blisko Barcelony uzdrowiska Caldes de Malavella. Inni po wyjściu na wolność mieszkali w

nieistniejącym już pensjonacie Azucena, gdzie, aby ulżyć ich doli, gotowano polskie dania. Kiedy zabrakło pieniędzy z Londynu, Anna Maria Klemensiewicz zaczęła sprzedawać cegielki na rzecz polskich więźniów „Pro Polonia (Dla Polski). Dział Pomocy Uchodźcom”. Pieniądzy nie szczędzili mieszkający w Barcelonie polscy Żydzi. Przy słynnej przed wojną z kasyn i domów schadzek ulicy Conde del Asalto wielu z nich otworzyło małe sklepiki z krawatami, używaną odzieżą, kapeluszami. Pieniądze dawali też Katalończycy. Prowadzona przez konsulat misja pomocy uchodźcom trwała wiele lat po zakończeniu II wojny światowej, bo do 1956 roku. Ostatnimi, którym udzielono pomocy, były polskie sieroty z niemieckich i austriackich obozów dla uchodźców.

W 2004 roku w siedzibie Konsulatu Generalnego w Barcelonie ówczesny konsul, Zygmunt Fabjański, pośmiertnie odznaczył Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej swojego przedwojennego poprzednika i jego żonę – Konsula Honorowego Eduarda Rodóna i Blasę oraz Annę Marię Klemensiewicz. Medal ten jest przyznawany obcokrajowcom i mieszkającym na obczyźnie Polakom, których działalność przysłużyła się Rzeczypospolitej.





• Jurek Janiszewski w Barcelonie.

SYMBOL Z PRZYPADKU

Do TAJJER – pracowni Jurka Janiszewskiego w Barcelonie nie sposób było nie trafić. Mieściła się na drugim piętrze kamienicy przy ulicy Girona, niespełna dwie przecznice poniżej słynnej Avingudo Diagonal. By nikt nie miał wątpliwości, że odnalazł drogę, do wielkich drewnianych drzwi był przy dzwonku przyklejony znak NSZZ „Solidarność”. Tam właśnie, w typowym dla barcelońskiej dzielnicy Eixample przestronnym mieszkaniu, miał pracownię autor najbardziej rozpoznawalnego polskiego znaku, a potem winiety „Tygodnika Solidarność” i napisu na plakacie filmu Andrzeja Wajdy *Człowiek z żelaza*.

Dzielnice tę w XIX wieku zaprojektował Ildefons Cerdà. W Barcelonie nastał wtedy czas rewolucji przemysłowej i miasto, wciąż opasane średniowiecznymi murami, zaczęło się dusić. Zgodnie z założeniami architekta, zajmującą prawie osiem kilometrów kwadratowych centralną część Barcelony podzielono na stumetrowe kwadraty. Ścięto im boki, aby skrzyżowania ulic utworzyły niewielkie place okalające kamienice, a środki miały wypełniać ogrody, które jednak powstały tylko w niektórych z nich. Teraz, zamiast drzew i kwiatów, owe „wnętrza jabłek”, jak potocznie nazywa się kwartały ulic z przestrzenią w środku – są poszatowane patiami i tarasami. Współcześni mieszkańcy miasta obliczają odległość „na jabłka”. Przechodzień pytający o drogę zwykle usłyszy: „Idź dwa jabłka w górę, zjedź trzy jabłka w dół...”.

Wyjątkowy urok mają też mieszkania na Eixample. Wysokie, ze zdobnymi drzwiami, sufitami, podłogami wykładanymi kamienną mozaiką i ciemnymi pomieszczeniami, których przeznaczenie nie zawsze łatwo określić. Nietypowo oznaczane są też piętra. Zdarza się, że ktoś mieszkający nominalnie na pierwszym, w rzeczywistości mieszka na trzecim, bo niżej znajduje się *principal* – główne, najważniejsze piętro, na które stać było tylko najbogatszych, i *entresuelo* – niskie półpiętro, przeznaczone dla służby. W całej dzielnicy domy są do siebie przyklejone i światło dzienne wpada do mieszkań jedynie od ulicy i podwórza. Dlatego zwykle w środkowych pokojach mieszkań na Eixample panuje mrok.

Pracownia Jurka wychodziła na szeroką ulicę Girona i zawsze było w niej jasno. Pod ścianami dawnego salonu zabytkowego mieszkania ustawiono biurka, nad którymi wisały drewniane półki. Na pulpity stały włączone komputery. Na życzenie Polaka ściany pomalowano na stalowy kolor. I wszystko razem, w połączeniu z panującym tam artystycznym nieładem, sprawiało, że chciało się przebywać w tym wnętrzu.

Swojsko robiło się już po przekroczeniu progu mieszkania. Na małym stoliku w przedpokoju piętrzyły się kubki, filiżanki i stał czajnik. I goście mogli wybierać: kawę albo herbatę. Katalończycy rzadko piją herbatę. Wtedy w sklepach i barach była tylko niesmaczna, ekspresowa z rysunkiem smoka na opakowaniu. I nie zawsze nawet tę podawali w barach. Zdarzało się, że barman odmawiał, bo nie wiedział, jak ma ją

zaparzyć. Często też odpowiedzią było pytanie: „Boli cię brzuch? Lepiej wypij rumianek”.

W tamtym mieszkaniu, w studiu TAjJER, gwar dobiegał z ulicy, ale też głośno było w środku. Jurek Janiszewski dzielił je z fundacją A flor de tiempo (Na kwiat czasu) Paco Ibáñeza – hiszpańskiego barda, opozycjonisty wobec reżimu generała Franco, śpiewającego poezję Garcii Lorki, Rafaela Albertiego i Luisa de Góngory. W czasach dyktatury Ibáñez wyemigrował do Paryża. Jego koncert zagrany w paryskiej Olimpii w 1969 roku był jednym z najważniejszych „podziemnych” muzycznych wydarzeń komentowanych w Hiszpanii.

Obaj artyści poznali się właśnie w Paryżu. Jurek Janiszewski mieszkał wtedy w Niemczech. W stanie wojennym przyjaciele pomogli mu opuścić kraj. Aby wyrwać go z Polski, zorganizowali wystawę jego prac. Wyjechał i został. Potem zaproszono go do Paryża, na obchody rocznicy 13 grudnia. Szybko rozeszła się wieść, że to on jest autorem symbolu Solidarności.

Dowiedział się o tym też Ibáñez, odnalazł Jurka i poprosił, żeby zaprojektował logo do utworzonego wtedy przez niego stowarzyszenia La Carpa (Namiot). Chciał połączyć w nim ludzi kultury, muzyków, malarzy, pisarzy. Nie udało mu się to, mimo wsparcia niektórych artystów. W czerwcu 1985 roku, podczas pierwszego po latach koncertu w Madrycie, w Pałacu Sportu, który był też pierwszym wydarzeniem organizowanym przez La Carpa, Paco Ibáñezowi towarzyszyła na scenie między innymi Ewa Demarczyk. „Wielka polska nieznajoma, której głos i aranżacja piosenek sprawiły, że zniknęły wszystkie bariery kulturowe, jakie oddzielają krańce Europy” – napisał potem o niej krytyk w „El País”. Plakat i materiały promujące koncert również zaprojektował polski artysta grafik.

W pracowni Jurka Janiszewskiego na Eixample powstały wszystkie plakaty i publikacje koncertowe Paco Ibáñeza, nowe opracowania okładek do jego płyty *Paco Ibáñez 3*, na której śpiewa flamenco, czy innej – *Canta Brassens* (Śpiewaj Brassensa). W barcelońskiej pracowni TAjJER zostały zaprojektowane plakaty do drugiego Przeglądu Piosenki Prawdziwej w Sopocie, do filmu Izabelli Cywińskiej *Cud purymowy*, logotypy – na przykład Nadbałtyckiego Centrum Kultury w Gdańsku czy dla galerii sztuki Begoña Malone w Madrycie. W centrum Barcelony powstały również niektóre instalacje plenerowe. W położonej blisko dzielnicy Gracia, na tamtejszym zawsze obleganym Plaça del Sol (placu Słońca), a potem na Plaça del Rei, podczas słynnego letniego Festiwalu Grec, powiewało tysiące lekkich, kolorowych plastikowych wstążek.



- Pierwszy napis słowa „solidarność”, który powstał 20 albo 21 sierpnia 1980 roku. Następnego dnia Jurek Janiszewski poszedł z nim do stoczni. Na plakacie podpisali się Lech Wałęsa, Anna Walentynowicz, Henryka Krzywonos.

Jurek Janiszewski nie lubi opowiadać o czasach Solidarności: „Chciałem pomóc i zrobiłem napis. Zrobiłem swoje. Zwyczajnie, byłem w odpowiednim miejscu. Chciałem wesprzeć tamten ruch, przekazać im coś od siebie. Wszyscy czuliśmy wtedy powiew wolności. To, że to poszło w Polskę, a potem w świat, to już nie moja zasługa”. Na pomysł znaku wpadł podczas spacerów po strajkującej Stoczni Gdańskiej. Chciał być w środku i koledzy pomogli mu załatwić przepustkę. Jurek zwrócił uwagę, że najczęściej powtarzaniem słowem pisanym na murach jest „solidarność”: „solidarnie zwyciężymy”, „pomagamy solidarnie”.

W domu, po powrocie, 20 albo 21 sierpnia, to samo słowo „solidarność” artysta namalował na zwykłej kartce, pędzlem, czerwoną farbą. Litera „N” stała się w nim drzewcem biało-czerwonej flagi, która powiewa nad wyrazem. Chciał, żeby grube i zaokrąglone litery przypominały napisy na murze, których tak wiele było w stoczni podczas strajku.

Następnego dnia rano zaniósł projekt stoczniowcom. „Od pierwszego dnia ludzie brali ten znak, tak jakby od dawna do nich należał” – wspomina. Rozchwytywali przynieszone do stoczni kartki. Zaraz po pojawieniu się znaku Solidarności, KOR zaczął wydawać w Stoczni Gdańskiej biuletyn informacyjny pod tą samą nazwą. Bardzo szybko napis Jurka Janiszewskiego zaczął żyć własnym życiem. Był rozklejany na murach, słupach, latarniach, a pod koniec sierpnia koszulki ze słowem Solidarność nosili już strajkujący stoczniowcy.

Równie szybko na niewygodne słowo zareagował reżim, bo zupełnie zniknęło ono z łamów prasy, z radia i telewizji.

„Nie mogę się wymknąć temu napisowi” – narzeka teraz jego autor. Ani w ówczesnej pracowni w Barcelonie, ani obecnie w La Coruñi znany na całym świecie symbol nie zdobi żadnej ze ścian. Nie jest też prezentowany na pierwszej stronie artystycznego portofolio. Jednak to z nim artysta jest wciąż najbardziej kojarzony. „On na mnie ciąży” – narzeka. Lubiący flamenco Polak chciałby, żeby kojarzono go też z innymi projektami, na przykład plakatami dla Paco de Lucii, Camaróna de la Isla, Enrique Morente. By pamiętać, że to on w 2011 roku zaprojektował logo polskiej prezydencji w Unii Europejskiej, a wcześniej wystawiał swoje prace razem z innymi artystami w paryskim Centrum Pompidou. Dla Centrum Pompidou zrobił potem plakat na pięćdziesiątą rocznicę kina hiszpańskiego.

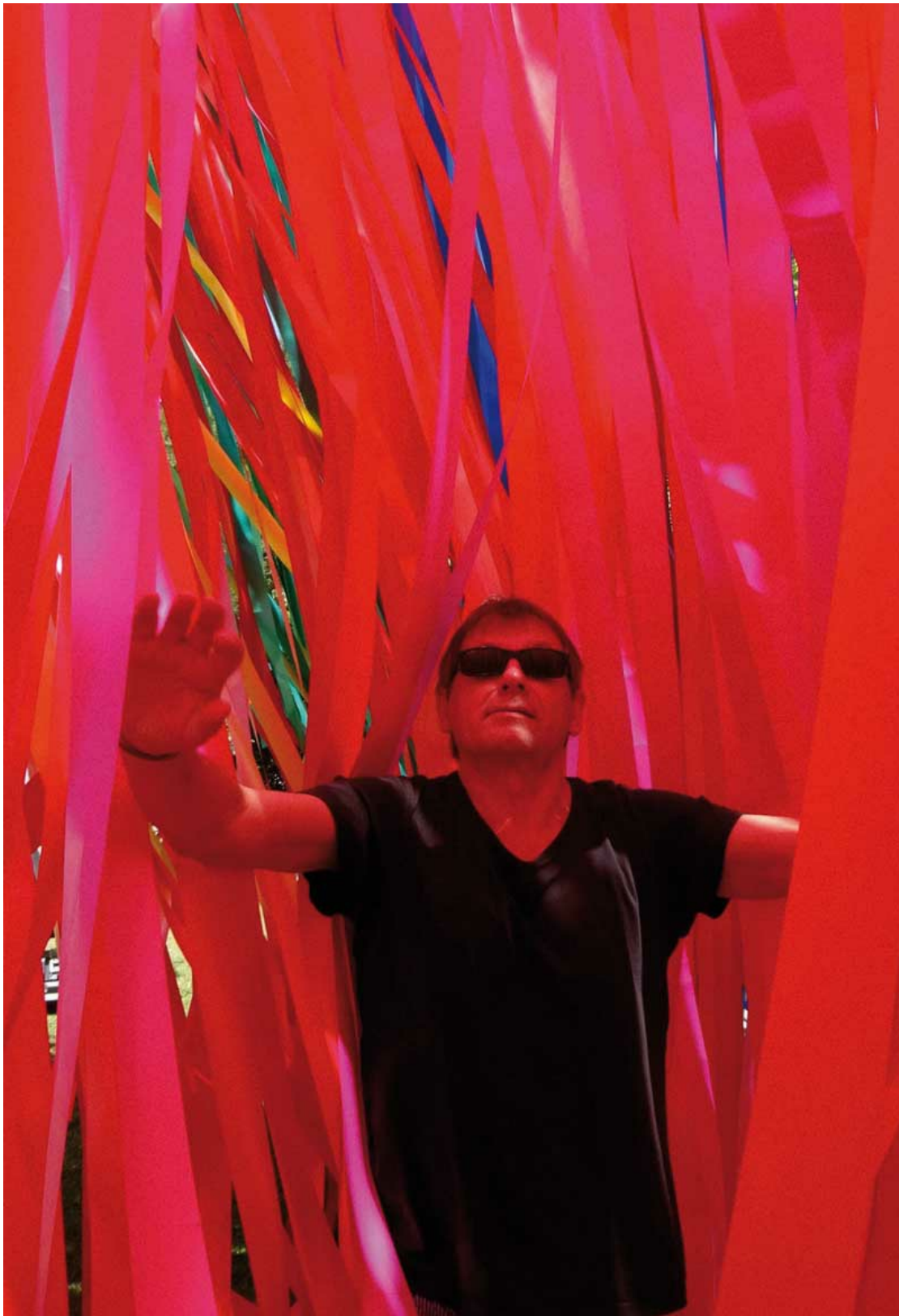


- Barceloński koncert Zespołu Reprezentacyjnego w 2014 roku z okazji 25-lecia Solidarności.



- Jedna z prac Jurka Janiszewskiego.

Jego kolorowe i szmerzące instalacje z wstążek powiewały w Gdańsku w 2012 roku, podczas obchodów rocznicy Solidarności pod nazwą *Koncert na wstążki*, a potem podobną *Viento de libertad* – (*Wiatr Wolności*) realizował w 2014 roku w polskiej ambasadzie w Madrycie. Zachęca, by zainteresowano się jego collage'ami: *Drogą Mleczną*, *Czarnymi myślami*, *Polem magnetycznym*, *Jasnymi spojrzeniami*. One między innymi zawisły w waszyngtońskiej galerii Charlesa Krausa Reporting Fine Art, z którą od czterech lat współpracuje. Pierwsza jego wystawa zorganizowana na przełomie lat 2011 i 2012 została uznana przez „Washington Post” za jedną z dziesięciu najlepszych ekspozycji roku. „Artysta, którego projekty graficzne zmieniły historię” – pisano wtedy o Jurku Janiszewskim. Jego klientami są media, teatry, instytucje prywatne i państwowe, organizatorzy festiwali i innych wydarzeń kulturalnych. Przyciąga go teatr, realizuje scenografie. Wkrótce weźmie udział w łódzkim festiwalu „Energia miasta”.



• Jurek Janiszewski i jego instalacja „Koncert na wstążki”.

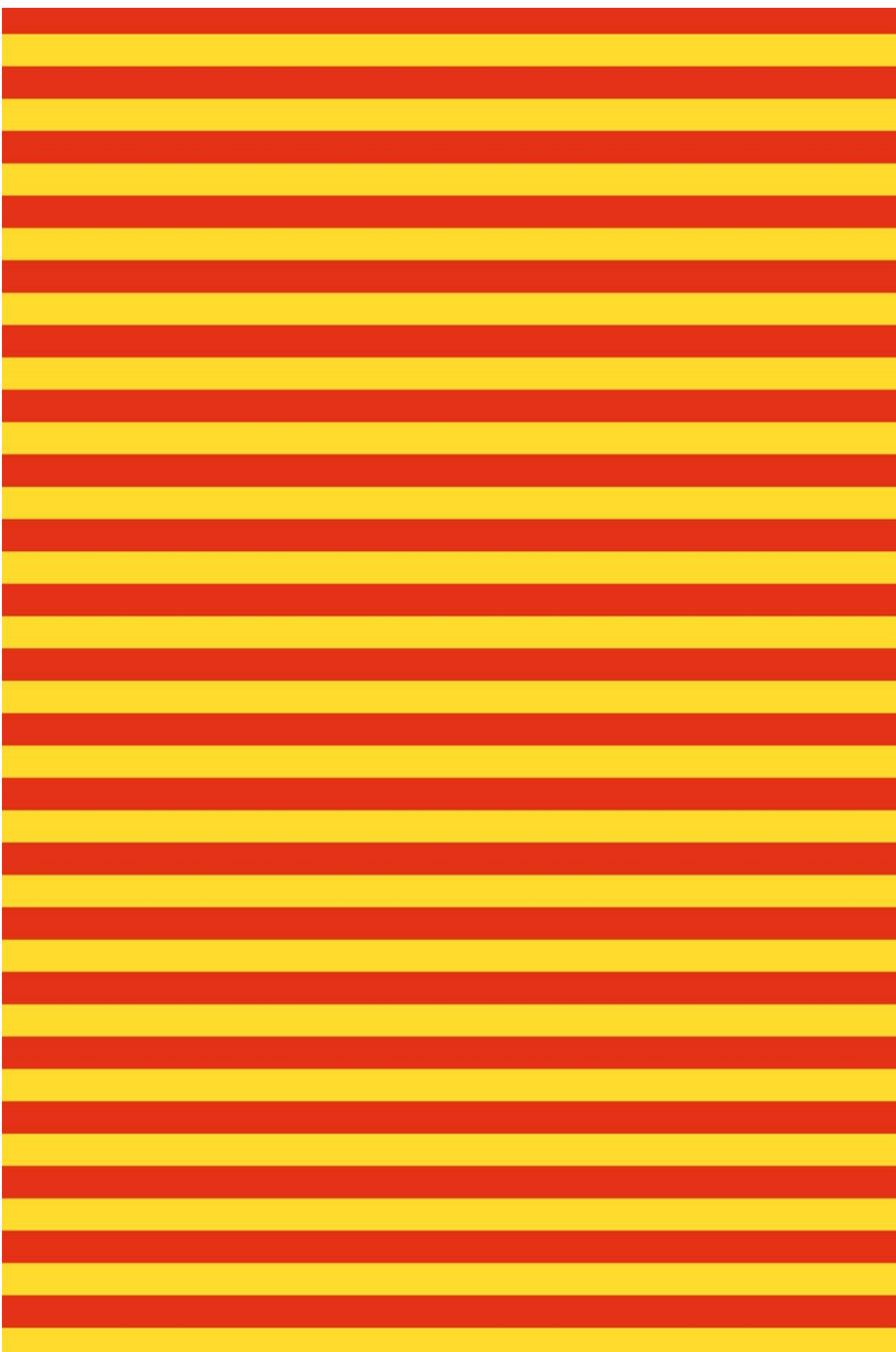


- „Viento de libertad” (Wiatr wolności), instalacja Jurka Janiszewskiego realizowana w 2014 roku w Madrycie.

Odwiedza Barcelonę, a kiedy odwiedza – spaceruje. Zastanawia się nad powrotem do miasta. Choć tam, gdzie teraz mieszka, w La Coruña, z okien pracowni widzi Ocean Atlantycki. To przy jego szumie i dźwiękach muzyki elektronicznej (nie byle jakiej – podkreśla) powstają nowe projekty.

Wie, że czasy świetności wymyślonego przez niego znaku już się skończyły. I jest rozczarowany Solidarnością. Będąc w 2012 roku w Gdańsku, zaktualizował tamten symbol. Nowy nie ma charakterystycznego kroju liter „solidarycy”; artysta każdą z nich namalował inaczej, rozbił je na małe, pojedyncze grupy, jakby to nie był już jeden wyraz. Są nierówne, kanciaste i trzepocą nad nimi niby te same narodowe flagi, ale każda zwrócona w inną stronę, każda powiewa na wietrze wiejącym z innego kierunku. „Żadnej Solidarności nie ma. Ludzie są podzieleni. Nie ma już nic wspólnego z tamtym okresem”.





WĘDKA, DZIADEK I PAL

Łowienie ryb w rzece Ter nieopodal Verges, małego miasteczka w okolicach Girony... Kto wie, prawdopodobnie gdyby nie to, nigdy nie powstałaby *L'estaca* – pierwowzór *Murów* Jacka Kaczmarskiego. Pieśń, bez której Hiszpanom trudno sobie wyobrazić ostatnie lata reżimu generała Franco i pierwsze lata demokratycznych przemian, a nam – końcówkę komunizmu, narodziny Solidarności i czas po Okrągłym Stole.

Nad rzeką Ter, na początku lat sześćdziesiątych, wiele godzin spędzał kilkunastoletni wtedy Lluís Llach – teraz pieśniarz niepodległej Katalonii i deputowany do katalońskiego parlamentu, a w czasach dyktatury – bard i symbol marzącej o demokracji Hiszpanii. W wycieczkach nad rzekę towarzyszył Narcisowi Llansa Tubau, dziadkowi Ponça Feliu, jednego z kolegów.

Zanim się poznali, Llacha nie interesowała polityka i nie znał przedwojennych dziejów Katalonii. Pochodził z konserwatywnej rodziny wspierającej reżim. Jego ojciec, lekarz i syn posiadaczy ziemskich, na ochotnika zaciągnął się do armii, żeby w czasie wojny domowej walczyć po stronie generała Franco. A po zakończeniu walk przez trzynaście lat był burmistrzem liczącego niespełna tysiąc mieszkańców Verges. Llach został wychowany zgodnie z obowiązującymi wtedy kanonami dobrze sytuowanej prawicowej rodziny: ukończył katolicką szkołę podstawową i średnią.

W czasach dyktatury do Kościoła należało ponad osiemdziesiąt procent szkół. Realizowały program narzucony przez powstałe w 1938 roku Narodowe Ministerstwo Edukacji, którego celem było wychowanie w duchu katolickim i patriotycznym. Szkoły publiczne miały niski poziom. Podczas wojny domowej reżim rozprawił się z nauczycielami, w większości zwolennikami republiki, uważanymi za wrogów ojczyzny. Ofiarami frankistowskiej edukacji były kobiety, które w zdecydowanej większości kończyły edukację najwyżej na szkole podstawowej, a program nauczania klas żeńskich przez wiele lat ograniczał się do nauki szycia, gotowania i robótek ręcznych – tego, co potrzebne, by zostać dobrą żoną.

Po ukończeniu szkoły Llach miał zostać inżynierem, ale w światopoglądzie i w głowie zamieształ mu dziadek kolegi. Narcís, z zawodu fryzjer, był w czasach II Republiki radnym z ramienia Republikańskiej Lewicy Katalonii – partii, która od powstania w 1931 roku walczy o niepodległość Katalonii. Czyli był nieprzyjacielem reżimu Franco, hiszpańskiej korony i podobnie jak jego nielegalna wtedy partia – zwolennikiem utworzenia przez Katalonię niepodległego państwa. „Jego opowieści były dla mnie lekcjami filozofii, historii i życia” – wspomina pieśniarz, który tak jak przed laty jego mentor, jest teraz jednym z zagorzałych zwolenników oderwania Katalonii od Hiszpanii.

Opowieści przyszywanego dziadka pozwalały Llachowi poznawać inną rzeczywistość,

której istnienia – choć ocierał się o nią każdego dnia – nie był świadomy. Kataloński bard wspomina, że aby słuchać opowieści, zostawiał kolegów, piłkę i rower i chodził z dziadkiem na ryby. A tam, nad rzeką Ter, najpierw słuchał go godzinami, a potem prowadził z nim długie polityczne rozmowy.

To Narcís Llansa Tubau kryje się pod postacią dziadka Siseta, bohatera *L'estaca* – pieśni, którą zapożyczyli od Llacha niemal równocześnie Zespół Reprezentacyjny i Jacek Kaczmarski i która jest pierwowzorem *Muru* i *Murów*. Pieśń Llacha opowiada o mocno wbitym w ziemię, zaostrzonym palu – *l'estaca* – do którego wszyscy są przywiązani. Nie mogą stawiać kroków, iść własną drogą, pal i sznur krępują ich ruchy. Dziadek Siset pociesza jednak, że pal uda się wyrwać z ziemi, na pewno jest już spróchniały. Ale żeby to zrobić, wszyscy razem muszą równocześnie pociągnąć za sznury. „I wtedy na pewno runie i będziemy mogli uwolnić się z więzów” – brzmi refren pieśni.

Lluís Llach napisał *L'estaca* w wieku dwudziestu jeden lat i wydał na swojej trzeciej płycie *Concèntric*. Dołączył ją w ostatniej chwili, niby od niechcienia, kiedy okazało się, że na płycie jest miejsce na jeszcze jeden utwór. Cenzura siedmiokrotnie odrzucała treść piosenki. Nie spodobał jej się tytuł, chciała, żeby nazywała się *Ahir* – wczoraj. Jednak, o dziwo, za każdym razem cenzorzy żądali wprowadzenia zmian wyłącznie do treści zwrotek. Ich uwadze umknął refren o padającym, spróchniałym palu i oswobodzeniu wszystkich z więzów. Prawdopodobnie go nie dosłyszeli. Bo na sali, gdzie się zebrali, żeby wysłuchać *L'estaca*, Llach im tę piosenkę... zanucił. „Bełkotałem pod nosem” – twierdzi. Żeby nie budzić podejrzeń czujnych cenzorów, zaprezentował ją też pod tytułem *Ahir*.

Stróże dyktatorskiego porządku dopiero rok później zorientowali się, że popełnili błąd i zakazali *L'estaca*. Zrobili to jednak za późno, bo Hiszpanie znali ją już na pamięć. Pieśń przerodziła się w antyfrankistowski hymn. W 1969 roku, krótko po ogłoszeniu zakazu, artysta występował w Palau de la Música – zabytkowej i najbardziej prestiżowej sali koncertowej Barcelony. Nie włączył *L'estaca* do repertuaru, bo nie mógł, i jak się okazało – nie musiał. W trakcie koncertu publiczność odśpiewała pieśń w całości. Llach milczał, a strażnicy reżimu byli bezsilni.

Wkrótce potem, podczas koncertu na Kubie, pieśniarz poskarżył się na dyktaturę. Wtedy był już w Hiszpanii uważany za twórcę katalońskiej piosenki zaangażowanej. Należał też do Els Setze Jutges (Szesnastu Sędziów), opozycyjnej organizacji, która śpiewaniem piosenek walczyła z reżimem generała Franco.

Kiedy na Kubie skrytykował rządy generała, salę opuścił ówczesny ambasador Hiszpanii w Hawanie. A zanim Llach wrócił do kraju, prasa doniosła o „komunistycznych i separatystycznych atakach katalońskiego artysty”. Popleczników dyktatury zabolalo, że zostali publicznie skrytykowani, ale jeszcze bardziej, że zrobił to Katalończyk. Pieśniarz znalazł się na cenzurowanym. Jak to określiła wtedy frankistowska bezpieka: „Jest niebezpieczny, bo przeszywającym spojrzeniem pobudza widownię do działań

rewolucyjnych”. Zabroniono mu na cztery lata występów w innych rejonach Hiszpanii, mógł śpiewać tylko w Katalonii.

Pieśniarz koncertował w małych salach, kameralnych teatrach, barach, nawet w prywatnych mieszkaniach. Na krzesłach zasiadała publiczność spragniona jego piosenek, ale też ciekawscy, którzy przychodzili, by pooglądać *melenudos* – czyli chłopaków z długimi plerezami. Na początku lat siedemdziesiątych zapuszczanie włosów przez mężczyzn było źle widziane, jako prowokacyjne, nieetyczne i niemoralne! Za wygląd można było wtedy spędzić noc na komisariacie. A wielu *melenudos* towarzyszyło występom Lluísa Llacha.

Podczas jego koncertów sale – często salki – były pełne. A kiedy się okazało, że do Katalonii zjeżdżają mieszkańcy dalekich regionów, aby go posłuchać na żywo, niebezpiecznie śpiewającemu i „przeszywająco” patrzącemu artyście całkowicie zakazano wstępu na hiszpańskie sceny. Wyjechał zatem do Paryża, gdzie koncertował nawet w słynnej Olimpii. Na jego występ przyszli Katalończycy, Hiszpanie, ale też Francuzi. Krytycy twierdzą, że był to jego najlepszy koncert.

W Hiszpanii można go było usłyszeć dopiero w 1976 roku, kilka miesięcy po śmierci Franco. Osłabiony reżim zgodził się na trzy publiczne występy artysty w Barcelonie. W położonym na Montjuïc Pałacu Sportu wysłuchało ich w sumie sto tysięcy osób. Potem Llach zaśpiewał w Gran Teatre del Liceu – barcelońskiej operze. Był pierwszym nieoperowym śpiewakiem, który wystąpił na jej scenie. A prawie dziesięć lat po śmierci dyktatora, kiedy w Hiszpanii zapanowała polityczna odwilż, na barcelońskim stadionie Camp Nou odbył się solowy Koncert Wolności Lluísa Llacha. Wydarzenie to przeszło do historii Katalonii. Na wypełnionych po brzegi trybunach wygaszono światła, widzowie przynieśli świeczki. W tej niezwykle podniosłej scenerii Llach zaśpiewał kilkanaście piosenek, między innymi pierwowzór *Murów*.

Podobny Koncert Wolności odbył się na Camp Nou w czerwcu 2013 roku. Trwał ponad sześć godzin. Jego celem było zmanifestowanie niepodległościowych dążeń Katalonii. Przy wypełnionych po brzegi trybunach wystąpili między innymi María del Mar Bonet, która towarzyszyła Lluísowi Llachowi w pierwszej podróży do Polski, i pieśniarz Paco Ibáñez, który kilkakrotnie koncertował w naszym kraju. Lluís Llach zaśpiewał a capella *Venim del nord, venim del sud* (Nadchodzimy z północy, nadchodzimy z południa). Podobnie jak w 1986 roku, wtedy też na stadionie wygaszono reflektory. Na koniec koncertu zabrzmiała zaś *L'estaca* zaśpiewana przez wszystkich artystów.



• Bożena Zaboklicka, tłumaczka i wykładowczyni literatury polskiej na Universitat de Barcelona.

L'estaca nie traci na sile. Pieśń katalońskiego barda rozlegała się na placu Tahrir podczas tak zwanej arabskiej wiosny. A zaraz potem – na placach hiszpańskich miast, kiedy to młodzi wspierający Ruch 15 Maja w 2011 roku rozstawili tam namioty. Nowa wersja tej pieśni powstała również w Tunezji, po śmierci Mohameda Bouazizi, który na znak protestu przeciw władzy dokonał samospalenia.

L'estaca wciąż nie wszystkim się podoba. Wykonania jej zakazały w 2015 roku władze Badalony – organizator odbywającego się od lat w mieście pod Barceloną festiwalu filmów krótkometrażowych Filmets. Nie zgodziły się, by orkiestra jazzowa akompaniująca rozdaniu nagród zagrała ten właśnie utwór podczas wręczania wyróżnienia za najlepszy krótkometrażowy film kataloński. Muzycy poskarżyli się publiczności i godzinę później zebrany pod amfiteatrem tłum odśpiewał *L'estaca*.

Lluís Llach musiał zaakceptować fakt, że jego utwór jest wykorzystywany na różne sposoby. Przez lata zagrzewał do boju drużynę i kibiców rugby we francuskim Perpignan. W 2002 roku *L'estaca* zaśpiewali manifestujący policjanci, którzy domagali się podwyżki pensji. Protest odbywał się pod komisariatem na Via Laietana – miejscem ze smutną przeszłością: w czasach dyktatury policja torturowała i przetrzymywała tam opozycjonistów. Tam też trafiali wtedy ci, którzy wbrew zakazom śpiewali tę pieśń. Nawet

należąca do Kościoła stacja radiowa COPE puszczała utwór w ramach protestu, kiedy odebrano jej kilka częstotliwości. A lewicowa partia Podemos (Możemy), zwana „hiszpańską Syriza”, odśpiewuje pieśń na zakończenie walnych zgromadzeń.

Swoją kompozycję wykorzystał do celów politycznych sam Lluís Llach. Podczas ostatniej kampanii wyborczej, w której startował z listy niepodległościowego Junts pel Sí (Razem za tak), artysta apelował o poparcie dla siebie i dla dziadka Siseta. Przypominał, że gdyby dziadek żył, na pewno walczyłby o niepodległość regionu. I przekonał tym wyborców. Od października 2015 roku zasiada w katalońskim parlamencie.

Pieśń, która podbiła Hiszpanię, a potem stała się hymnem Solidarności i symbolem polskich przemian, wcale nie spodobała się dziadkowi Sisetowi – Narcísowi Llansa Tubauowi. Na wspomnienie o piosence mentor machał ręką i mówił *Xiuminades* – głupoty. Mimo że za przyczyną *L'estaca* stał się jednym z najsławniejszych dziadków w Hiszpanii, nie utożsamiał się z bohaterem piosenki i krytykował jej słowa. Przyszywany dziadek muzyka zmarł w 1983 roku. Został pochowany na cmentarzu w Besalú – średniowiecznym miasteczku nieopodal Girony, które szczyci się pięknym, pochodzącym z X wieku warownym zamkiem. Od czasu do czasu katalońscy niepodległościowcy przychodzą na grób Siseta i śpiewają mu *L'estaca*. Prawdopodobnie nie wiedzą, że gestem tym wcale nie sprawiają mu przyjemności, jeśli ich słyszy.

W Verges, w Mas Pi – sosnowej willi – rodzinnym domu Llacha, wciąż stoi pianino, które dostał w prezencie od matki i na którym skomponował tę pieśń.





KATALOŃSKIE MURY

L'estaca przyjechała do Warszawy latem 1976 roku, pociągiem. Płyte koncertową *Barcelona. Gener de 1976* (Barcelona. Styczeń 1976) przywiozła z Hiszpanii Bożena Zaboklicka, wtedy studentka pierwszego naboru nowo powstałego Wydziału Iberystyki Uniwersytetu Warszawskiego, obecnie tłumaczka i wykładowczyni literatury polskiej na Universitat de Barcelona. W czasie studiów wyjechała do Santander na stypendium. Trafiła tam kilka miesięcy po śmierci generała Franco i na krótko po pierwszych, po latach zakazu, koncertach Lluísa Llacha. Dzisiaj w zwaśnionej Hiszpanii trudno sobie wyobrazić, żeby śpiewanymi po katalońsku piosenkami zachwycali się mieszkańcy centrum czy północy kraju, ale wtedy czasy były inne. Wtedy owe wykonywane przez Llacha pieśni były symbolem wolności i demokracji, o której po latach reżimu marzyli mieszkańcy wszystkich regionów.

Słuchał ich również pewien stypendysta, kolega Bożeny, który puszczał Llacha na okrągło. Grał go bez przerwy, a jego ulubioną i najczęściej słuchaną piosenką była *L'estaca*. Dlatego po zakończeniu stypendium płyta z tą piosenką trafiła do jej walizki i dotarła do Polski. Kilka lat później Bożena Zaboklicka zaczęła prowadzić na iberystyce lektorat z języka katalońskiego. Zrobiła to na prośbę dziekana, zaś jego o otwarcie lektoratu poprosiło kilku studentów zainteresowanych nauką tego języka.

Rozpoczęcia zajęć domagali się między innymi Filip Łobodziński i Jarosław Gugąła – czyli przyszły Zespół Reprezentacyjny. Bożena mówiła po katalońsku. Jako pierwsza w Polsce badała nacjonalizm kataloński; przyczyny jego narodzin były tematem jej pracy magisterskiej. Na zajęciach – w ramach ćwiczeń – tłumaczyli piosenki Llacha. „Wiedziałam, że zapisali się na lektorat tylko dla tych piosenek” – przyznaje Bożena. Po kilku latach prowadzącą zajęcia zastał w Barcelonie stan wojenny. I zgodnie z obowiązującymi w nim „normami” wyrzucono ją z uczelni i odebrano jej paszport. Musiała zostać w Barcelonie. I mieszka tam do dziś.

I tak, osierocona przez Bożenę *L'estaca* zaczęła w Polsce podążać własną drogą. Śpiewał ją Zespół Reprezentacyjny, który przetłumaczył treść piosenki i zamienił kataloński pał na polski mur. Transformacji, dziesięć lat po skomponowaniu utworu, czyli w 1978 roku, dokonał Jacek Kaczmarski. Na ówczesnym studencie historii pieśń Llacha, której nie rozumiał i odbierał jedynie przekazywane przez śpiewającego emocje, zrobiła ogromne wrażenie. Z oryginalnego tekstu w wersji Kaczmarskiego ocalał tylko refren. Filip Łobodziński opisał to zdarzenie w książce *Mur. Piosenki Lluisa Llacha*, która razem z płytą CD została wydana również w Katalonii.

„Polska *L'estaca* – *Mury* – wymknęły się Jackowi Kaczmarskiemu z rąk” – ubolewa Bożena Zaboklicka. Katalońska wersja zagrzewa do boju, nawołuje do jedności i łączenia

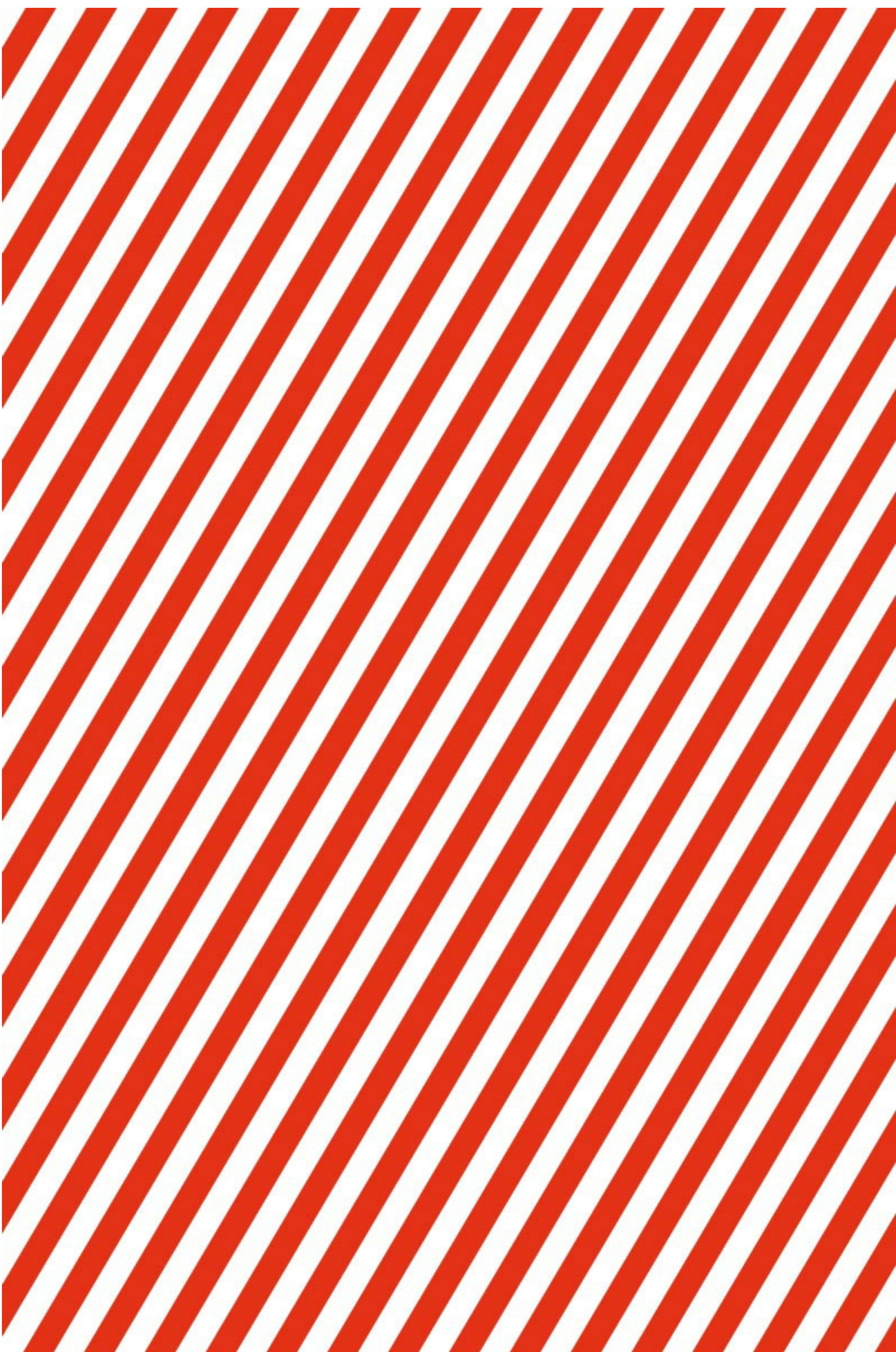
sił. Polska, autorstwa Kaczmarskiego, jest pieśnią z morałem, ostrzeżeniem dla tych, którzy dają się wynosić przez tłum. I ostrzeżeniem, aby po obaleniu jednych murów, nie wznosić nowych. Jest próbą nawiązania dialogu artysty z tłumem, który szybko narzuca własne, często bezwzględne reguły gry. *Mury* są też opowieścią o samotności niepotrzebnego barda. Z pieśnią Kaczmarskiego stało się to samo, co z artystą, o którym w niej śpiewa.

Zespół Reprezentacyjny od trzydziestu lat wykonuje piosenki katalońskiego barda. W 1984 roku dostał na to pisemną zgodę pieśniarza. Udał się po nią do Katalonii Jarek Gugąła. Llach sprezentował muzykom swoje piosenki i nie wziął za to pieniędzy. Kiedy po latach zapytano, dlaczego to zrobił, odrzekł: „Lubię wariatów”. W ramach obchodów dwudziestopięciolecia polskiej demokracji muzycy wystąpili w Barcelonie. Przyjechali na zaproszenie Fundacji Itaca, która od dwudziestu lat promuje polską kulturę w Katalonii i katalońską w Polsce. Zaśpiewali nieopodal portu jachtowego, na piętrze Muzeum Historii Katalonii, na tle wieczornego pejzażu miasta. Na koncercie, który nazywał się „Na pewno runie. 1989. Mur runął w Polsce”, nie było Llacha, gdyż wtedy mieszkał w Afryce.

Był zaś w tym samym muzeum kilka lat wcześniej. W jednej z jego sal zawisło wtedy ponad dwadzieścia plakatów. Wystawa nazywała się *Oblicza Solidarności* i przyjechała do Barcelony prosto z Parlamentu Europejskiego. Wisiało tam słynne *W samo południe*, na którym Tomasz Sarnecki przypiął znaczek Solidarności Gary’emu Cooperowi. Plakatem tym w noc przed pamiętnymi czerwcowymi wyborami w 1989 roku została obwieszona cała Polska. Był też gołąb Franciszka Starowieyskiego, który od 1956 roku płakał najpierw nad wydarzeniami na Węgrzech, a potem w Polsce. I profil twarzy Luigiego Castiglionięgo. Artysta przeobraził w nim kontur Polski w widzianą z profilu twarz, po policzku której spływa krwawa łza. Pokazano plakaty związane z obradami Okrągłego Stołu, z Solidarnością. Nie można było zaaranżować lepszej scenografii, aby uhonorować Lluísa Llacha i przypiąć mu Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Podczas tego wydarzenia na scenie Llachowi towarzyszył Filip Łobodziński. Polak śpiewał *Mur*, a Llach słuchał.

W sierpniu, kiedy w Stoczni Gdańskiej rozpoczął się strajk, w głównej stołówce zakładowej trwała akurat wystawa fotogramów i plakatów warszawskiego Teatru Narodowego. Wisiał na niej między innymi słynny plakat *Dwóch teatrów* Jerzego Szaniawskiego, namalowany przez Jana Lenicę w 1977 roku. To pod nim stoczniovcy rozdawali ulotki, a potem kartki z odbitym na nich znaczkiem Solidarności”. Ekspozycja plakatów teatralnych stała się wtedy tłem wydarzeń, które na stałe zmieniły scenę polityczną Polski. Po latach, w scenografii utworzonej z plakatów mówiących o tamtym czasie, nagradzano artystę, który przyczynił się do powstania hymnu Solidarności. Jak relikwię przechowuję dyskietkę z nagraniem rozmowy przeprowadzonej wówczas z Lluísem Llachem, w której oficjalnie zrzekł się praw do utworu i przekazał go Polakom.





DYKTATURY WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ...

Lluís Llach wielokrotnie koncertował w Polsce. Po raz pierwszy razem z pochodzącą z Balearów pieśniarką Marią del Mar Bonet – należącą do Szesnastu Sędziów jego rówieśniczką i podobnie jak on śpiewającą po katalońsku. W Warszawie ich towarzyszką i opiekunką była Bożena Zaboklicka. Pamięta, że podczas pobytu artyści nie byli wylewni i że koncertowali w Starej Prochowni. Koncert ten z kilku powodów zapadł w pamięć Lluísa Llacha. Kiedy skończył śpiewać, do sceny zbliżyła się grupka wzruszonych Polaków. Przyszli podziękować, że kataloński pieśniarz włączył do repertuaru polskie *Mury*. Mówili, że gest ten dużo dla nich znaczy.

Nieświadomy konsekwencji swoich słów artysta bez chwili zastanowienia odrzekł, że to jest jego piosenka, którą skomponował przed laty, a którą zaaranżował po polsku Jacek Kaczmarski. „Nigdy nie zapomnę smutku w oczach tych ludzi. Byli rozczarowani i bliscy płaczu. Zrozumiałem wtedy, jak wiele moja pieśń dla was znaczy” – usłyszałam przed laty od Lluísa Llacha. Doświadczenie to przydało mu się w przyszłości: kiedy koncertował ponownie i gdy znów po występie widzowie dziękowali mu za wykonanie *Murów*, nie wyjawiał, dlaczego je zaśpiewał. Powiedział jedynie, że ceni pieśni Jacka Kaczmarskiego i aby uhonorować polskie przemiany, włączył jego utwór do swojego repertuaru.



• Lluís Llach i Filip Łobodziński w czasie koncertu „Solidarność 20 lat później”.

Obaj muzycy raz śpiewali na tym samym koncercie. Było to w 2000 roku w Krakowie, podczas koncertu o nazwie „Solidarność 20 lat później”. Konferansjerem był wtedy Filip Łobodziński. Na zaimprovizowanej scenie, w ogrodach krakowskiego Wydziału Archeologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, spotkali się artyści śpiewający trzy różne wersje *L'estaca*. Wtedy jednak, mimo prośb Jacka Kaczmarskiego, Llach nie wykonał z nim tego utworu.

Jego koncert z Marią del Mar Bonet w Starej Prochowni, podczas pierwszego pobytu w Warszawie, został nagrany przez Telewizję Polską. Niestety, nigdy go nie wyemitowano. Program – jak wiele innych nagrywanych w tamtych czasach – stał się tak zwanym półkownikiem, czyli trafił na którąś z półek zasobnych magazynów TVP. O wstrzymaniu emisji miała zdecydować treść piosenki zaśpiewanej przez Marię del Mar Bonet. Dbającym o czystość socjalistycznego słowa nie spodobał się *Què volen aquesta gent* (Czego chcą ci ludzie), wiersz napisany przez przyjaciela artystki, Lluísa Serrahima. Opowiada on o dwudziestotrzyletnim madryckim studencie, który popełnił samobójstwo, kiedy do jego mieszkania wkroczyła frankistowska policja.

Na Półwyspie Iberyjskim wydarzenie to przeszło bez echa, bo hiszpańska reżimowa prasa skwitowała tragedię krótką notką. Zwrócono na nie uwagę, dopiero kiedy zaczęła o nim śpiewać artystka z Majorki. Dlatego bardzo szybko zakazano jej wykonywania tego utworu. Do czego zresztą nigdy się nie zastosowała.

Podczas pierwszego pobytu w Warszawie artyści przekonali się, że ustroje totalitarne mają dużo cech wspólnych. Prawicowy reżim generała Franco zakazał śpiewania o studencie, który wyskoczył z okna. A polska reżimowa telewizja bała się wyemitować ten sam utwór. Cenzorzy z obu stron Europy podali sobie ręce. Polska bezpieka miała wtedy dodatkowy argument na rzecz ostrożności i dbałości o słowo pisane i mówione – obawiała się mianowicie, że widzowie porównają śmierć hiszpańskiego studenta do zamordowania Stanisława Pyjasa, zakatowanego na śmierć studenta Uniwersytetu Jagiellońskiego.





- Tablica upamiętniająca pobyt Fryderyka Chopina w Barcelonie.

ŁYK BARCELONSKIEGO POWIETRZA

W Barcelonie Fryderyk Chopin czuł się dobrze. Po prawie trzymiesięcznym pobycie na Majorce powrót na kontynent poprawił mu nastrój i samopoczucie. Wracając z Balearów, kompozytor i towarzysząca mu pisarka George Sand zabawili w mieście ponad tydzień (14–22 lutego 1839 roku). Zwiedzali, spacerowali po Casc Antic – barcelońskiej starówce, oglądali tamtejszą katedrę i mury obronne. „W Barcelonie, w ruinach domu Inkwizycji, widziałam cele więzienne pozbawione światła, wydrążone w murach grubości czternastu stóp” – napisała potem w *Zimie na Majorce* George Sand.

Mówiąc o domu Inkwizycji, pisarka prawdopodobnie miała na myśli usytuowany obok katedry gmach Palau Reial Major. Na jego ścianie wciąż widnieje herb Santo Oficio, Świętej Inkwizycji. Drzwi niegdysiejszej siedziby owianej złą sławą instytucji prowadzą teraz do otwartego w 1946 roku Museu Frederic Marès, mieszczącego kolekcję rzeźbiarza i mecenasa sztuki, który zgodnie z obietnicą przekazał miastu całe swoje zbiory. Zobaczyć tam można romańskie, gotyckie, barokowe i renesansowe rzeźby, obrazy i pochodzące z różnych epok przedmioty codziennego użytku.

Istnieje podejrzenie, że niektóre z prezentowanych w muzeum eksponatów zostały zagrabione przez Marésa w centrum i na północy Hiszpanii. Rektorowi barcelońskiej Akademii Sztuk Pięknych, uhonorowanemu Krzyżem Świętego Jerzego – najwyższym odznaczeniem w Katalonii – zarzucono, że po wojnie domowej uczestniczył w okradaniu zrujnowanych kościołów, a także wykorzystywał panującą nędzę i głód i odkupywał dzieła sztuki za bezcen.



• Rambla z początku XX wieku.

W Barcelonie Chopin czuł się na tyle dobrze, że wraz z George Sand odbył konną wycieczkę za miasto. Potem, już koleją, pojechali do leżącego nad morzem Arenys de Mar. Ich podróż wyobraził sobie i opisał Salvador Espriu, najśłynniejszy kataloński poeta XX wieku. Poeta napisał, że para zatrzymała się w rodzinnym domu proboszcza, gdzie Chopin zagrał na pianinie.

Odwiedziny i koncert są wytworem wyobraźni poety. Jednak prawdą jest, że po pobycie na Majorce przyjazd do Barcelony był dobrą odmianą. Nieprzyzwyczajony do domów bez kominków kompozytor źle znosił deszcze, wilgoć i zimno. George Sand wybrała na wyjazd na Baleary koniec jesieni i zimę – najgorsze pory roku. Nie tylko pogoda utrudniała pobyt. Po wyspie szybko rozeszła się wieść, że Chopin jest chory na gruźlicę. Kiedy dotarła do właściciela willi, którą zajmowali w Palmie, stolicy wyspy, ten kazał im opuścić dom, spalił wszystkie meble i zażyczył sobie wysokiego odszkodowania. Zanim to zrobił, Chopin na rozstrojonym pianinie w willi Son Vent – instrument kompozytora dotarł z opóźnieniem, bo został zatrzymany przez celników – skomponował jeden ze swych najsmutniejszych mazurków: *Mazurek e-moll op. 41, nr 1*.

Para zamieszkała w klasztorze kartuzów w Valldemossie, gdzie mimo złego samopoczucia Chopin skomponował dwadzieścia cztery preludia, dwa polonezy, balladę i scherzo. Tam w 1930 roku został zawiązany „Comité pro Chopin” de Palma de Mallorca, który z przerwami organizował koncerty i Festiwal Chopinowski. Pomysł wsparli między

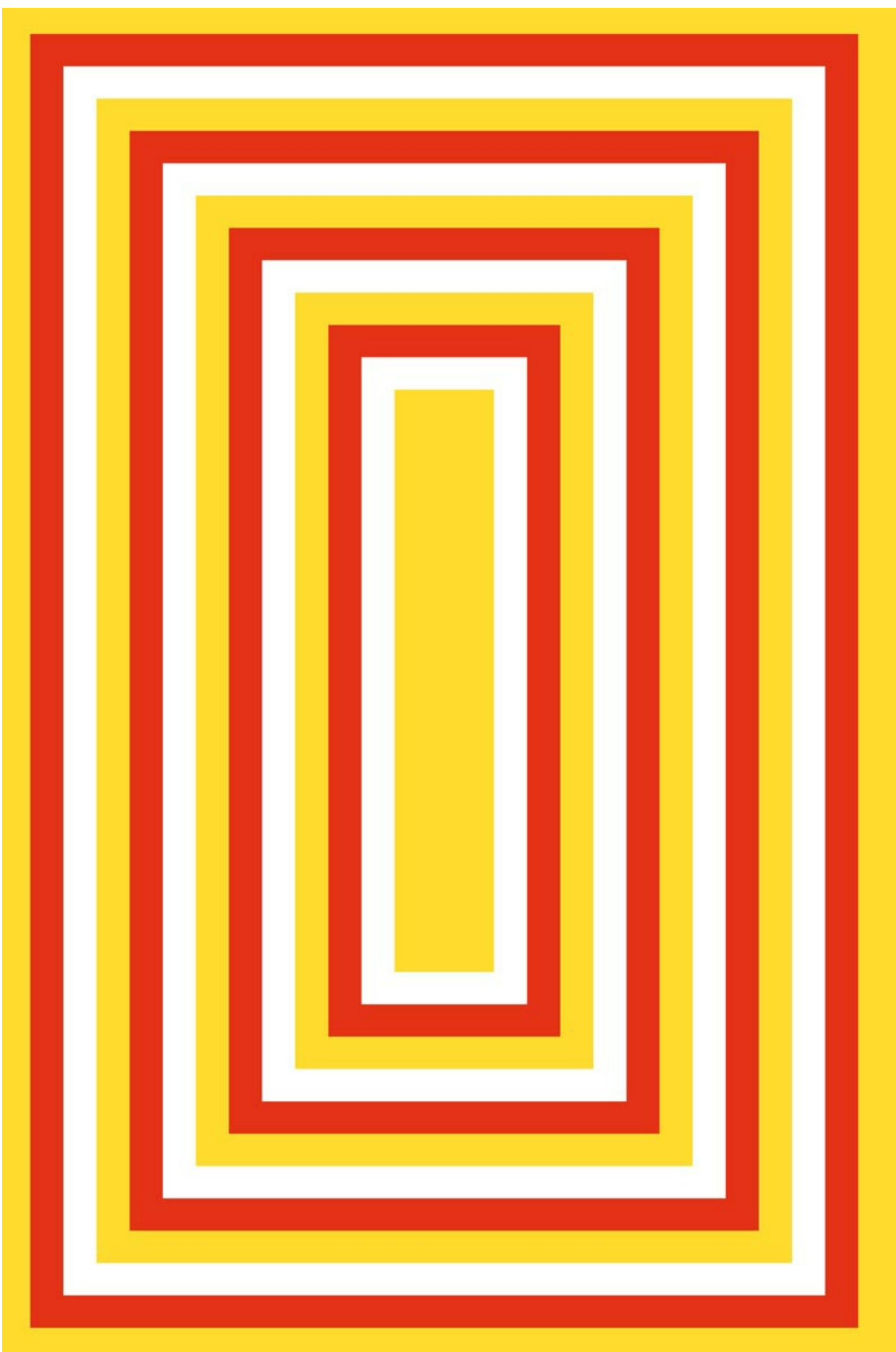
innymi: Paderewski, Szymanowski, Ravel, Strawiński, de Falla. W klasztorze, w którym mieszkał kompozytor, dwukrotnie odbywały się koncerty w ramach Festiwalu Chopinowskiego.

Wracając z Majorki, kompozytor i pisarka musieli dzielić statek ze stadem świń. „Do Barcelony Chopin dotarł, plując krwią, na granicy śmierci, wlekąc się jak cień” – napisała. Jednak – ku jej radości – w mieście samopoczucie chorego uległo „cudownej poprawie”. Muzykolodzy podejrzewają, że to między innymi pod wpływem pobytu w Barcelonie Chopin dwa lata później, we Włoszech, skomponował *Tarantellę As-dur op. 43*.

Sand i Chopin dwukrotnie zatrzymali się w usytuowanym przy Rambli hotelu Quatre Nacions (Cztery Narody), który do końca XIX wieku był jednym z najelegantszych w mieście. Najpierw nocowali tam w listopadzie 1838 roku, w drodze na Majorkę. Potem zatrzymali się na prawie dziesięć dni w lutym 1839 roku, w drodze powrotnej z wyspy do Paryża. W hotelu Quatre Nacions bywali też: Albert Einstein, Stendhal, Luigi Pirandello i Buffalo Bill.

We wrześniu 2010 roku, w dwusetną rocznicę narodzin kompozytora, z inicjatywy Konsulatu Generalnego RP, na fasadzie hotelu uroczyście odsłonięto pamiątkową tablicę. Widnieje na niej inskrypcja po katalońsku: „Polski kompozytor Fryderyk Chopin gościł w tym hotelu podczas wizyt w Barcelonie w 1838 i 1839 roku”. Wtedy też słynną Ramblą przemaszerowały trzymetrowe kukły kompozytora i pisarki, które od tamtej pory można zobaczyć na popularnych w Barcelonie paradach gigantów, organizowanych w czasie święta miasta. Imieniem Chopina nazwano też jeden z salonów hotelu. Po czasach świetności sprzed stu lat pozostał w nim piękny, ozdobny sufit. Na jednej ze ścian wisi portret kompozytora, a obok stoi jego marmurowe popiersie. Nie przetrwały jednak XIX-wieczne księgi gości i nie wiadomo, które pokoje zajmowali kompozytor i George Sand. Od powstania w XVIII wieku hotel był kilkakrotnie przebudowywany i układ pokoi zmieniano.





POŻEGNANIE Z EUROPAŁ IGNACEGO JANA PADEREWSKIEGO

W marcu 1940 roku na przejściu granicznym La Jonquera między Francją a Hiszpanią zjawił się Ignacy Jan Paderewski. W podróży przez Europę towarzyszyła mu siostra, Antonina Wilkońska, i najbliżsi współpracownicy. Podróżowali dwoma samochodami. Wyjechali ze Szwajcarii, gdzie Paderewski mieszkał przez prawie siedemnaście lat. W drogę wyruszyli z nieistniejącej dziś posiadłości artysty, Riond Bosson nad Jeziorem Lemańskim, w pobliżu Morges, miasteczka, którego muzyk był honorowym obywatelem. I przedarli się przez opanowaną przez hitlerowców Europę. Pokonali Alpy, a na końcu Pireneje. Już na terenie Katalonii znaleźli się o krok od nieszczęścia. Po drodze napotkali gwałtowną burzę i auto wiozące pianistę o mało nie zsunęło się z nadmorskiego urwiska.

W Barcelonie Paderewski zatrzymał się w hotelu Ritz – tym samym, w którym wcześniej przemieszkował podczas koncertowania Artur Rubinstein. A kilka miesięcy po pobycie Paderewskiego w Ritzu stanął na dwie noce Heinrich Himmler. Był to prawdopodobnie pobyt, który szef SS i Gestapo zapamiętał na całe życie, bo po pierwsze: benedyktyni z klasztoru na Montserrat nie wpuścili go do podziemi, gdzie chciał szukać Świętego Graala, a na jego spotkanie nie wyszedł opat Montserrat, zaś po drugie: z hotelowego pokoju skradziono mu teczkę z dokumentami.

Kiedy do Barcelony dotarł premier pierwszego porzbiworowego rządu Rzeczypospolitej Polskiej, w Ritzu mieszkali też niemieccy oficerowie. Stosunki między Franco a Hitlerem były bardziej niż poprawne. W czasie wojny domowej III Rzesza użyczyła hiszpańskiemu dyktatorowi żołnierzy i samolotów i po wybuchu II wojny światowej jej przywódcy liczyli, że reżim odpłaci tym samym, oddając do dyspozycji hitlerowców swe bazy wojskowe w Afryce. Tak się jednak nie stało.

Paderewski opuścił neutralną Szwajcarię krótko po rozpoczęciu działań wojennych w Europie. Bał się, że jego miejsce zamieszkania może się okazać pułapką. Może obawiał się, że hitlerowcy będą chcieli się zemścić za jego paryski koncert z 1933 roku? Paderewski zagrał wtedy na rzecz intelektualistów żydowskich – ofiar prześladowań III Rzeszy w Niemczech. Pianista wystąpił na wiecu, któremu przewodził jezuita, ojciec Samson. O udziale Polaka w wydarzeniu z 30 czerwca 1933 roku donosiła potem hiszpańska prasa. „Swastyka zniekształciła krzyż, na którym umarł Chrystus. Zrobiła to w imię znienawidzonego rasizmu, ale fakt, że sześćdziesięciopięciomilionowa Rzesza wypędza ze swojego terytorium sześćset tysięcy Żydów, jest oznaką słabości, wróżbą nadchodzącej dekadencji” – cytował Paderewskiego dziennik „ABC”.

Pianista i kompozytor wielokrotnie publicznie bronił prześladowanych za poglądy polityczne. Jego szwajcarska posiadłość była też miejscem spotkań opozycji

antysanacyjnej. Trzy lata przed wojną jej członkowie – między innymi generał Władysław Sikorski – podobno stworzyli grupę walczącą o przestrzeganie zasad demokracji parlamentarnej w Polsce. Po kampanii wrześniowej to ona właśnie była podstawą powołanego w Londynie polskiego Rządu na Uchodźstwie.

Z powojennych badań wynika, że Berlin chciał wykorzystać byłego premiera do utworzenia w Polsce rządu podporządkowanego nazistowskiemu Niemcom. Warszawa była jedyną stolicą okupowaną przez III Rzeszę, gdzie taki rząd nie został utworzony.

Pianista porzucił politykę w 1921 roku, przestał reprezentować Polskę w Lidze Narodów i zaraz potem wrócił do sal koncertowych. Jeszcze kilka miesięcy przed wybuchem wojny siedemdziesięcioletni wówczas Paderewski odbył tournée po Stanach Zjednoczonych. Wrócił potem na scenę polityczną, ale nie na życzenie III Rzeszy, tylko na prośbę generała Władysława Sikorskiego i prezydenta Władysława Raczkiewicza. Przyjął funkcję przewodniczącego Rady Narodowej RP – polskiego parlamentu na emigracji – którą sprawował do śmierci w czerwcu 1941 roku.

Dzięki pomocy Konsula Honorowego w Barcelonie, Eduarda Rodona i Blasa, sygnatariusz Traktatu Wersalskiego i towarzyszące mu osoby przedostali się przez zieloną granicę do Portugalii. Ostatnie dni w Europie pianista spędził w luksusowym hotelu Palácio w Lizbonie. A potem odleciał do Nowego Jorku. Tam, po raz kolejny, szukał pomocy dla Polski. Zmarł na zapalenie płuc 29 czerwca 1941 roku na zjeździe polskich weteranów w Oak Ridge w New Jersey.



A.T.V. - 23 BARCELONA

Monumento á Colón



• Pomnik Krzysztofa Kolumba w Barcelonie.

JEDYNY TAKI SPACER GOMBROWICZA

Dopływając do Barcelony, Witold Gombrowicz musiał już z daleka zobaczyć pomnik Krzysztofa Kolumba. Widać go bowiem z odległości kilku kilometrów. Według pierwszego projektu Gaietà Buïgasa włoski podróżnik miał stać z opuszczonymi rękoma. Zdecydowano jednak, że będzie miał podniesioną prawą rękę i wyciągnięty palec, którym wskazuje coś w oddali. Mieszkańcy miasta twierdzą, że Kolumb pokazuje Amerykę – kontynent, z którego akurat powracał polski pisarz. Jednak się mylą – w istocie Kolumb wskazuje statkom bezpieczne wyjście z portu. Odkryty przez niego ląd leży po przeciwnej stronie, za Półwyspem Iberyjskim i Oceanem Atlantyckim. Gdyby miał go wskazywać, musiałby stać zwrócony twarzą w stronę miasta.

Jak na pomnik żeglarza przystało, statua Kolumba stoi tuż przy morzu, na wysokości Rambli i naprzeciwko Port Vell – przystani, gdzie w 1963 roku zacumował statek, którym płynął Polak. Pisarz wracał z dobrowolnego wygnania z Argentyny. Trafił tam dwadzieścia cztery lata wcześniej jako jeden z pasażerów inauguracyjnego rejsu „Chrobrego”, kolejnego polskiego transatlantyku, po „Piłsudskim” i „Batorym”, zbudowanego dla stoczni gdyńskiej. Miał – podobnie jak inni zaproszeni na rejs literaci – opisać wrażenia z podróży. Namówił go do niej brat, Jerzy. Do Buenos Aires statek dopłynął 22 sierpnia 1939 roku. Kiedy odbijał od brzegu, gotowy do powrotnej drogi, hitlerowskie Niemcy napadły na Polskę, rozpoczynając II wojnę światową. Gombrowicz miał już na pokładzie walizkę, ale w ostatniej chwili zszedł po trapie i został na nabrzeżu Nowego Portu w Buenos Aires. Po dwudziestu czterech latach Europa witała go w Port Vell, barcelońskim Starym Porcie.



• Barceloński port w 1900 roku.

Barcelona była pierwszym miastem w Europie, które – po niemal ćwierćwieczu nieobecności na Kontynencie – zwiedzał artysta. Było ciepło, ale nie świeciło słońce. Po mieście jeszcze jeździły trolejbusy, a słynna Sagrada Família zarastała trawą. W dniu powrotu Gombrowicza kataloński dziennik „La Vanguardia” obwieszczał: „Już pachnie wiosną”. Chodziło o pogodę, ale wkrótce odwilż miała objąć też politykę. Po latach izolacji gospodarczej ówczesni ministrowie rządu generała Franco odbywali podróże do Berlina i Paryża. Hiszpania – podobnie jak Gombrowicz – powoli wracała do Europy. Owej niedzieli pierwszą stronę „La Vanguardia” zdołał tytuł: *Książka, zawsze książka*. Tłem dla liter były grube, skórzane grzbiety stojących na półkach tomów, stół, a na nim róża i otwarta powieść. Barcelona nieświadomie witała powracającego pisarza. Gdyby przyplłynął dzień później, to pewnie miasto by go urzekło. Stęskniony Europy twórca mógłby spacerować między straganami wypełnionymi książkami i kwiatami. Zakochani i niezakochani obdarowują się nimi wzajemnie. Tak bowiem czczony jest od lat dzień patrona regionu, Sant Jordi, Świętego Jerzego. Najciaśniej jest wtedy na Rambli – ulicy zwieńczonej wysokim na pięćdziesiąt metrów pomnikiem Kolumba, w pobliżu której zacumował płynący z Argentyny statek i gdzie może spacerował Gombrowicz.

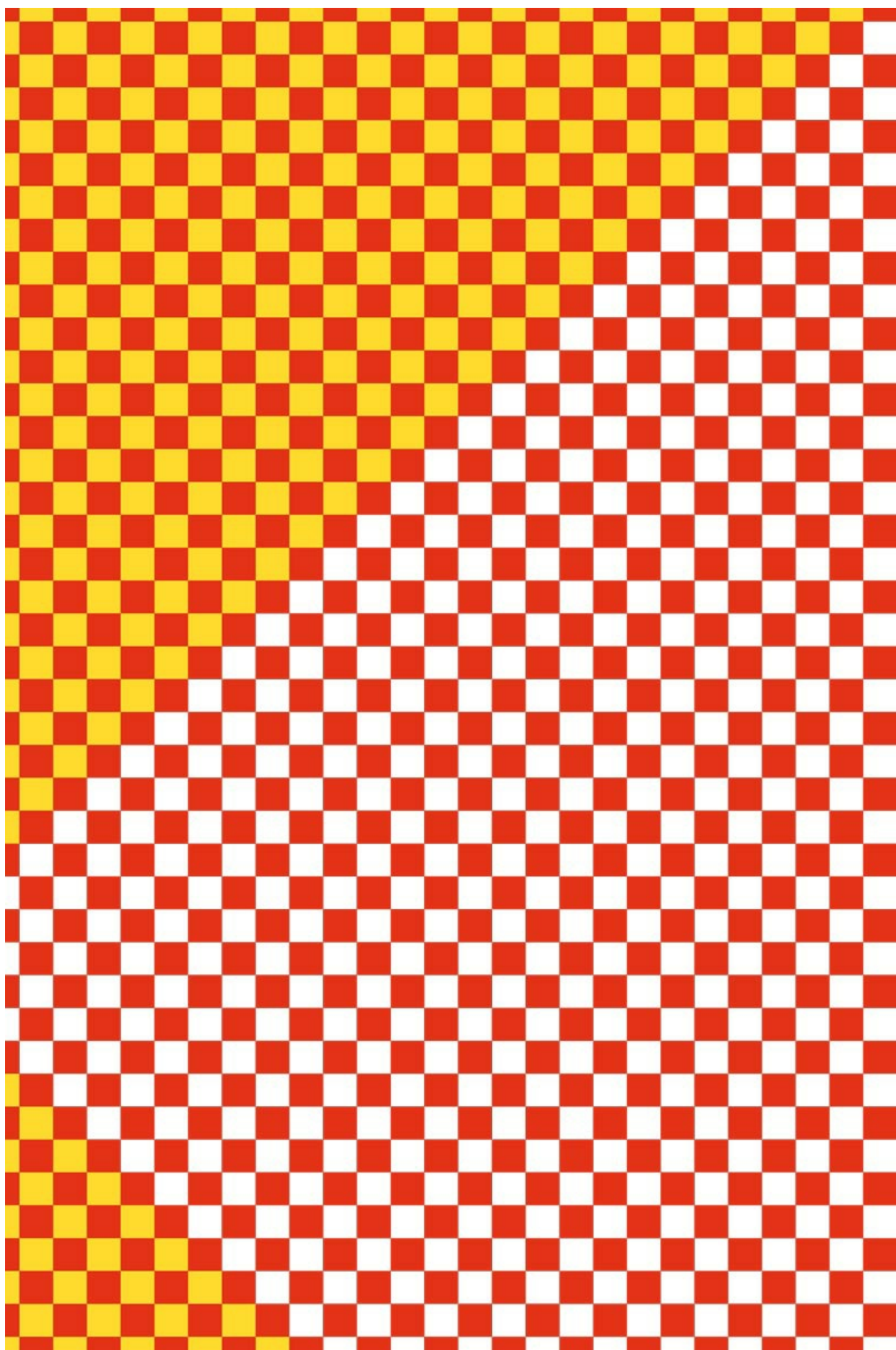
Gdyby przybył do miasta 23 kwietnia, zapiski z Barcelony brzmiałyby prawdopodobnie bardziej entuzjastycznie. I kto wie, może pod wpływem uroku święta Sant Jordi pisarz zamieszkałby – tak jak planował – w stolicy Katalonii, a nie we francuskim Vence. A tak odbył tylko krótką i dość nerwową wizytę. W Buenos Aires, po wejściu na pokład statku,

Gombrowicz został okradziony i zszedł na brzeg w Barcelonie, żeby sprawdzić, czy z Argentyny nadeszły dla niego zamówione pieniądze – dwieście dolarów. Chciał nimi opłacić napiwki i zaciągnięte na statku długi. Niestety, pieniędzy nie było. W 1963 roku banki jeszcze nie działały sprawnie i obywatele innych krajów odbierali pieniądze w urzędach pocztowych. Dlatego pisarz prawdopodobnie przespacerował się położonym wzdłuż portu Passeig de Colom (Pasażem Kolumba) do położonego najbliżej przystani centralnego budynku Correus (Poczty). Po drodze minął bibliotekę, która wcześniej była szpitalem dla ubogich, gdzie umarł Gaudí. A na koniec przeszedł przez Vía Laietana – jedną z ulic wytyczonych jeszcze przez starożytnych Rzymian. Jeśli przechodząc przez nią, spojrział w lewo, ujrzał wzgórze Tibidabo i bazylikę El Sagrat Cor (Najświętszego Serca), którą wieńczy figura Chrystusa – kopia słynnego posągu z Głowy Cukru z Rio de Janeiro.

Po latach Barcelona była miejscem obchodów pięćdziesiątej rocznicy powrotu Gombrowicza do Europy. Wtedy do miasta przyjechała Rita Gombrowicz – Kanadyjka, wdowa po pisarzu i jednocześnie jego asystentka. Kto wie, może to ona nie chciała, żeby zamieszkali we wciąż frankistowskiej Katalonii? Długo utrzymywała, że pisarz nie wysiadł na ląd w Barcelonie, tylko następnego dnia w Cannes. Jakby chciała wymazać to wspomnienie z pamięci.

Katalończycy mają jednak dowód rzeczowy – są nim *Dzienniki* Gombrowicza. Hiszpania jest pierwszym krajem, w którym zostały opublikowane w całości. „Doszedłem do placu, na którym stoi posąg Kolumba, i rzuciłem okiem na miasto, w którym, być może, się osiedlę po Berlinie na stałe” – napisał w *Dziennikach* Gombrowicz. Przetłumaczyli je Francesc Miravitlles i Bożena Zaboklicka.





WÓZ TRANSMISYJNY, KSIĄŻKI I RÓŻE

Stragany z książkami i kosze pełne róż, którymi podczas pobytu nie zdążył zachwycić się Witold Gombrowicz, oglądali w Barcelonie dziennikarze radiowej Trójki. Zaprosiła ich Fundacja Itaca i przyjechali. Przez dwa dni w centrum miasta stał wóz transmisyjny, skąd nadawano codziennie 6 godzin programu. I do stolicy Katalonii przeniósł się główny sztab warszawskiej rozgłośni. W ramach projektu „Trójka przekracza granice” zjechała cała orkiestra: Piotr Baron, Agnieszka Obszańska, Michał Nogaś, Darek Rosiak, Joasia Milewczyk, Michał Gąsiorowski i Krzysztof Skowroński, ówczesny głównodowodzący. Potem dojechali następni, między innymi panicznie bojący się wirusów i bakterii Wojciech Cejrowski [nigdy wcześniej nie widziałam – zapomnijmy o Monk i *The Big Bang Theory* – żeby ktoś brał nie swoje słuchawki radiowe przez serwetkę].

Przyjechali dwa dni przed Świętem Książki i Róży, słynnym Sant Jordi – dniem Świętego Jerzego, patrona Katalonii, który jest dla mieszkańców regionu zwykłym dniem pracy. Jest też Światowym Dniem Książki i teoretycznie rocznicą śmierci Miguela de Cervantesa i Williama Shakespeare’a. Choć jeśli chodzi o te dwie daty, to zdania są podzielone.

Goście z Polski mogli porównać centrum Barcelony w normalny dzień – tłoczne, gwarne, głośnie i roześmiane, do przeobrażonego potem – 23 kwietnia – w gigantyczną księgarnię i pachnący kwiatami kiermasz. Wóz transmisyjny Trójki stał tuż obok Rambli, przy Plaça de Catalunya, gdzie w Sant Jordi krzyżują się najważniejsze drogi: sprzedawców róż, autorów, księgarzy i tysiący osób, które spacerują, oglądają i często wracają do domu z książką pod pachą. Dla lubiących chadzać własnymi ścieżkami Katalończyków dzień ten jest ich własnymi walentynkami.

Wtedy właśnie, w ciągu jednego dnia, wyległe na ulice księgarnie sprzedają ponad półtora miliona książek. Średnio jest to połowa ich rocznych obrotów. Ci, którzy wówczas kupują książki, niekoniecznie je potem czytają – co trzeci mieszkaniec regionu w ogóle nie poświęca czasu na lekturę – ale zwyczaj pozostaje zwyczajem. A ten nakazuje podarować komuś bliskiemu książkę i różę. Przez lata było książkę albo różę. Kwiatek dostawały panie, a książkę panowie. Wyemancypowane Katalonki zmieniły ten zwyczaj i teraz róża nie jest podstawą, lecz dodatkiem do prezentu. W Sant Jordi w całym regionie sprzedanych jest zwykle 6 milionów sztuk, prawie tyle, ilu jest mieszkańców Katalonii.

Od rana 23 kwietnia słynna Rambla, Passeig de Gracia – najelegantsza ulica Barcelony i Plaça Catalunya upodabniają się do wielkiego obozowiska Beduinów. Tam właśnie, co roku, rozstawianych jest ponad dwieście białych namiotów. Pod każdym z nich zasiadają księgarze, a bardzo często też autorzy książek. Tego dnia poszukujący swoich ulubionych pisarzy barcelończycy wykupują rano w kioskach „La Vanguardię”, największy kataloński

dziennik, by ze spokojem studiować mapę centrum Barcelony z zaznaczonymi na niej namiotami i godzinami, w których na czytelników czekać będą autorzy z krwi i kości. „Jesteśmy jak cienie, ukrywamy się za literami. A dzięki świętu Sant Jordi ci, którzy nas czytają, mogą zbliżyć się do nas, przywitać, spojrzeć nam w oczy, obrugać nas. A przy okazji zobaczyć, że my też kupujemy i czytamy książki” – mówił w 2008 roku pisarz i filozof Fernando Savater.

W Dniu Książki i Róży, podczas pobytu Trójki, w „haimach” było wyjątkowo tłoczno. Powieść *La Bodega* (Winnicę) podpisywał Noah Gordon, amerykański pisarz żydowskiego pochodzenia. Akcja książki rozgrywa się w Katalonii w XIX wieku i opowiada o uciekinierze z Francji, który chce wyrabiać wino. Za *La Bodega* Gordon został wtedy uhonorowany nagrodą Instytutu Ramon Llull – katalońskiego odpowiednika Instytutu Cervantesa. W całej Hiszpanii kupiono prawie pół miliona egzemplarzy tej książki.

Na kilka godzin, tylko po to, żeby spotkać się z czytelnikami, przyleciała z Londynu Isabel Allende. Blisko wozu satelitarnego Trójki Eduardo Mendoza podpisywał *Niezwykłą podróż Pomponiusza Flatusa*. Powieść, której akcję przeniósł z barcelońskiego Ravalu do Palestyny w czasach Imperium Rzymskiego. Pisarz mawiał, że książka ta nadaje się tylko na podróż pociągiem.

Po drugiej stronie Plaça Catalunya, pod bardzo strojnym namiotem, autografy cierpliwie rozdawał Carlos Zafón. W cierpliwość musieli się uzbroić również czekający na jego podpis. Aby go otrzymać, przez godzinę stali w kolejce. Tydzień przed Sant Jordim w Hiszpanii ukazała się *Gra anioła* – powieść spokrewniona z *Cieniem wiatru*. W dość mrocznej scenerii Barcelony, gdzie istnieje już cmentarzysko zapomnianych książek, w latach dwudziestych minionego wieku młody pisarz dostaje od tajemniczego wydawcy nietypową ofertę. Pisarz Zafón, któremu w Dzień Książki i Róży zaczął odmawiać posłuszeństwa nadgarstek, na koniec dnia zamiast podpisywać, przybijał w swoich powieściach pieczęcie.

Gra anioła okazała się najpopularniejszą książką sprzedawaną w Sant Jordi nie tylko w Barcelonie, ale w całej Katalonii. Dużym powodzeniem cieszył się również Mendoza. Po południu problemy z przegubem dłoni miała też Tracy Chavalier, autorka *Dziewczyny z perłą*. Amerykanka, która od lat mieszka w Londynie i akurat wtedy po raz pierwszy uczestniczyła w święcie Barcelony. Po południu, kiedy już nie podpisywała książek, zaproponowała, aby Katalonia zawarła przymierze z Wielką Brytanią tylko po to, by przenieść na wyspy zwyczaj świętowania Dnia Książki i Róży. Podczas pobytu Trójki miasto wciąż było pod wrażeniem *Katedry w Barcelonie* Ildefonsa Falconesa, na co dzień adwokata, specjalisty od prawa cywilnego, którego opowieść o budowie Santa María del Mar – świątyni w dzielnicy Born – przez ponad rok nie schodziła z listy bestsellerów. Dzięki pomocy Juliego Carbó, szefa Fundacji Itaca, dziennikarze Trójki spotkali się wtedy z autorem *Katedry*.

Wtedy też Quim Monzó – kataloński odkrywca Sławomira Mrożka – z myślą o Sant

Jordim wydał *Mil cretinos* (Tysiąc kretynów), a Toni Soler – wydawca i autor popularnego programu „Polonia”, który wtedy dopiero się rozpędzał, a teraz obchodzi dziesięciolecie istnienia – prezentował swoją ostatnią książkę *Historia de Catalunya* (Historia Katalonii). Dzień wcześniej, kiedy Trójka odwiedziła go na planie podczas kręcenia kolejnego programu, zaprosił wszystkich, do swojego namiotu. Przy okazji zwierzył się, że ma ochotę na podróż do prawdziwej Polski.

Goszczący wtedy w Barcelonie Michał Nogaś nie śnił nawet, że kilka lat później, kilkaset metrów od placu, z którego nadawany był program, spotka się z Jaume Cabré, i to dwukrotnie – najpierw jako autorem *Wyznaję* a potem *Głosów Pamano*. Nierozpieszczający zwykle dziennikarzy pisarz spędził na rozmowie z Michałem kilka godzin. „Fenomen Cabré” jest w Polsce czymś wyjątkowym. Kataloński autor dotarł do dusz Polaków. Ceniony i popularny nie tylko w Katalonii, lecz w całej Hiszpanii pisarz, w Polsce jest uwielbiany. W 2008 roku, kiedy Trójka nadawała z centrum Barcelony, nieznanymi jeszcze polskiemu czytelnikowi Cabré brał udział w Sant Jordim, ale był krótko, bo pracował nad wielkim *Wyznaję*.

Było ciepło, był tłok i największy barceloński plac przemierzyła wtedy nietypowa para: bosi Piotr Baron i obuty Wojciech Cejrowski. Potem stojących pod wozem dziennikarzy odwiedził prawosławny pop, który okazał się producentem *cavy* – katalońskiego szampana, z Polakami rozmawiał też bezdomny rodak w koszulce Barcy. Studio w wozie transmisyjnym odwiedziło wiele katalońskich osobistości: Jordi Bonet i Armengol, do niedawna kierujący budową Sagrada Família, czy Lluís Canut – jeden z najpopularniejszych dziennikarzy sportowych Katalonii. Przed wejściem na antenę cicho zapytał: „Będzie dużo polskich nazwisk?”.

Dla statystycznego Katalończyka nasze imiona i nazwiska są nie do wypowiedzenia. Znany dziennikarz katalońskiej stacji radiowej RAC1 w jednym z programów poświęconych nowościom literackim bardzo chciał zareklamować *Uwikłanie* Zygmunta Miłoszewskiego (w Hiszpanii książka ukazała się pod tytułem *El Caso Telak*, Przypadek Telaka). Podczas programu wprowadził w akcję książki, pochwalił, przybliżył postać autora, ale i tak słuchacze nie wiedzieli, o kim mówi, bo każda próba wypowiedzenia imienia i nazwiska pisarza kończyła się niemiłosiernym świstem wydobywającym się z jego gardła. Po trzecim podejściu poddał się i przyznał, że kilkakrotnie miał ochotę zachęcić słuchaczy do sięgnięcia po któregoś z polskich autorów – na katalońskim rynku ich nie brakuje – ale nie może. Problemem są nazwiska. Jego zdaniem – nie do wypowiedzenia. W językach hiszpańskim i w katalońskim rzadko używa się litery „w” [czyta się ją jak „ł”] i nie ma zbitki więcej niż dwóch spółgłosek. Wypowiedzenie nazwisk: Szczygieł, Bieńczyk, Chwin czy Szczeklik przekracza możliwości strun głosowych mieszkańców Katalonii.

Dlatego jak swojego Katalończyka przyjęli Antoniego Libereę, autora powieści *Madame*. Książka została przetłumaczona na hiszpański, a potem na kataloński zaraz po wejściu

świata w nowe tysiąclecie. Opowiada o komunistycznej, stalinowskiej Polsce – okresie, o którym Katalończycy mają niewielkie pojęcie. Jednak publikacja powieści była wydarzeniem i było o niej głośno. A kiedy do Barcelony przyjechał jej autor, w kolejce po wywiady ustawiło się wielu dziennikarzy.

Wielu z czytający *Madame* jest przekonanych, że wzięli do ręki dzieło katalońskiego pisarza. Dla mieszkańców regionu swojsko brzmi nie tylko nazwisko, ale też imię autora. Hiszpański Antonio to odpowiednik katalońskiego Antoni. Dlatego kiedy przed laty podarowałam znajomym *Madame*, a potem zapytałam ich o opinię, usłyszałam: „Świetna książka. I jakie wyczucie, pisać na tak trudny, nieznany nam temat”. Próby sprostowania, że przecież pisarz jest Polakiem, podsumowali: „To pewnie syn hiszpańskich emigrantów, republikańców, trochę rodzin uciekło do Polski w czasie wojny domowej”. Przez myśl im nie przeszło, że autor może nie być Katalończykiem.

Katalońscy dziennikarze, głównie ci radiowi, chcieliby, żeby wszyscy Polacy nazywali się Libera.





W BARCELÓŃSKIEJ ŁAZIENCIE ZADOMOWIŁ SIĘ TYGRYS

„Eme-ere-o-zeta-e-ka” – tak podczas każdego wywiadu musiał cierpliwie powtarzać w połowie lat dziewięćdziesiątych kataloński pisarz Quim Monzó, kiedy dziennikarze pytali go o ulubionych autorów. A on uparcie wymieniał te same nazwiska: Buzzati, Manganelli i Mrozek. Kto?! Wtedy w Barcelonie nikt Mrozka nie znał, no, oprócz nielicznych – kilku ludzi teatru, którzy pamiętali *Emigrantów* wystawionych pod koniec lat osiemdziesiątych w sali Villarroel, studyjnego teatru w centrum miasta. Podobno przed laty wydano nawet w Hiszpanii jakąś jego książkę, ale kto to zrobił i kiedy – nie wiadomo. Quim Monzó też Mrozka nie znał, dopóki tygodnik „The European” nie zaczął publikować opowiadań Polaka. I zamieszczał je przez ponad rok. Katalończyk zaś czytał, wycinał i chował je do teczek. A kiedy już nzbierał tych wycinków dużo, zaniósł je do Jaume Vallcorba – swego wydawcy i właściciela barcelońskich wydawnictw Quaderns Crema i Editorial Acantilado. „Zacząłem mu marudzić, że opowiadania trzeba przetłumaczyć i wydać. Ale spodobały mu się i wtedy to on stał się tym, który marudził, że opowiadania trzeba wydać” – napisał w maju 1995 roku w katalońskojęzycznym, nieistniejącym już dzienniku „Avui” Quim Monzó.

Zaczęły się poszukiwania. Żeby przełożyć opowiadania Sławomira Mrozka, trzeba było najpierw znaleźć jego książki przetłumaczone na inne języki. I znaleziono – w Perpignan, francuskim mieście, które do dziś budzi w Katalończykach sympatię i nostalgię, przez lata bowiem było ostoją i wytchnieniem od frankizmu i jego purytanizmu.

Przekroczenie granicy nie było w czasach reżimu dużym problemem. Wystarczała tak zwana zielona karta odbierana u celników na granicy. Co tydzień tysiące mieszkańców regionu odwiedzało w Perpignan księgarnie, sklepy, tamtejsze kina, również te wyświetlające filmy pornograficzne. Te ostatnie na Półwyspie Iberyjskim były całkowicie zakazane. Pozostałe zaś objęto podwójną cenzurą: reżimu i Kościoła. Wierni zdążający na mszę w niedzielę znajdowali obok drzwi kościoła kartkę z wypisanymi premierowymi tytułami. Kartkę wieszał proboszcz. Jeśli przy tytule nie było żadnych adnotacji, film nie naruszał zasad moralności. Jeśli narysowano jeden romb – miał niestosowne sceny. Dwa romby oznaczały zaś, że obraz był wysoce niestosowny. Do takiej kategorii zaliczono na przykład *Przeminęło z wiatrem*. Moja znajoma, chcąc uchronić rodziców przed piekłem (o czym dowiedziała się tego samego dnia w szkole), zamknęła ich w domu i nie wypuściła do kina. Zdarzało się też, że podczas pocałunku na ekranie przerywano projekcję, by duchowny mógł wejść na scenę i „uspokoić” publiczność. Wyjaśniał zebranym, że był to pocałunek braterski, „bo całujący się są tylko rodzeństwem”. Zwykle jednak nie przerywano filmu, gdyż ksiądz siedział obok operatora kinowego i kiedy na ekranie pojawiały się „brzydkie sceny”, zasłaniał ręką projektor.

Cztery tomy Mrozka z mówiącego po katalońsku Perpignan przywiózł do Barcelony

Sergi Pàmies – pisarz, tłumacz, krytyk, fanatyczny kibic Barçy i specjalista od czarnego humoru, który szybko dołączył do grupy mroźkofilów. Przywódcą owej literackiej „szajki” był Quim Monzó – autor, z którym należało się liczyć i który w Quaderns Crema ma już wydane dwadzieścia dwa tytuły. Jego bajki i opowiadania są nafaszerowane – podobnie jak u Mroźka – ironią, inteligencją i dowcipem.



• Widok na Perignan.

W opublikowanym w 1993 roku zbiorze bajek *El perquè de tot plegat* (Przyczyna tego

wszystkiego) znalazła się jedna – *Śpiąca królewna* – którą Monzó napisał z myślą o swoim ulubionym polskim autorze. W opowiadaniu Mrożka pod tym samym tytułem rycerz budzi uśpioną piękność, po czym chcąc się od niej uwolnić, znika pod pretekstem kupna papierosów. W bajce Monzó prawie ją budzi, prawie się zakochuje, ale na myśl o statecznym życiu i gromadce dzieci rezygnuje z budzenia pięknej królewny.

Dzięki Quimowi Monzó i jego „wspólnikom” w 1995 roku, czyli dwa lata po „odkryciu” przez nich Mrożka, w Katalonii ukazało się tłumaczenie *Trudnego życia*, a potem *Drzewa*. Obie książki przełożyła Bożena Zaboklicka. Potem publikowano następną i następną jego książkę. W sumie katalońskie Editorial Acantilado wydało już jedenaście tytułów, z których większość miała więcej niż jedno wydanie, bo Katalończycy zachwycili się Mrożkiem.

„Oni ciągle o Mrożka pytają. Najpierw kupują jego książkę, a potem przychodzą i pytają, chcą wiedzieć, kiedy ukażą się następne tłumaczenia” – opowiadała pracownica barcelońskiej Casa del Llibre (swojsko brzmiącego nam Domu Książki), największej księgarni w mieście. Wspominała klienta, który zawsze kupował trzy egzemplarze książek Sławomira Mrożka. Kiedy stało się tak po raz kolejny, nie wytrzymała i zapytała, dlaczego to robi. Pan spojrzał na nią z powątpiewaniem i odrzekł tonem dającym do zrozumienia, że jego zachowanie jest oczywiste: „Jeden egzemplarz jest dla mnie, drugi dla siostry, bo czyta dziecku Mrożka przed snem, a trzeci dla mojej osiemdziesięcioletniej mamy”.

Mieszkańcy regionu lubią literaturę absurdu. Mają podobną do naszej wrażliwość i poczucie humoru. Między innymi dzięki bajkom i opowiadaniom Quima Monzó, ale też Sergi Pàmiesa i Pere Caldersa – również autora bajek – Katalończycy odnajdują się w abstrakcyjnych opowieściach polskiego autora i śmieją się z jego dowcipów. „Stoi facet w metrze, leciwy, dobrze ubrany i co chwilę zaśmiewa się wniebogłose. Patrzę, a on czyta *Słonia*” – opowiadała niedawno Polka, mieszkanka Barcelony.

Katalończycy twierdzą, że Mroźek tylko teoretycznie opowiada o innej rzeczywistości, a jego ulubiona broń – słowo, absurd i ironia – rozkłada na czynniki pierwsze wszystkie otaczające nas systemy: polityczny, etyczny, religijny i moralny. Dlatego jego pisarstwo jest rozumiane bez względu na szerokość geograficzną. „Nadajemy na tych samych falach” – mówią Katalończycy.

„Mroźek jest Polakiem, którego nazwisko – o dziwo – nie kończy się na «wicz». Jednak jego teksty można postawić na równi z takimi autorami jak Gombrowicz czy Różewicz” – napisał o polskim twórcy znany krytyk literatury Fernando Valls.

W 2010 roku, z okazji osiemdziesiątych urodzin Mrożka, Editorial Acantilado wydało darmową broszurę poświęconą polskiemu autorowi.





• Lluís Bassets, Ryszard Kapuściński, Josep Ramoneda w czasie wykładu w Agencji EFE, Barcelona, 1990 r.

KAPUŚCIŃSKI W LABIRYNCIE RAVALA

„A jest już z tego film?” – słyszała przed laty Agata Orzeszek, tłumaczka i wykładowczyni na barcelońskim uniwersytecie, kiedy proponowała hiszpańskim wydawnictwom przetłumaczenie *Cesarza Ryszarda Kapuścińskiego*. Był koniec lat siedemdziesiątych i Hiszpanię oddzielała od Polski bardzo szczelna żelazna kurtyna. Dla wydawnictw, z których większość do dzisiaj ma siedziby w Barcelonie, argumentem mogącym świadczyć, że książka „stamtąd” ma szansę na powodzenie, był nakręcony na jej podstawie film. Dzięki temu w 1985 roku Agata przetłumaczyła na hiszpański *Popiół i diament* Jerzego Andrzejewskiego. Tym razem obyło się bez podstawowego pytania, bo traf chciał, że krótko przed tym na jednym z przeglądów prezentowany był w Hiszpanii film Andrzeja Wajdy. Pewnie dlatego wydawca, który był jednym z widzów, zdecydował, że okładkę książki zdobić będzie zdjęcie Zbyszka Cybulskiego.

Na podstawie *Cesarza* nikt jednak filmu nie nakręcił. Ale w „zarażeniu” mieszkańców Półwyspu Iberyjskiego Kapuścińskim pomógł przypadek. Na Targach Książki we Frankfurcie właściciel barcelońskiego wydawnictwa Anagrama – jednego z najbardziej prestiżowych w Hiszpanii – przeczytał przetłumaczone na francuski fragmenty *Szachinszacha* i bardzo mu się spodobały. Nie zapamiętał wprawdzie nazwiska autora, ale coś mu się w głowie kołatało, że to ten sam, którego proponowała polska tłumaczka. Dlatego to właśnie od książki *El Sha* – tak brzmi jej hiszpański tytuł – rozpoczęła się w Hiszpanii kariera polskiego pisarza, podróżnika i reportażysty. Po *Szachinszachu* przyszła kolej na następne książki, w sumie dziewięć tytułów – wszystkie tłumaczone przez Agatę Orzeszek. Ona też, na życzenie Kapuścińskiego, opracowała hiszpańską wersję *Autoportretu reportera* [w Hiszpanii ukazał się pod tytułem *El Mundo de hoy* (Dzisiejszy świat)] i wybrała do niej teksty z przekazanego jej przez pisarza stosu teczek i zapisków.

Ryszard Kapuściński często odwiedzał Barcelonę. Przez pierwsze lata, kiedy jeszcze nie był rozpoznawany na ulicy, zwiedzał miasto w *petit comité*, ze znajomymi. Lubił też spacerować samotnie, anonimowo. Potem ścigały go flesze, kamery i mikrofony. Jednak zawsze znajdował sposób, żeby dyskretnie zniknąć i zaszyć się w zakątkach, które najbardziej lubił.

Zwiedzanie Barcelony śladem Kapuścińskiego nie jest trudne. Wystarczy wejść w wąskie i ciemne uliczki Barri Gòtic (po hiszpańsku Barrio Gótico) i Raval – czyli w rejony, które szanujący się stali mieszkańcy Barcelony zwykle omijają. Położona poniżej placu Uniwersyteckiego dzielnica Raval – ulubione miejsce akcji wielu powieści Eduarda Mendozy – wciąż uchodzi za szemrany region, schronienie nielegalnych imigrantów i prostytutek. Dzielnica Raval została „odkryta” przez barcelończyków dopiero w 2001 roku, kiedy to José Luis Guerín nakręcił *En construcción* (W budowie) – film o dość socrealistycznej treści, bo opowiadający o budowaniu kamienicy. Obraz pewnie nie

zostały przez publiczność zauważony (któż by oglądał film o brzydkiej dzielnicy miasta), ale zdobył nagrodę specjalną Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w San Sebastián i został wyróżniony statuetką Goi – hiszpańskim Oscarem. Ku uciesze reżysera, nagrodom towarzyszyły pieniądze, za które – jak szczerze przyznał w którymś z wywiadów – mógł spełnić wreszcie jedno z marzeń i kupić sobie pierwszy w życiu komputer.



- Ryszard Kapuściński z Evą Korallnik i Jorge Herralde, właścicielem Wydawnictwa Anagrama, które wydaje książki Kapuścińskiego.



• Ryszard Kapuściński z Jorge Herralde i Agatą Orzeszek, tłumaczką i serdeczną przyjaciółką, Barcelona, 2002 r.

Kapuściński odkrył Raval, zanim zrobili to mieszkańcy Barcelony. Znany z niezwyklej łatwości nawiązywania kontaktu pisarz, który w mieście zaprzyjaźniał się z taksówkarzami, hotelowymi boyami i kelnerami, miał na Raval ogromne pole do popisu. Żeby tam nawiązać dialog, wystarczy wejść do pierwszego lepszego sklepiku, baru albo usiąść na chwilę na ławce. Dzielnica zachowała wyjątkową atmosferę. Do dzisiaj na wielu uliczkach pozostały ślady po rynsztokach, przetrwały szyldy sprzed stu lat i stare, nieremontowane kamienice. Wiele z nich w czasie II wojny światowej było schronieniem dla uciekinierów z Polski. Partery tych kamieniczek zajmują chińskie sklepy z używaną odzieżą, małe arabskie knajpki, sklepiki z szyldami napisanymi cyrylicą, graciarnie, antykwariaty i afrykańskie salony fryzjerskie. Ich czarnoskórzy właściciele potrafią godzinami zaplatać cienkie warkoczyki i okręcać włosy kolorowymi nitkami, przez cały ten czas ani na chwilę nie przestając mówić. Niechęć barcelończyków i zła opinia wyszły Raval na dobre i skutecznie odstraszyły firmy budowlane. Moda na Raval pojawiła się wystarczająco późno, żeby jedyne w swoim rodzaju kwartały ulic nie zostały zeszpecone nowoczesnymi apartamentowcami.

Wbrew obawom barcelończyków – zwłaszcza tych mieszkających w wyżej położonych dzielnicach miasta – mieszkańcy Raval są pokojowo nastawieni do świata. Niektórzy twierdzą, że spacer po Raval to jak podróż dookoła świata. Miejsce to może być przykładem tolerancji i poszanowania kultur, religii i obyczajów. Na tym niewielkim

skrawku Barcelony mówi się ponad pięćdziesięcioma językami i wyznaje różne religie. Nie zdarzyło się jednak, aby było to źródłem sporów i konfliktów.

W tej niezwykle barwnej dzielnicy przepadał Ryszard Kapuściński. Również w przylegającej do niej części starówki – Barri Gòtic, w zaułkach o gorszej sławie, po prawej stronie Rambli. Jak zapewniają ci, którzy z nim w Barcelonie obcowali, podczas wszystkich wizyt, a było ich niemało, autor ani razu nie zwiedził zabytków Sarrià czy Pedralbes – najbogatszych dzielnic miasta. Nie przepadał za luksusem. Barceloński Uniwersytet Ramon Llull, który wyróżnił pisarza doktoratem *honoris causa*, chciał go ugościć i wynajął mu pokój w pięciogwiazdkowym i niezwykle nowoczesnym hotelu. Kapuściński wytrzymał w nim kilka godzin. Nie wiedział, jak włączyć światło, oparzył się gorącą wodą i jeszcze tego samego dnia zameldował się z walizką w mieszkaniu Agaty Orzeszek, swojej tłumaczki.

Pisarz, uznawany – nie bez racji – za najlepszego reportera na świecie, miał jednak w Hiszpanii „długi start” – jak to określił wydawca Kapuścińskiego, barcelończyk Jorge Herralde. Mimo że był ceniony, jego pierwsze książki sprzedawały się w niewielu egzemplarzach. Rozchodziły się głównie wśród znawców tematu – wykładowców i dziennikarzy. Sukcesem wydawniczym okazał się dopiero *Heban*. Od października 2000 roku książka była wznawiana aż dwadzieścia trzy razy. A po niej przyszła kolej na następne, o wiele szybciej zauważane przez znających już Kapuścińskiego czytelników.

Polak bywał też w Madrycie i Santander, gdzie wykładał na uniwersytecie letnim. Słuchaczką wakacyjnych kursów autora *Szachinszacha* była Letizia Ortiz – wtedy dziennikarka hiszpańskiej telewizji publicznej, teraz żona króla Filipa VI i królowa Hiszpanii. „Bardzo zdolna i inteligentna studentka” – tak ocenił ją pisarz. Jej mąż, wtedy jeszcze książę, wręczył Polakowi w 2003 roku nagrodę Księcia Asturii – najwyższe wyróżnienie w Hiszpanii, przyznawane w tych samych dziedzinach co nagrody Nobla. Podczas przyjęcia wydanego po części oficjalnej, książę Asturii wyjawiał Kapuścińskiemu, że czytał jego wszystkie książki. I – jak potem wspominał autor – zrobił to w sposób nie mniej emocjonalny jak wcześniej jego żona. Ryszard Kapuściński nie był pierwszym Polakiem wyróżnionym hiszpańskim Noblem. Przed nim tę prestiżową nagrodę wręczono Krzysztofowi Pendereckiemu (w 2001 roku), a po nim – Zygmuntowi Baumanowi (w 2010 roku).

Barcelona nie tylko radośnie witała, ale też żegnała pisarza. Po jego śmierci, zamiast ceremonii upamiętniającej związek Kapuścińskiego z miastem, wyprawiono mu urodziny. Pisarz zmarł dwa miesiące przed ukończeniem siedemdziesięciu pięciu lat. Dlatego na krótko po jego śmierci, w Muzeum Sztuki Współczesnej (CCCB) w tak lubianej przez niego dzielnicy Raval zebrało się dużo urodzinowych gości. Przyszedł jego wydawca, tłumaczka, naukowcy. Przynieśli czerwone róże i wino; był także On – na slajdach wyświetlanych na dużym, rozstawionym w sali ekranie.





• Legendarne czerwone twarde krzesła w Teatre Lliure.

TWARDY KRYSZTIAN LUPA

„Przedstawienia Lupy ogląda się kosztem dupy” – mawiają mieszkańcy Barcelony, miłośnicy sztuk polskiego reżysera (po katalońsku to powiedzenie się nie rymuje). Awangardowe teatry i sale festiwalowe, w których prezentowane są jego spektakle, zawsze – bez wyjątku – są wyposażone w twarde, często plastikowe krzesła. Jakby ich dyrektorzy obawiali się, że wstawienie miękkich foteli obniży rangę placówki, a widz – nie daj Boże! – pomyśli sobie, że trafił do typowego, klasycznego teatru. Nie jest to możliwe. Teatre Lliure na Gràcia – awangardowej dzielnicy przyklejonej do centrum Barcelony – czy jego brat bliźniak, Teatre Lliure na wznoszącej się nad portem górze Montjuïc, są uważane za jedne z najbardziej rewolucyjnych i pionierskich scen nie tylko Katalonii, ale w całej Hiszpanii. Letni barceloński festiwal Teatre Grec i jesienny festiwal Temporada Alta w Gironie – gdzie też goszczą, i to z wielkim powodzeniem, sztuki krakowskiego reżysera – są co roku wydarzeniami kulturalnymi, bo mają świetnie dobrany repertuar. Jednak również tam przed sceną ustawiane są twarde, niewygodne krzesła.

Katalońscy widzowie są jednak uparci i nie zraża ich perspektywa obolałych pośladków. Wielokrotnie sam reżyser spektaklu osobiście ich uprzedzał o konsekwencjach przychodzenia na jego sztuki. Na konferencji prasowej przed premierą przeniesionych z desek krakowskiego Teatru Starego, trwających osiem godzin *Braci Karamazow* Krystian Lupa ostrzegł widzów, że po półtorej godziny będą mieli kryzys i mogą usnąć. „Jeśli zdołacie go pokonać, bez większych problemów dotrzwacie do końca przedstawienia” – zapewniał. Mimo perspektywy spędzenia w teatrze pełnowymiarowej dniówki na sali panował tłok. Podobnie zresztą jak na innych spektaklach Polaka. Mieszkańcy regionu są bowiem wyjątkowo odporni na brak snu. Żeby się o tym przekonać, wystarczy przespacerować się po Barcelonie latem, kiedy niemal do świtu przesiadują w barach, a rano punktualnie jadą do pracy.

Gorzej jednak idzie im z posiłkami. Katalończyk nie wytrzyma z pustym żołądkiem czterech godzin, a o sześciu czy ośmiu na czczo nie ma nawet co mówić. Dlatego w czasie sztuk Krystiana Lupy czasem słychać szelest odpakowywanych kanapek i otwieranych butelek. Niewielu jednak to przeszkadza, bo dla barcelońskiego widza podczas tych spektakli ważne są nie tyle wypowiedane kwestie, ile mowa ciała. *Bracia Karamazow* Fiodora Dostojewskiego, czteroipółgodzinna *Wycinka* tak cenionego przez reżysera Thomasa Bernharda czy *Prezydentki* Wernera Schwaba – wszystkie te spektakle katalońska publiczność obejrzała po polsku. Przez pierwsze lata, podobnie jak w kinie, czytała wyświetlane na pasku pod sceną dialogi.

„Nie mówię po polsku. Ale kwadrans spektaklu wystarczył mi, żebym zrozumiał, że on jest geniuszem” – podsumował *Prezydentki* znany kataloński krytyk teatralny Pablo Caruana. To też wystarczyło jury przyznającemu co roku w Katalonii nagrody teatralne i

filmowe Premis Butaca. W 2011 roku *Persona. Marilyn*, zaprezentowana na festiwalu Temporada Alta, została uznana za najlepszy spektakl zagraniczny roku. Lupa jest jego reżyserem, scenarzystą i scenografem.



• Teatre Lliure.



• *Końcówka* Samuela Becketta w reżyserii Krystiana Lupy.

Publiczność już nie musi tylko wyobrażać sobie, jak brzmiałby Lupa po katalońsku. Od niedawna wchodzący na widownię dostają przetłumaczoną sztukę. Autorem przekładu jest Xavier Farré – Katalończyk, wykładowca na Uniwersytecie Jagiellońskim i tłumacz polskiej poezji Herberta, Zagajewskiego i Miłosza. On też był autorem dialogów zamieszczanych na pasku. Jednak gdy kilka osób mówiło naraz, nie można było wszystkiego przetłumaczyć.

Dlatego dużo racji miał przed laty hiszpański pisarz i dramaturg Antonio Gala, laureat prestiżowej nagrody literackiej Premio Planeta, mówiąc, że „Katalończycy szybciej rozumieją polską sztukę po polsku niż hiszpańską po hiszpańsku”. W ten ironiczny sposób artysta uzasadniał decyzję o niewystawianiu w Barcelonie jego spektaklu *Los bellos durmientes* (Śpiący królewicze), którego czterej bohaterowie to młodzi, piękni i triumfujący ludzie szukający sensu w życiu. Premiera sztuki odbyła się w sierpniu 1994 roku w Santander. Zaraz potem przedstawienie trafiło do Madrytu, a potem oczekiwano, że zawita do Barcelony. Tak się jednak nie stało. Dramaturg z żalem stwierdził, że jego teatr nie ma w stolicy Katalonii odbiorcy, bo tamtejsi widzowie „wołą sztuki po polsku”. „Wypowiedź Antonia Gali mogła zranić mówiących po katalońsku, przede wszystkim «Polaków» [czyli Katalończyków]” – napisał oburzony czytelnik jednej z gazet. Sztuka o śpiących królewiczach nie została w Barcelonie wystawiona do dziś.

Katalończycy mogli zaś obejrzeć *Końcówkę* Samuela Becketta wyreżyserowaną po

hiszpańsku przez Krystiana Lupa. Polak pokierował aktorami madryckiego Teatro de La Abadía, a w projekcie uczestniczył też kataloński El Canal-Centre d'Arts Escèniques z Salt. Spektakl był pięciokrotnie prezentowany w Lliure – teatrze z twardymi krzesłami. Zawsze przy pełnej widowni. Ciasno było też na sali Teatre Ovidi Montllor, gdzie Krystian Lupa wygłaszał wykład rozpoczynający rok akademicki w barcelońskim Instytucie Teatru. Również – na prowadzonych przez niego warsztatach o głosie wewnętrznym aktora i przydatności tego głosu na scenie. Polak podobno wydobył ze studentów ich prawdziwe „ja” zagrzebane w podświadomości.

Krystian Lupa jest spod znaku Skorpiona. Zdeterminowany, silny, zaangażowany we wszystko, co robi. Tak go odbierają Katalończycy. W Barcelonie reżyser obchodził swoje siedemdziesiąte pierwsze urodziny. Kolację zorganizowano w restauracji La Dama, w pięknej modernistycznej kamienicy, której architekt, Manuel Sayrach, wzorował się na projektach Antonia Gaudiego. Wśród gustownej scenerii, przy dużym okrągłym stole usiadł reżyser, goście – wśród nich Piotr Skiba i organizatorka wieczoru Hanna Podolska, pełnomocnik do spraw kultury w barcelońskim konsulacie. A na zakończenie kolacji – jak w teatrze – zgasło światło, ale nie podniesiono kurtyny, lecz wniesiono wielki biało-czerwony tort.





• Fernando Bravo, „Kantoriana”, *Most walizek*.

ON WCIĄŻ TU JEST

„Po trzydziestu minutach spektaklu widz zaczyna zdawać sobie sprawę, że jest świadkiem innego teatru, teatru doskonale skonstruowanego, spójnego i z silną osobowością”. Można by pomyśleć, że jest to kolejna recenzja sztuki Krystiana Lupy. I mogłaby nią być, ale nie jest. Tak jak teraz katalońska publiczność wielbi Lupę, tak wcześniej, przez wiele lat, chyliła czoła przed innym krakowskim twórcą – Tadeuszem Kantorem. Owa bardzo pochlebna opinia barcelońskiego krytyka dotyczyła *Umarłej klasy*, którą wystawiono w mieście osiem lat po jej premierze w Krzysztoforach. Cztery lata później, w 1987 roku, katalońscy widzowie mieli okazję obejrzeć *Wielopole*, *Wielopole* i *Niech szczerzą artyści*. A rok przed śmiercią Kantor zaprezentował w Barcelonie sztukę o tytule z podtekstem: *Nigdy tu już nie powrócę*. Spektakl *Dziś są moje urodziny* – którego nie dokończył, a który po jego śmierci wystawili aktorzy Cricot 2 – ominął Barcelonę i został zaprezentowany tylko w Madrycie.

Gdyby Kantor żył, to przed spektaklami albo po nich mógłby umawiać się z Krystianem Lupą na kawę. Teatr, w którym Kantor wystawiał swoje przedstawienia, jest usytuowany na Montjuïc, niemal naprzeciwko Teatru Lliure i barcelońskiego Instytutu Teatru, z którymi kontakty utrzymuje polski reżyser.

Scena, na której w Barcelonie wystawiał Kantor, nazywa się Mercat de les Flors (Targ Kwiatowy). Piękny, modernistyczny budynek z czerwonej cegły był Pałacem Rolnictwa zbudowanym na Wystawę Światową 1929 roku. Kiedy zaczął podupadać, przeznaczono go na giełdę kwiatową, a gdy całkiem podupadł, zamknięto go na cztery spusty. Na awangardową scenę przerobił Mercat de les Flors Peter Brooks, kiedy w 1983 roku postanowił wystawić w Barcelonie *Carmen* Bizeta. Po obejrzeniu różnych lokalizacji uznał, że najlepszą stanowią opuszczone magazyny Targu Kwiatowego. I tak się stało. Opera została wystawiona tam, gdzie zażyczył sobie reżyser. Ten zaś podarował miastu w zamian całe pozostałe wyposażenie, a nawet część dekoracji. Jednak postawił warunek: magazyny zostaną trwale przerobione na teatr. Burmistrzem był wtedy Pasqual Maragall, ten sam, który w 1992 roku we wzorowy sposób przygotował Barcelonę do olimpiady, od kilku lat zmagający się z bezlitosną chorobą Alzheimera. W 1995 roku opuszczone magazyny stały się jedną z najbardziej awangardowych scen miasta. A premierowe przedstawienie w Mercat de les Flors (była nim *Mahabharata*) też wyreżyserował Brooks.

Wchodząc do budynku nietypowego teatru, warto zadrzeć głowę i spojrzeć w sufit. Mierzącą dwanaście metrów średnicy rozetę pod pałacową kopułą pomalował w śródziemnomorskie motywy Miquel Barceló – pochodzący z Majorki najsłynniejszy współczesny artysta hiszpański. Na szczęście dla władz miasta w latach osiemdziesiątych dopiero rozpoczynał karierę. Teraz Barcelony nie byłoby stać na zamówienie u niego tej

pracy. Barceló jest najdrożej sprzedającym się żyjącym twórcą hiszpańskim. Na jednej z ostatnich aukcji w Londynie jego obraz wylicytowano za cztery i pół miliona euro. A za ozdobienie sufitu europejskiej siedziby ONZ w Genewie kolorowymi stalaktydami zapłacono mu osiemnaście milionów euro. Jak potem tłumaczył Barceló, dużą część tej kwoty wydał na farby. Z okrągłego sufitu zwisa jej aż sto ton.

Nie wiadomo, czy Kantor zauważył i docenił dzieło artysty z Majorki. Podczas swej pracy w teatrze, podobnie jak było przed przedstawieniami Brooksa, polski twórca przewracał wszystko do góry nogami. Zmieniał, co mógł, a przy okazji dosłownie mroził robotników i aktorów. Wszystkie sztuki Kantora na przestrzeni lat były wystawiane w Barcelonie w marcu, kiedy jeszcze nie przypieka słońce. Mimo chłodu, na życzenie Mistrza, w całym budynku zakręcano centralne ogrzewanie. Przeszkadzało mu, ponieważ instalacja była stara i hałasowała. Nikt z nim nie dyskutował, bo w Barcelonie „artysta całkowity – aktor, reżyser, malarz”, jak nazywano Kantora, miał opinię człowieka, „który zjada dyrektorów teatrów”. „Im bardziej są drobnomieszczańscy, tym większe wyzwalają w nim pokłady złości” – zapewniał ówczesny dyrektor placówki, Andrés Morte. Myślał, że i on zostanie pożarty, kiedy mu obwieszczono, że Polak zaprasza go do hotelu na dwugodzinną rozmowę. Skorzystał z zaproszenia. Rozmowa odbyła się w holu hotelu Colón (hotelu Kolumba), w którym zatrzymali się aktorzy teatru Cricot 2, i dyrektor wyszedł z niej cało.

W barcelońskim hotelu Kolumba powstał kolaż Kantora *Do pokoju wleciał gołąb*. A spoglądając z hotelowego okna pokoju, artysta stworzył dziewięć rysunków przedstawiających katedrę gotycką w Barcelonie. Cykl powstał w 1987 roku, kiedy krakowski teatr prezentował w Mercat de les Flors dwa spektakle, i nosi nazwę *Katedry barcelońskie – prawie przedmioty*. Sam autor tłumaczył potem: „Narysowane i namalowane z okna pokoju, nie w różnych momentach, tylko pod wpływem różnych nastrojów”. Na poznanie Kantora-malarza mieszkańcy Barcelony musieli poczekać kilka lat, do prezentowanej już po jego śmierci wystawy zatytułowanej „Kantor. Scena pamięci”. Zorganizowano ją w słynnej La Pedrera, kamienicy Antonia Gaudiego – architekta, który go zachwycał.

Kamienica, która jest jednym z symboli Barcelony, wcale nie podobała się XIX-wiecznym mieszczanom i niektórzy wpływowi mieszkańcy miasta żądali nawet, żeby ją wyburzyć, bo szpeci piękne Passeig de Gràcia. Dom nie spodobał się również rodzinie Milà, która zamówiła u Gaudiego projekt. I kiedy architekt zmarł, żona przedsiębiorcy, Roser Segimon i Artells, natychmiast wyremontowała i przebudowała zaprojektowane przez niego mieszkanie. Kamienicę potocznie nazywa się *La Pedrera* (kamieniołom). Jak tłumaczą badający historię miasta, nazwę tę nadali oburzeni mieszczenie ze względu na dziwny kształt budowli. A do jej wyboru mieli przysłużyć się chuligani, którzy szpetny – ich zdaniem – dom obrzucali kamieniami.



• Budowa Sagrada Família.

Galeria, w której prezentowany był Kantor, mieści się na parterze La Pedrera. Do zaciemnionych i dobrze zaaranżowanych wnętrzu wstawiono ławki z *Umarłej klasy*, i inne rekwizyty z przedstawień, a na ścianach zawieszono prace krakowskiego artysty. Zwiedzający przekonali się wtedy, że sympatia Katalończyków do jego teatru była przez Kantora odwzajemniona. W szkicach, rysunkach i obrazach odnaleźli wpływy Antonia Tàpiesa i Salvadora Dalego. Tego ostatniego krakowski twórca wręcz czcił. „On jest moim bogiem” – mawiał. I dodawał: „Z niczego stworzył świat, swój świat artystyczny”. Zawsze podczas pobytów w Barcelonie Polak jeździł do Figueres i godzinami zwiedzał muzeum ekscentrycznego surrealisty. Uważał, że jego pojmowanie świata i sztuka przekraczają granice rozumu i logiki. Cenił Tàpiesa. Nigdy się nie poznali. Kantor oglądał jego prace w barcelońskich muzeach sztuki współczesnej, które chętnie odwiedzał. I była to obopólna sympatia. Kiedy w 2000 roku Fundacja Tadeusza Kantora zaproponowała, by w Krakowie wystawił kilka swoich prac, Tàpies sam je wybrał, a w ostatniej chwili dołożył jedną ze swoich słynnych *Pintura i bastidor* (Obraz i rama) – prac wyglądających jak zawieszony na ścianie obraz z naciągniętym blejtramek; widz ogląda tylko drewnianą ramę i niezamalowane płótno, a resztę musi sobie wyobrazić. Dla Mistrza Tàpiesa dołączenie tej pracy do ekspozycji było jego osobistym hołdem złożonym Kantorowi. W Muzeum Narodowym w Krakowie zaprezentowano wtedy dzieła Antonia Tàpiesa razem z pracami Kantora i Roberta Wilsona. W katalogu do wystawy Katalończyk wyjawiał, że darzy Polaka głębokim podziwem. „Kraków – miasto Kantora. Polska – kraj, który zawsze noszę w

sercu” – napisał Antonio Tàpies.

W Barcelonie Kantor popadał w skrajności. Z muzeów prezentujących sztukę współczesną wychodził na uliczki Barri Gòtic, gdzie potrafił siedzieć godzinami. Artysta lubił zwiedzać zabytkową część miasta, tę, w której przetrwały ślady starożytnych Rzymian, a potem Wizygotów, średniowiecznych kupców. Twierdził, że nie ma tam zabytków, które liczyłyby mniej niż pół tysiąclecia. Oczarowywały go setki świec palonych w kościołach, przeszkadzały – zimno i wilgoć. Chwalił modernizm, bo „XIX wiek pełen był ekscentryków i maniaków”. Zachwycał się niedokończoną i pozostawioną wtedy swojemu losowi bazyliką Sagrada Família. I jej „kolbami kukurydzy”, jak nazywał zaprojektowane przez Antonia Gaudiego wieże. Świątynia będzie ich miała w sumie osiemnaście, choć najbardziej strzelista, której wysokość przekroczy sto siedemdziesiąt dwa metry, wciąż nie została zbudowana. „Razem z nim umarła część najlepszej awangardy europejskiej” – napisali po śmierci Kantora barcelońscy krytycy teatralni. Miasto wciąż go pamięta. W setną rocznicę urodzin artysty w Instytucie Teatru odbyło się trzydniowe sympozjum poświęcone jego sztuce. Na tę okazję wydano tekst *Umarłej klasy i Wielopole, Wielopole*. A w Muzeum Episkopalnym w Vic zorganizowano „Kantorianą” – wystawę rzeźb Fernanda Bravo zainspirowanych twórczością polskiego artysty.





Xavier Farré i Adam Zagajewski.

WSZYSTKO PRZEZ BRODSKIEGO

Żeby przetłumaczyć wiersz, trzeba mieć wyjątkową wrażliwość. Treścią wiersza jest bowiem to, co unosi się ponad słowami. Xavier Farré nie chciał tłumaczyć polskich wierszy, chciał je czytać. Próbował po hiszpańsku, ale pod koniec lat dziewięćdziesiątych w księgarniach znalazł tylko jeden niewielki tomik Miłosa, wydany dwa lata po otrzymaniu przez niego literackiej Nagrody Nobla, i Herberta. Traf chciał, że wysłuchał wykładu Josifa Brodskiego. Wygnany ze Związku Radzieckiego twórca analizował Europę, kraj po kraju, i sugerował, których poetów warto poznać. A kiedy doszedł do Polski, stwierdził, że polskich należałoby czytać w oryginale, bo to najlepsi poeci XX wieku.

I Xavier postanowił tak zrobić. Pierwszym przystankiem na drodze do poznania języka polskiego, a dzięki temu poezji, był miniaturowy podręcznik *Teach yourself Polish*. Stamtąd przyswoił podstawowe zwroty i wyrazy, poznał też kilka rzeczowników – tylko w mianowniku, bo nie znał jeszcze wtedy deklinacji. „Tylko nie pisz tego!” – usłyszałam zaraz po tym, jak mi o tym opowiedział.

Kolejnym ważnym przystankiem był Poznań – miasto, którego przed wyjazdem Xavier nie potrafił wskazać na mapie. „Wiedziałem, że leży gdzieś w Polsce. I to mi wystarczało. Bo właśnie w Polsce chciałem się znaleźć”. Tamtejszy uniwersytet szukał kandydatów do prowadzenia lektoratu z języka katalońskiego i Xavier – absolwent filologii katalońskiej – zgłosił się i pojechał. Na uczelni spędził dwa lata. Po zajęciach ze studentami wracał do domu, by godzinami przyswajać nowe wyrazy i uczyć się gramatyki. Przed popadnięciem w rozpacz uchroniła go znajomość łaciny i studia filologiczne. Twierdzi, że czasy tuż po obaleniu komunizmu sprzyjały jego edukacji, bo wtedy w Poznaniu było jeszcze niewielu zagranicznych turystów i żeby się porozumieć, musiał mówić po polsku. W drugim roku już na tyle dobrze władał językiem z drugiego krańca Europy, że potrafił wyrazić w nim to, co chciał. „Nawet mówiący po hiszpańsku Polacy zaczęli zwracać się do mnie po polsku”.

Tłumaczenie wierszy przyszło do Xaviera Farré samo, po powrocie do Katalonii. Nadarzyła się okazja, którą on nazywa mieszanką szczęścia i zbiegu okoliczności. Zaczął od najwyższej półki. Pierwszymi przetłumaczonymi przez niego książkami były: przełożony na hiszpański *Ogień i wiatr* Adama Zagajewskiego i na kataloński *Wybór wierszy* Czesława Miłosa. Za tłumaczenie tej ostatniej dostał nagrodę Vidala Alcovera. Potem na trwałe związał się ze znanym i bardzo dobrym wydawnictwem Acanilado – wyjątkowo wrażliwym na literaturę z dawnej Europy Wschodniej. Marek Bieńczyk, Andrzej Stasiuk, Józef Czapski, Jan Karski, Adam Michnik, Stefan Chwin, Jerzy Pilch, Mariusz Szczygieł – książki tych i innych polskich autorów zostały w ostatnich latach opublikowane przez Acanilado. Jego już nieżyjący właściciel, Jaume Vallcorba, germanista, wcześniej od innych wydawców zrozumiał, że warto publikować tę nieobecną w Hiszpanii literaturę. Książki, które przez dziesięciolecia były podwójnie wyciszane: ceglanym murem i żelazną

kurtyną. Jak sam przyznał, zauważył, że „książki pisane przez tamtejszych autorów mają wielki potencjał. Są metafizyczne, głębokie i refleksyjne”.

Ziemia ognista, Pragnienie, Ateny i Niewidzialna ręka – wszystkie te tomy wierszy Zagajewskiego tłumaczył Xavier Farré. Przełożył również Herberta. Jego eseje *Barbarzyńca w ogrodzie* uważa za najtrudniejsze zadanie, jakiego się podjął. „Miłość-nienawiść” – tak określa związek, jaki nawiązuje z tłumaczonym wierszem. „Choć – uspokaja – zawsze po jakimś czasie dochodzimy do zgody”.

„Wiersze nie przychodzą zawsze, czekają na swój moment. Zadziwiające jest, że mimo całej realności, mimo wszystkich zmian w świecie digitalnym, mimo okrucieństw dokonanych w imię Wielkich (choć wypaczonych) Idei, mimo okrutnej historii, jedni z największych poetów XX i XXI wieku kładli nacisk na to, że poezja zajmuje dalej tę sferę natchnienia, która niesie jakiś rodzaj ocalenia przed grozą, która nas otacza” – napisał Xavier Farré (po polsku!) z okazji 70. urodzin Adama Zagajewskiego.

Czasem, kiedy opuszcza ręce i czuje, że zabrnął w ślepią uliczkę, wychodzi na spacer. Dodatkowy, bo zwykle spaceruje dwa razy dziennie. Na Uniwersytet Jagielloński, gdzie wykłada, ma pół godziny marszu. A potem drugie tyle do domu. Lubi spacerować zimą. „Jak idę, to nie marznę” – mawia. W Instytucie Filologii Romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego Xavier prowadzi lektorat z katalońskiego, również zajęcia z teorii tłumaczenia, a od niedawna wykłady z hiszpańskiej poezji XX wieku.

Znając Polaków i Katalończyków, twierdzi, że nie jesteśmy narodami do siebie podobnymi, tylko w podobny sposób podchodzimy do życia codziennego. Jesteśmy wrażliwi i szybko się jednoczymy w sytuacji zagrożenia, jednak kiedy ona mija, przyjaciel staje się nieprzyjacielem, a sojusznik – potencjalnym wrogiem. „Gdyby nie wspólny nieprzyjaciel, w Polsce nigdy by nie powstała Solidarność”. I my, i oni lubimy zaglądać do historii, choć – zdaniem Xaviera – nas wciąż bardziej przygniata komunizm niż Katalończyków dyktatura generała Franco.

Tłumacz poezji Miłosza, Zagajewskiego i Herberta sam pisze wiersze. Jego tomiki przetłumaczono na słoweński, angielski, chorwacki, francuski, litewski. W Polsce opublikowano zbiór jego wierszy zatytułowany *Kompas na śniegu*.



KOCHAĆ I TRENOWAĆ MÓZG

Miłość i dbanie o sprawność mózgu po siedemdziesiątce – to skłoniło Angels do nauki języka polskiego. Zakochała się trzy dekady temu w Polaku, naukowcu. Był małomówny, nie znał hiszpańskiego, ale miał tak głębokie spojrzenie, że kiedy wrócił po wakacjach do Polski, pojechała za nim. Nie od razu. Najpierw pisali do siebie listy. Angels dyktowała w Barcelonie znajomej Polce, która potem tłumaczyła te, które nadchodziły z Warszawy. Do dzisiaj je przechowuje.

Potem pojechała. „Musiałam sprawdzić, czy to miłość od pierwszego wejrzenia, czy tylko mi się wydawało”. Nie było łatwo, starania o wizę, o hotel. W Warszawie wszystkie zajęte, był koniec czerwca 1986 roku i trwał właśnie X Zjazd PZPR – przedostatni w dziejach partii. Jego hasłem było: „Więcej demokracji, więcej dyscypliny”. Jednak mimo problemów Katalonce udało się wynająć pokój w Victorii. Podczas pobytu zwiedziła Wilanów, Łazienki, Żelazową Wolę. Zachwyciła się krajem, ludźmi, ich życzliwością i solidarnością. Potem było Boże Narodzenie na Mazurach, a po kilku miesiącach ślub w Barcelonie. I dopiero po dwudziestu sześciu latach małżeństwa zaczęła uczyć się polskiego. Robiła karierę zawodową, nie miała czasu. Ale teraz ma i uczy się już czwarty rok. Robi to dla męża, ale też dla siebie. Odkąd oboje są na emeryturze, często wyjeżdżają do Polski i chce się porozumieć z tamtejszą rodziną. A w dodatku wierzy, że taka gimnastyka ochroni ją przed demencją, miażdżycą i chorobą Alzheimera. „Mam już swoje lata. Muszę dbać o mózg, muszę go ćwiczyć” – podkreśla.



• Lekcja polskiego w Stowarzyszeniu Kulturalnym Katalońsko-Polskim.

Nauczycielką Angels jest Iwona Małecka-Sayol. To od niej uczyła się przed trzydziestoma laty podstawowych słów, kiedy po raz pierwszy jechała do Warszawy. Podobały jej się tamte lekcje i po ćwierć wieku odnalazła Iwonę, teraz szefową Stowarzyszenia Kulturalnego Katalońsko-Polskiego, które między innymi prowadzi indywidualną naukę języka. W ciągu dziesięciu lat z zajęć tych skorzystało 800 mieszkańców Barcelony. Jedni chcą się dogadać z teściową, inni z mężem czy narzeczoną. Są też tacy, którzy pamiętają polski od dziadków, ale nie od rodziców, i chcą znów nim

władać. Zgłaszają się też muzycy, architekci, inżynierowie, którzy planują zamieszkać i pracować w Polsce.

„Nie wnikałabym w to, czy Polacy są Słowianami, a my Iberami wymieszanymi z Celtami. Myślę, że łączy nas kultura, wspólne korzenie, również chrześcijaństwo. Mimo odległości mamy dużo wspólnych cech” – podkreśla Katalonka i zapewnia, że wciąż jest po uszy zakochana w mężu. I on w niej też, bo zaczął się uczyć katalońskiego. Oboje w domu już mogą rozmawiać w tym języku. Podobnie jak u Angels, mózg Tadeusza też wymaga treningów.





Logo programu „Polonia”.

BOLEK I LOLEK NA KATALOŃSKICH ŚCIEŻKACH

Katalończycy nie mogą zapomnieć o Polsce. O jej istnieniu co tydzień przypomina im satyryczny program „Polònia” nadawany w publicznej katalońskiej telewizji TV3. Regularnie od 2006 roku każdego czwartkowego wieczoru, w godzinach największej oglądalności, ekrany telewizorów nagle czerwienieją i z odbiorników rozbrzmiewa skoczna muzyka, podobna do rosyjskich melodii ludowych.

Poprzedzająca program czołówka mogłaby być bez obaw emitowana w czasach stalinizmu. Na krwistoczerwonym tle wyrasta brzydkie, socrealistyczne miasto, przez ekran przelatują bombardujące pomidorami samoloty i defilują żołnierze. Ich kroku nie powstydziliby się parada wojskowa na placu Czerwonym. Zamiast uszatek noszą czerwono-czarne *barretines* – czapki katalońskich pasterzy, ale też tancerzy sardany, katalońskiego tańca narodowego. A na końcu nad wszystkim zawisa gigantyczny osioł – zwierzę, które odcinający się od hiszpańskich zwyczajów Katalończycy przyklejają na samochody zamiast popularnego w innych regionach byka – i dopiero wtedy na ekranie pojawia się słowo „Polònia”.

A wszystko to z uwagą śledzi przed telewizorami pół Katalonii. Widzowie czekają na skecze wyśmiewające wydarzenia minionego tygodnia. Program nie oszczędza nikogo. Od dziesięciu lat w równej mierze obrywają premier centralnego rządu, lokalni politycy, burmistrzowie miast, niepodległościowcy, opozycja, kler, prezydent Obama i kanclerz Angela Merkel. Sobowtóra ma nawet charyzmatyczny Lluís Llach. Scenarzyści naśmiewają się ze wszystkich, którzy w ciągu ostatnich dni zasłużyli na uszczypliwe komentarze.





• Satyryczne wcielenia – Francois Hollande, Angela Merkel i Papież Benedykt XVI.

Zespół z niezwykłą czujnością śledzi media i portale społecznościowe i jest wyjątkowo szybki. Zdarza się, że ostatnie scenki sytuacyjne do czwartkowych wydarzeń dogrywane są tuż przed rozpoczęciem programu, który odkąd jest nadawany, bije rekordy oglądalności. W ciągu pierwszych dziesięciu lat zostało wyemitowanych dwieście dwadzieścia osiem godzin „Polòni”, pokazano prawie pięć tysięcy skeczów i sparodiowano sto trzydzieści sześć postaci.

„Polònia” często prowokuje. Jej autorzy jako pierwsi w Hiszpanii przełamali trwające dziesięciolecia tabu – zaczęli śmiać się z rodziny królewskiej. Po raz pierwszy aktor Toni Alba wcielił się w rolę ówczesnego monarchy Juana Carlosa dopiero w dwudziestym drugim odcinku programu. Do owej pory w Hiszpanii obowiązywało niepisane prawo: można mówić o królu i królowej, ile się chce, pod warunkiem, że mówi się dobrze. Tymczasem w skeczach autorzy nie pokazują dworu w dobrym świetle. Obnażają nieudane małżeństwo królowej Sofii z Juanem Carlosem, zamiłowanie króla do łowiectwa i kobiet. Napięcia między królem emerytem a synową Letizią i problemy z Iñaki Urdangarinem,

który – odkąd został oskarżony o przywłaszczenie funduszy publicznych i oszustwa podatkowe – z przykładowego królewskiego zięcia stał się *persona non grata*. Nie tylko w tajemniczy sposób zniknął ze strony internetowej rodziny królewskiej, ale też jego podobiznę znajdującą się w barcelońskim Muzeum Figur Woskowych dyskretnie przeniesiono z sali poświęconej monarchii do sali sportowców. Zanim bowiem Urdangarin poślubił młodszą córkę Juana Carlosa, Cristinę, był gwiazdą piłki ręcznej i członkiem reprezentacji Hiszpanii.

W role premierów, ministrów i liderów największych mocarstw wcielają się aktorzy, ale też dziennikarze. Niektórzy z nich – swego czasu poważni komentatorzy polityczni – dla „Polòni” porzucili swe poważne posady. Na ekranie często są nie do rozpoznania, bo na równi z dowcipem i sarkazmem w programie ważna jest charakteryzacja. Przygotowanie jednej postaci trwa czasem kilka godzin. Zdarza się, że ucharakteryzowani aktorzy stają się popularniejsi od pierwowzorów. Kilka lat temu Nowy Rok witali w Barcelonie komentator pogody Tomàs Molina i jego „polonijny” sobowtór, który stał się ulubieńcem całej Katalonii.

Na zakończenie każdego odcinka „Polòni” premier katalońskiego rządu – czwarty już, odkąd rozpoczęto emisję – wygłasza krótkie przemówienie. Zaraz potem na ekranie pojawia się zapisane po polsku słowo KONIEC. Wyraz ten zna cała dorosła Hiszpania. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych hiszpańskie dzieci były usypiane polskimi dobranockami. Poznały *Bolka i Lolka*, *Przygody Błękitnego Rycerzyka*, *Zaczarowany ołówek*, *Reksia*, *Misia Uszatka*, *Koziołka Matołka*. Kreskówki ze Studia Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej musiały rywalizować o popularność z produkcjami Disneya i zwykle przegrywały. Ale już dorosłym dzieciom utkwilo w pamięci słowo „koniec” – a właściwie „koniek”, jak je czytają Katalończycy. Po emisji pierwszych programów wielu osobom podobała się treść, ale też cieszyły się na widok ostatniego kadru „Polòni”. „Czuję się tak, jakbym wrócił do dzieciństwa” – można było wtedy usłyszeć.

Stało się też tradycją, że przed wyborami studio filmowe odwiedzają kandydujący politycy, by móc zmierzyć się twarzą w twarz ze swoimi telewizyjnymi wcieleniami. Często też ze scenariusza „Polòni” można się dowiedzieć więcej niż z telewizyjnych serwisów informacyjnych, bo między ironią i dowcipem przemycane są informacje, o których nie mówi się oficjalnie. Podczas skeczów i scenek na jaw wychodzą antypatie między politykami, napięcia w rządzie, kłótnie o stołki. Kiedy katalońskie partie prowadziły tajne negocjacje o stworzenie koalicji rządowej, „Polònia” jawnie i z humorem informowała, na jakim są one etapie. Podobno scenarzyści mieli informacje z pierwszej ręki – od któregoś z polityków zasiadających przy negocjacyjnym stole.

Wejście „Polòni” na ekrany i jej socrealistyczna czołówka nie spodobały się polskiemu Konsulatowi Generalnemu i zażądano nawet zmiany tytułu programu. Na szczęście do tego nie doszło. Kilka lat później, żeby zakopać topór wojenny, katalońska „Polònia” wspólnie

z polską Polonią urządziły obchody Święta 3 Maja. W sali koncertowej Luz de Gas, w której zwykle odbywają się koncerty jazzowe, polską publiczność witali ucharakteryzowani katalońscy kuzyni, a nad sceną, na charakterystycznym dla programu żółto-czerwonym tle, napisano: „FESTA DELS POLACS. Święto Polaków”.

Pomysłodawcą programu jest Toni Soler, dziennikarz, który przejął pałeczkę po Manuelu Vázquezie Montalbánie i też postanowił wykorzystać słowiańskie przezwisko, jakim obdarzani są Katalończycy. Zanim program trafił do telewizji, można go było słuchać. Przez cztery lata *Minoria absoluta* (Bezwzględna mniejszość) była emitowana w katalońskiej rozgłośni radiowej RAC1. Kiedy program przeskoczył na mały ekran, jego autor dawał mu kilka miesięcy na wizji, jednak „Polònia” zadomowiła się na dłużej.

Program w oryginalny sposób uczcił 10-lecie istnienia. Zaprosił polityków, z których przez wszystkie te lata się wyśmiewał, i skonfrontował ich z ekranowymi sobowtórami. Zrobił to w typowym dla „Polòni” stylu – z humorem i sarkazmem. Tym razem skeczami były niby na poważnie prowadzone rozmowy. Politycy okazali się w nich nie gorszymi aktorami od tych występujących co czwartek.

Były lider katalońskiego rządu José Montilla zdradził, że Sergi Mas [swego czasu bardzo poważny dziennikarz], który wcielał się w jego postać, jest jego bratem bliźniakiem, z którym przed laty został rozdzielony. Były koszykarz, a teraz kierujący w Katalonii Partią Ludową [PP – jedno z dwóch największych hiszpańskich ugrupowań] Xavier García Albiol dorabia po godzinach w „Polòni”. Zdejmuje garderobianym paczki z najwyższych półek, a te w zamian szyją mu spodnie. Lider słynnego, skrajnie lewicowego „Podemos” (Możemy), długowłose Pablo Iglesias Turrión został przyłapany na ruganiu przez Skype'a swojego sobowtóra za suchą i zaniedbaną perukę. „Mówiłem wyraźnie, koński ogon ma mieć 25 centymetrów, twój ma 15. Nie dbasz o nią, nie nakładasz maseczek!” – wykrzykiwał.

Wyszło też na jaw, że to nie scenarzyści piszą treści skeczów, ale sami politycy. We wrześniu, przed wyborami do katalońskiego parlamentu, lider barcelońskich socjalistów Miguel Iceta zatańczył na jednym z wieców w takt muzyki zespołu „Queen” i dzięki temu zdobył dodatkowe głosy. Podczas jubileuszowego programu widzowie zobaczyli Icetę siedzącego na zebraniu ze scenarzystami „Polòni” i proponującego, że jeśli chcą, skoro nie mają pomysłów, to zatańczy na mitingu, żeby potem to mogli wykorzystać.

Po raz pierwszy w swojej historii program odniósł się bezpośrednio do Polski znad Wisły. Poważna pani adwokat poinformowała, że zaskarżyła do sądu polską firmę produkcyjną za nielegalne kopiowanie programu. „Tam nazywa się on »Katalonia« i jest dokładną kalką naszego” – zapewniała. Na dowód kazała wyemitować fragment, na którym czystą polszczyzną dwóch ucharakteryzowanych mężczyzn naśladowało popularny, polonijny skecz.

Dzięki Toniemu słowo „Polska” na dobre wtopiło się w katalońską panoramę. I to nie tylko telewizyjną, również teatralną. Ponad rok z desek barcelońskiego teatru nie schodziło

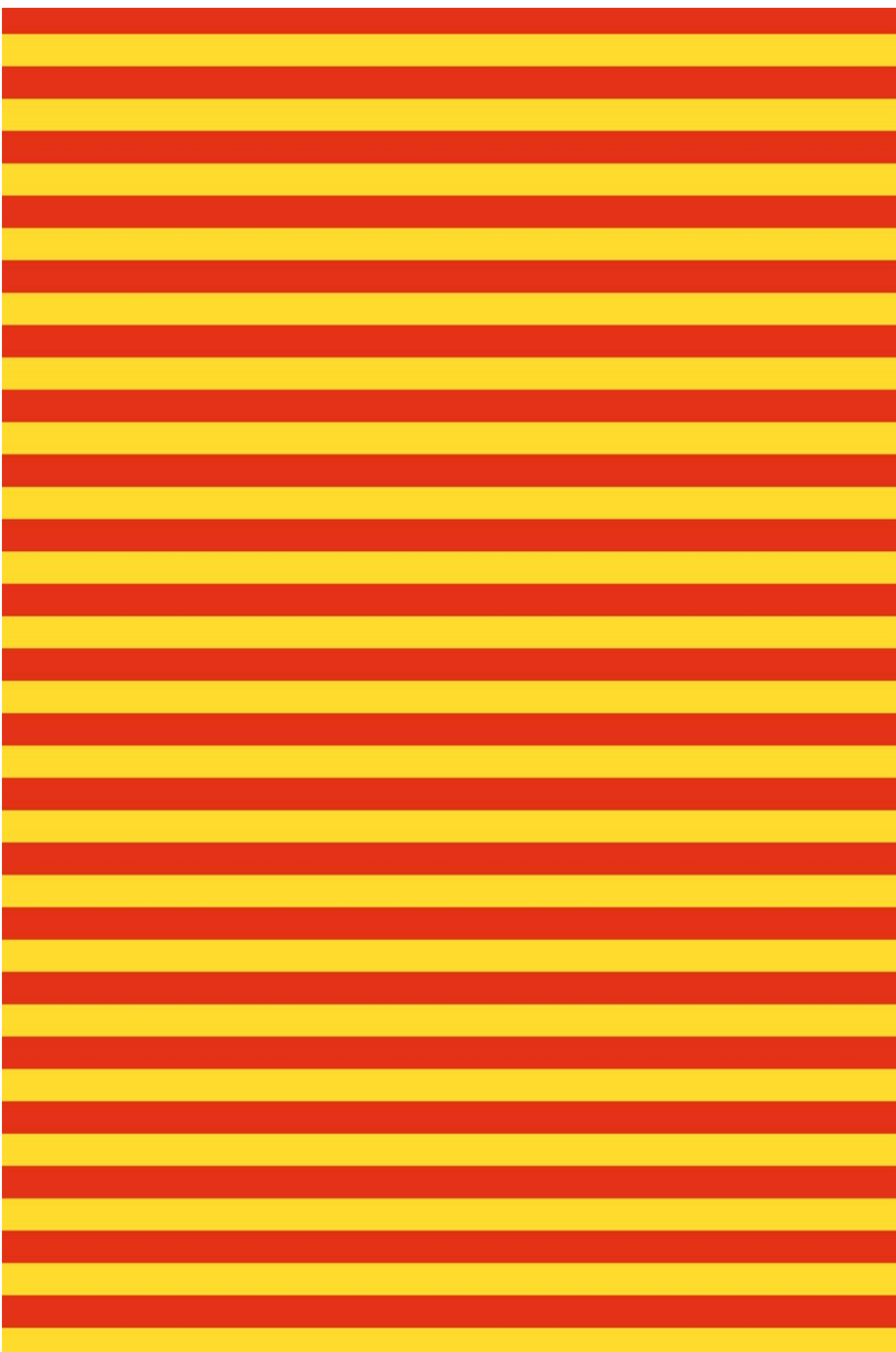
przedstawienie *La Família Irreal* (Nierzeczywista rodzina, gra słów *ir-real*, czyli niekrólewska), w którym aktorzy parodiowali Juana Carlosa i jego bliskich. W ciągu jednego sezonu musical obejrzało prawie osiemdziesiąt tysięcy osób.

O Polsce ze szklanego ekranu wydano też kilka książek. Toni Soler napisał *El llibre mediàtic de Polònia* (Medialna książka o Polsce), w której opisuje kulisy nagrywanego programu. Dołączono do niej złożony z czternastu pytań test zatytułowany *Czy jesteś prawdziwym „polakiem”?* (po katalońsku to słowo zapisywane jest małą literą). „Polak” musi w nim odpowiedzieć na pytania dotyczące programu i występujących w nim postaci. Okładkę książki *Visc a Polònia* (Mieszkam w Polsce) zdobi wielka, czerwona gwiazda. Publikacja ta jest kompendium nowych katalońskich zwyczajów, na przykład wojny na pestki z czarnych oliwek albo ubój *erizo del mar* w Pirenejach. Niedawno Toni Soler opublikował nowelę fantastycznonaukową *Polonia independent* (Polska niepodległa). Zgodnie z jego wizją Montserrat – „katalońska Częstochowa” – jest lądowiskiem statków kosmicznych, w niepodległym kraju nowy polski (kataloński) rząd zawarł traktat z Iranem, a narodową religią jest dyskusjonizm.

Pod patronatem „Polòni” ukazała się też satyryczna książka *Tria La Teva Crisi* (Wybierz swój kryzys). Jej autorami są scenarzyści programu, a bohaterem – jak twierdzą – może być każdy z nas.

„Polònię” można też studiować. Na barcelońskim Uniwersytecie Pompeu Fabra satyrycy programu w bardzo poważny sposób prowadzą roczne studia podyplomowe, na których studenci uczą się pisania scenariuszy i realizacji satyrycznych programów audiowizualnych.





PROGRAM SPOD WAWELU

Co tydzień Polską powiewa również w sporcie. W każdy poniedziałek, również w godzinach największej oglądalności, emitowana jest „Crackóvia”. Wtedy przed telewizorami zasiada około miliona Katalończyków. Również mieszkańcy sąsiednich regionów. Przez kilka lat nie mogli tego robić, bo tamtejsza administracja, na czele której stała prawicowa Partia Ludowa (PP), zdecydowała o odcięciu sygnału telewizyjnego dochodzącego z Katalonii. Nie chciała, by mieszkańcy tych regionów oglądali programy wyśmiewające się z polityków, sportowców i rodziny królewskiej. Sygnał zaczął do nich dochodzić po zwycięstwie partii lewicowych w wyborach regionalnych. Ci sami aktorzy, którzy parodiują polityków i rodzinę królewską, wcielają się w piłkarzy, trenerów i komentatorów sportowych. Robią to z nie mniejszą złośliwością niż w czwartki, kiedy śmieją się z poczynań lokalnego i centralnego rządu.



- Plansza „Koniec” z programu „Polònia”.

Bliźniaczy program „Polòni” wszedł na antenę dwa lata po premierze pierwszego skeczu. Impulsem do jego powstania była porażka FC Barcelony na stadionie Wisły Kraków w trzeciej rundzie kwalifikacji Ligi Mistrzów. Było to zaraz po debiucie Josepa Guardioli w roli trenera katalońskiej drużyny. „Chciałbym podkreślić, że nie jesteśmy w fazie grupowej Ligi Mistrzów. Będziemy walczyć. Jutrzejszy mecz nie będzie lekki. Na pewno bardzo poważnie traktujemy naszego rywala” – zapewniał podczas konferencji

przed meczem trener FC Barcelony. Ku uciesze zebranych, w spotkaniu z dziennikarzami towarzyszył mu słynny kameruński napastnik, Samuel Eto'o. Starcie w Krakowie było jego pierwszym meczem wyjazdowym i pierwszą porażką. Jedyna bramka została zdobyta przez Wisłę Kraków w pięćdziesiątej pierwszej minucie spotkania, a jej strzelcem był Brazylijczyk Cléber Guedes de Lima. „Barcelona zagrała najgorszy mecz tego lata” – podsumował rozgrywkę kataloński dziennik „El Periódico”. Po tym meczu sportowa prasa niemal pogrzebała Guardiолę. Prorokowała, że nie wytrzyma w klubie nawet miesiąca. Potem musiała zmienić zdanie, bo Barça nie tylko wygrała Ligę Mistrzów, ale zdobyła też wszystkie możliwe puchary.

Stadion Wisły był akurat w przebudowie i dookoła trybun rozstawiono dźwigi. Dlatego do dzisiaj animowana rozbiegówką do programu jest miasto z dźwigami. Pierwszy program „Crackóvii” wyśmiewał porażkę FC Barcelony w Polsce. W ciągu ośmiu lat emisji „Crackóvii” w Barçie i Realu Madryt zmieniło się kilku trenerów. Teraz widzowie śmieją się z brody Gerarda Piqué, opalenizny Cristiana Ronaldo, z jego nowego prywatnego samolotu i z madryckich komentatorów sportowych, którzy bez względu na sytuację na boisku zawsze krytykują Barcę.

Scenarzyści sportowych parodii są równie szybcy co ci od politycznych. Któregoś z poniedziałków w Europie wybuchł skandal z tzw. dokumentami panamskimi. O otwarciu w Panamie fikcyjnej firmy, żeby ukryć część majątku, posądzono między innymi Leo Messiego. W wieczornym programie gag związany z tym wydarzeniem już był.

O katalońskim „Krakowie” wydano już kilka książek. Najpopularniejszą rok po rozpoczęciu emisji programów *CRACKÓVIA (En papel)*. (Kraków [Na papierze]). Tak dokładnie wygląda tytuł. Książka jest rodzajem poradnika i informatora. Josep Guardiola, ówczesny trener Barçy, zdradza w niej sekret, co robi, aby zachęcić jedenastu milionerów do biegania za piłką. Carles Puyol, ten ucharakteryzowany, radzi nam, jak najlepiej podrywać w dyskotecie [Tego prawdziwego podrywania uczył przed laty Gerard Pique. Puyol przeżył zawód miłosny, po którym chciał rzucić piłkę nożną i Barcę. Jego strapioną duszę ratował – podobno bardzo skutecznie – obrońca FC Barcelony, aktualny towarzysz życia Shakiry]. Niedawno zostały opublikowane bajki, których bohaterowie walczą ze smokami i zamiast czerwonego występuje bordowo-granatowy kapturek (od koloru koszulek noszonych przez graczy Barçy).





Matka Boska z Montserrat.

KATALOŃSKA JASNA GÓRA

Katalończycy mówią o niej „La Moreneta” (Czarnulka). Jej podobizna zdobi wszystkie katalońskie kościoły. Mare de Déu de Montserrat, Matka Boska z Montserrat, Czarna Madonna, jest od końca XIX wieku patronką Katalonii. Obiektem kultu nie jest, jak w Polsce, obraz, lecz rzeźba przedstawiająca Matkę Bożą siedzącą na tronie, trzymającą na kolanach Dzieciątka Jezus, a w ręku – kulę ziemską. Wyrzeźbiona z drewna oliwnego figura ma niespełna metr wysokości i powstała w XII wieku. Mimo że polska Czarna Madonna różni się od katalońskiej, można je uznać za bliskie krewne. Jak głoszą legendy, autorem obu dzieł był święty Łukasz Ewangelista, który towarzyszył w podróżach świętemu Piotrowi. Katalończycy wierzą, że podczas jednej z nich, w 50 roku naszej ery, to właśnie pierwszy papież miał zostawić drewnianą figurkę w jednej z jaskiń na Montserrat.

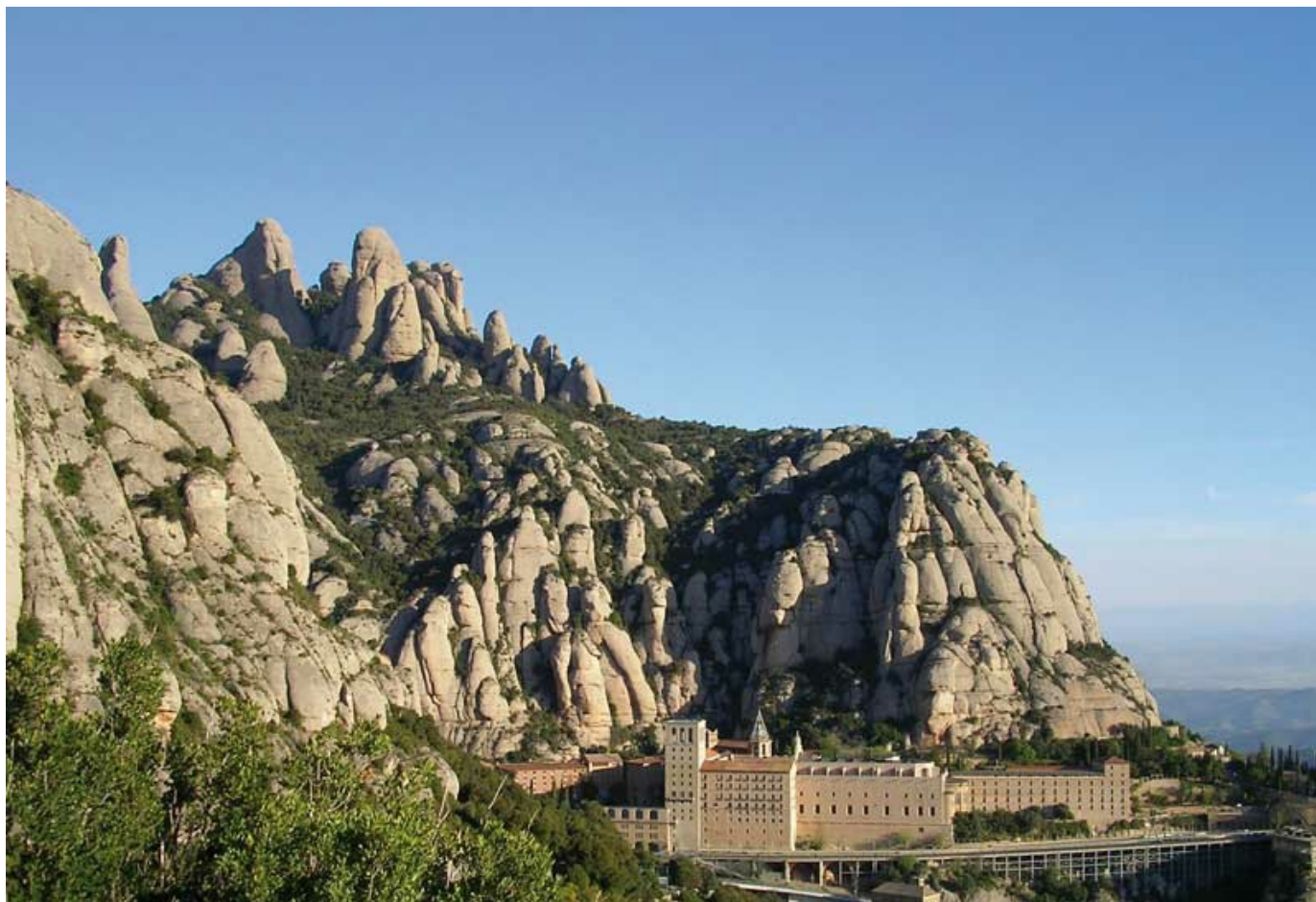
Tam właśnie, w klasztorze benedyktynów, spotkały się dwie Czarne Madonny. Klasztor Jasnogórski podarował katalońskiemu opactwu replikę obrazu. Do przekazania doszło podczas uroczystej mszy, w której uczestniczyli przełożeni obu klasztorów, przy akompaniamencie śpiewu Escolanii – chóru chłopięcego, który objechał cały świat. Zaśpiewali wtedy *Virolai* – hymn Verge de Montserrat.



• Wnętrze Bazyliki pod wezwaniem Matki Boskiej.

Matka Boska Częstochowska i Verge de Montserrat spotkały się już wcześniej, w 1939 roku, w napisanym wtedy poemacie *Diàleg de les Verges Negres de Polònia i Catalunya* (Rozmowa Czarnych Madonn, polskiej i katalońskiej). Ich spotkanie wyobraził sobie Carles Pi i Sunyer – burmistrz Barcelony, minister rządu Republiki, poseł do hiszpańskiego parlamentu i minister kultury rządu katalońskiego. W czasie hiszpańskiej wojny domowej wyjechał do Londynu i stamtąd obserwował wrześniowe wydarzenia 1939 roku. Pod ich wpływem napisał poemat, którego bohaterki – Czarne Madonny – rozmawiają o

nieszczęściach swych narodów. „...litość tak szczerą jak głęboka wobec biednego narodu polskiego, który daleko stąd, na odległość, lecz nie z dystansu serca, widzi podeptaną i podbitą ojczyznę swoją, wlecze się pełen trwogi drogami w ucieczce bez celu, cierpi, płacze, walczy i umiera, lud ten dogorywa w gehennie i męce, takich samych jak te, których my doświadczyliśmy niecały rok temu, lud, który jest kością z kości naszej i bratem w duchu”^[1] – pisał Katalończyk. Dla wielu mieszkańców regionu, którzy musieli wtedy uciekać, Polska stała się miejscem wyjątkowym. Była postrzegana jak bliski krewny: naród w brutalny sposób napadnięty przez najeźdźcę.



• Góra Montserrat.

Montserrat – kataloński odpowiednik Jasnej Góry, symbol katalońskiej tożsamości – od wieków był miejscem schronienia, również dla uciekinierów wojennych. W czasach dyktatury to tam ukrywali się republikanie, zawsze drukowano tam katalońskie książki, tam też dokonano pierwszego przekładu Biblii na kataloński. Pierwszą kapliczkę postawiono na Montserrat w IX wieku, a wcześniej, w czasach rzymskich, ponoć stała w tym miejscu świątynia ku czci bogini Wenus. Do klasztoru na Montserrat pielgrzymowali Goethe, Cervantes i Lope de Vega. W 1522 roku – po nawróceniu – także Ignacy Loyola, który wracając z niego, w położonej nieopodal Manresa założył pierwszy zakon jezuitów.

Serra to po katalońsku „zębata piła”, dlatego Montserrat oznacza postrzępioną górę. Jej masyw o niepokojącym kształcie widać z odległości kilkudziesięciu kilometrów. Wyłania się na widnokręgu chwilę po wyjechaniu z barcelońskiego lotniska. Trudno się dziwić, że

jest owiany wieloma legendami. Według jednej z nich, to tam sir Parsifal – rycerz Okrągłego Stołu – podobno przed wiekami ukrył Święty Graal. Legendę podtrzymał niemiecki średniowieczny epos rycerski Wolframa von Eschenbacha, w którym kielich został ukryty przez sir Parsifala na północy Hiszpanii, w położonym w dolinie zamku Monsalvat. Nietrudno skojarzyć nazwę z Montserrat. Dlatego właśnie góra ta zainspirowała Richarda Wagnera, kiedy pisał operę *Parsifal*. Podczas premiery niepokojący kształt Montserrat był tłem rozgrywającej się na scenie akcji.

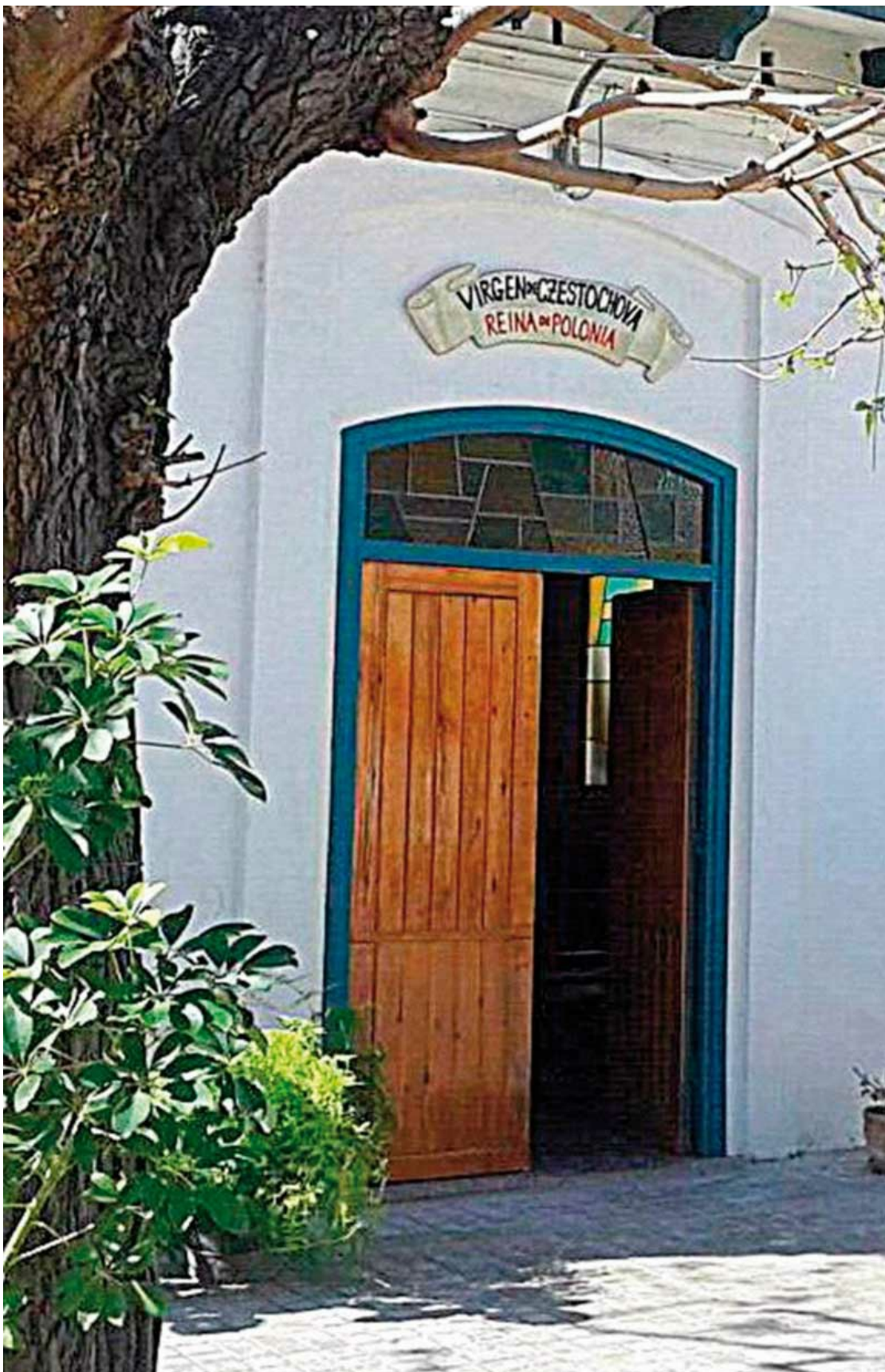
Heinrich Himmler i jego świta w październiku 1940 roku przyjechali sprawdzić, czy Wolfram von Eschenbach mówił prawdę. *Wo ist die Graal?* – to pytanie miało być pierwszymi słowami wypowiedzianymi przez szefa SS i Gestapo, gdy już wjechał na stromą górę. Towarzyszyło mu dwudziestu pięciu esesmanów, między innymi generał Karl Wolf, który był ekspert w dziedzinie ezoteryzmu. Na ich przywitanie nie wyszedł jednak opat klasztoru, tylko mnich Andreu Ripol Noble, który mówił po niemiecku. Tłumaczył, że opat został w środku, bo nie włada obcymi językami. Mimo żądań, Niemcy nie zostali wpuszczeni do podziemi i nie pokazano im żadnych dokumentów. Tamtejsza biblioteka liczy ponad trzysta tysięcy tomów. Kiedy Himmler nerwowo spędzał czas na Montserrat, Führer prowadził długą rozmowę z generałem Franco. Podarował wtedy hiszpańskiemu dyktatorowi książkę *Dwór Lucyfera* Otto Rahna – romanisty i pupila szefa Gestapo i SS, który przez lata poszukiwał Graala w Europie i Afryce. Kolejna niespodzianka czekała na Himmlera w hotelu. Następnego dnia Reichsführerowi ukradziono w barcelońskim Ritzu teczkę z materiałami o poszukiwanym przedmiocie, którą przywiózł z Niemiec. Podobno za kradzieżą stał brytyjski wywiad.

Pod koniec XIX wieku w jaskiniach Montserrat, obserwując stalaktyty i stalagmity, szukał natchnienia architekt Antonio Gaudí. Teraz zaś, każdego jedenastego dnia miesiąca, na Montserrat zbierają się nocą obserwatorzy UFO. Tam też spotykają się członkinie Katalońskiego Związku Czarownic. Podobno górą zachwycił się Krzysztof Kolumb i dlatego jedną z wysp na Karaibach nazwał Montserrat, tak też nazywa się duża dzielnica Buenos Aires. Przez lata Montserrat było też najpopularniejszym w Katalonii imieniem kobiecym. Nosi je choćby słynna sopranistka Montserrat Caballé, która przed olimpiadą w Barcelonie zaśpiewała z Freddie Mercuryem.

Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej wisi też w kaplicy numer 71 w gotyckiej katedrze pod wezwaniem Świętej Eulalii, w centrum starówki w Barcelonie. Były arcybiskup miasta, kardynał Lluís Martínez Sistach, przywiózł go z Jasnej Góry, gdzie odprawił mszę. Katalończyk odbył w Polsce pielgrzymkę śladami Jana Pawła II.



[1] tłum. Jerzy Sławomirski

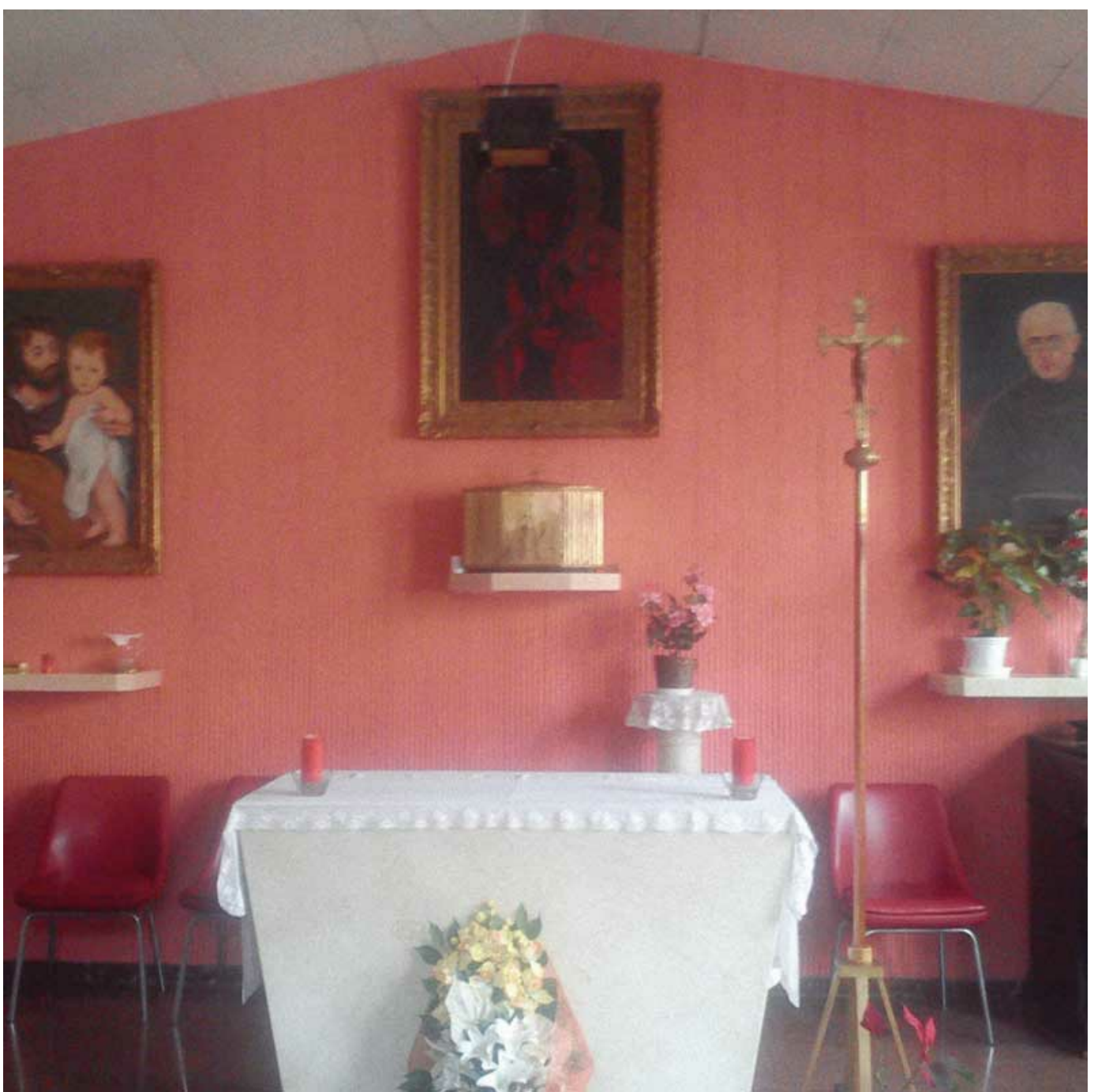


• Wejście do kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej.

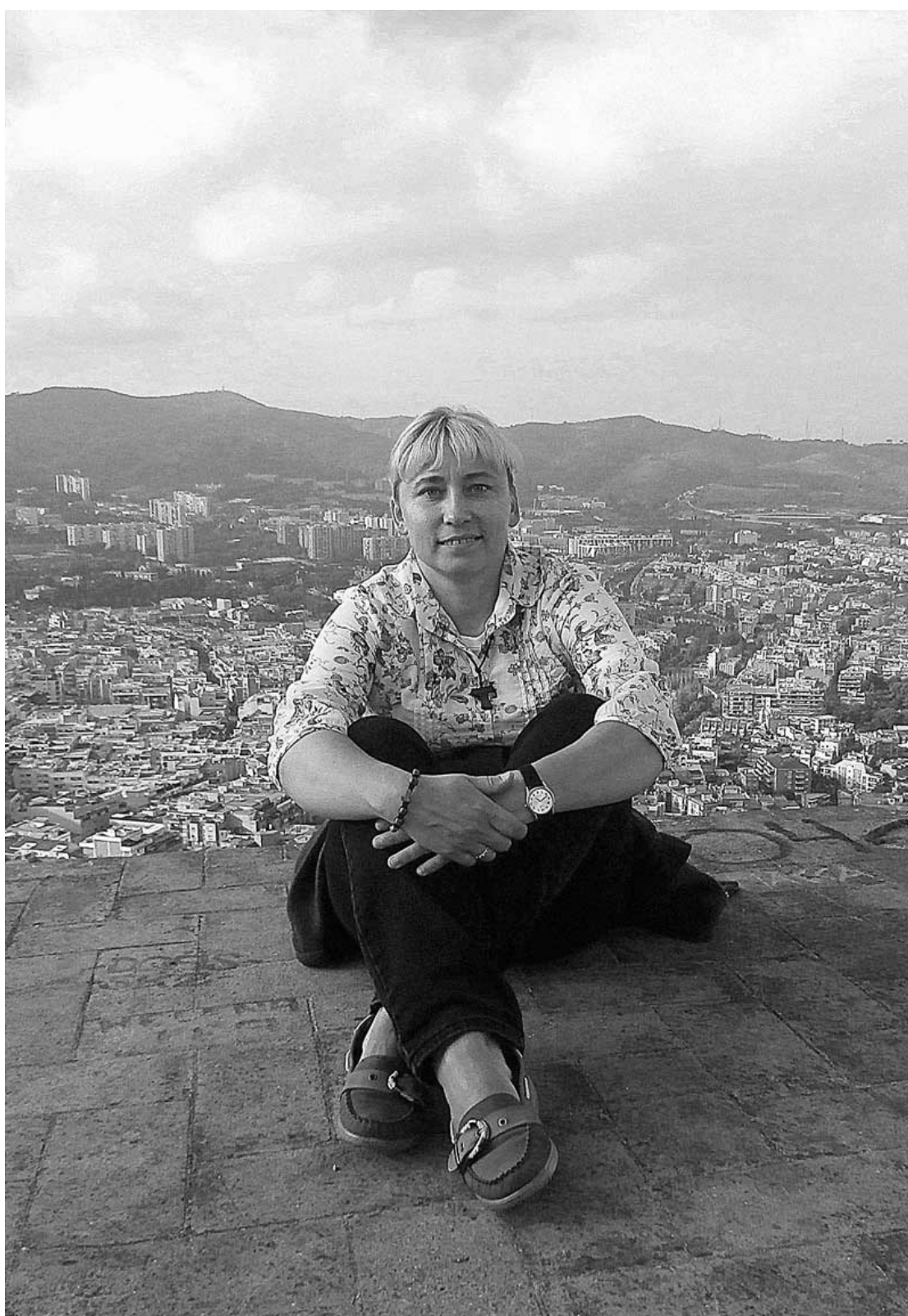
BONAVENTURA I CZĘSTOCHOWA

Co niedziela w barcelońskiej parafii świętego Feliksa Afrykańskiego, w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, odprawiana jest msza za pokój duszy Bonaventury Sociasa. I tak już od prawie dziesięciu lat. Mała parafia znajduje się nieopodal wioski olimpijskiej i ogrodu zoologicznego, tuż obok Uniwersytetu Pompeu Fabra, niespełna dziesięć minut spacerkiem od słynnego Arc de Triomf (Łuku Triumfalnego). O polskiej Matce Boskiej przed laty opowiedział Bonaventurze proboszcz, ksiądz Mariné. Potem, rozsyłając parafianom życzenia bożonarodzeniowe, z tyłu kartki świątecznej proboszcz napisał o Matce Boskiej Częstochowskiej: „Ona uratuje Hiszpanię. Nie dopuści, by marksistowskie czołgi dotarły do Gibraltaru”. Był początek lat osiemdziesiątych i proboszcz, jak wtedy wielu Hiszpanów, bał się, że Półwyspem Iberyjskim zawładną komuniści.

Państwo Socias co roku latem zwiedzali samochodem Europę. Po opowieści proboszcza postanowili pojechać do Polski. „Pamiętam, że na granicy celowali w nas żołnierze z karabinami” – opowiada zatrwożonym głosem wdowa po Bonaventurze, Ramona Vázquez. Jasna Góra ich zachwyciła i po powrocie do Barcelony jej mąż postanowił ufundować kaplicę polskiej Matce Boskiej. Powstała w rogu dziedzińca, blisko kościoła, w pomieszczeniu, w którym wcześniej składowano worki z darami Caritasu. Teraz w środku stoi sześć długich drewnianych ławek, a na głównej ścianie, naprzeciwko drzwi, wisi wielki obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Do małej, skromnej salki wchodzi się prosto z dziedzińca, a nad wejściem, nad szerokimi drzwiami, na kawałku drewna umieszczono napis: „Reina de Polònia (Królowa Polski)”. W kaplicy zawsze świeci słońce, bo nawet kiedy na dziedzińcu jest pochmurnie, przez witraże w oknach sączy się do środka jasne, żółte światło. Reszta jej wystroju też jest bardzo polska. Wisi tam wielki portret świętego Maksymiliana Kolbego, a z bocznych ścian spoglądają na siebie błogosławiony ksiądz Jerzy Popiełuszko, święta siostra Faustyna i święty Jan Paweł II. To właśnie papież Polak w 1982 roku, podczas swej jedynej pielgrzymki, jaką odbył do Barcelony, poświęcił kopię jasnogórskiego obrazu.



- Wnętrze kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej.



• Wioletta Piotrowska – Polka, która opiekuje się kaplicą.

Polska kaplica powstała przy jednej z najskromniejszych barcelońskich parafii. Gdyby nie duży metalowy napis nad bramą, trudno byłoby się domyślić, że mury skrywają kościół. Podobnie jak świątynia, tak wszystkie budynki okalające okazały dziedziniec są pomalowane na biało, parterowe, niskie i przypominają dworskie czworaki. Przed laty było tu miejskie schronisko dla zwierząt. Potem zamieniono je w magazyny, aż dopiero barceloński duchowny, ksiądz José Mariné Jorbá, postanowił je wyremontować i utworzyć parafię. „Mój szef jest ważniejszy niż wy wszyscy razem więci” – mawiał do urzędników,

którzy utrudniali mu realizację celu. Pieniądze na remont – szesnaście milionów peset – zebrali parafianie i podczas każdej mszy ksiądz rozliczał się przed nimi ze wszystkich wydatków.

Ksiądz był przekorny. Przez lata, mimo zakazów organizowania na ulicach Barcelony procesji Bożego Ciała, na Poblenou, gdzie mieści się parafia, wierni stroili ołtarze i dekorowali ulice kwiatami. Za jego czasów kościół jako jedna z nielicznych świątyń w Barcelonie organizował nocne czuwania. Kiedy 2 kwietnia 2005 roku zmarł polski papież, modlono się bez przerwy. Pierwszej nocy po śmierci papieża ciasno było nie tylko w kościele, ale też na dziedzińcu, bo przybyli również katolicy z innych parafii. Mimo próśb w Barcelonie nie otwarto wtedy w nocy kościołów. Tłum zebrał się u wrót zamkniętej na głucho katedry. Niektórzy przemierzali całe miasto, kierując się aż do oddalonej o dwanaście kilometrów bazyliki na wzgórzu Tibidabo, najwyższym wzniesieniu Barcelony, by tam pomodlić się za duszę zmarłego. Dopiero następnego dnia wieczorem pozostawiono otwarte wrota w większości świątyń. Pozwolono też wchodzić do katedry bez płacenia za wstęp (opłata wynosi siedem euro).

W kościele świętego Feliksa nie ma już nocnego czuwania. Za to przez cały tydzień na dziedzińcu panuje gwar. Jedną z sal wyremontowano i przerobiono na stołówkę. Przez pięć dni w tygodniu gorące posiłki dostają w niej najbardziej potrzebujący mieszkańcy parafii. Są wśród nich bezdomni i bezrobotni, również Polacy. Za remont sali, urządzenie i wyposażenie kuchni zapłacił barceloński Rotary Club. W przygotowywaniu posiłków pomagają ochotnicy, a o zaopatrzenie lodówek dba pięć okolicznych hoteli i największy kataloński bank.

W Hiszpanii podczas kryzysu gospodarczego Kościół prześcignął rząd i administrację w szybkości udzielania pomocy potrzebującym. Ówczesny gabinet José Luisa Rodrígueza Zapatero zakazał ministrom wymawiania słowa „kryzys” i występując przed kamerami, politycy negowali, że kraj popada w gospodarczą zapaść. Pierwszym, który się przejęczył i nazwał kryzys po imieniu, był minister finansów Pedro Solbes. W tym czasie parafie i Caritas robiły już, co mogły, by nakarmić ubogich, a tych przybywało. Po raz pierwszy od czasów wojny domowej zdarzało się, że niedojadały dzieci z bezrobotnych barcelońskich rodzin.

Dlatego pod nadzorem arcybiskupstwa barcelońskiego w mieście powstała sieć świetlic, w których uczniowie mogli nie tylko odrabiać lekcje, ale też zjeść podwieczorek. A dla wielu przygotowany tam skromny posiłek był zarazem kolacją, bo w domu lodówka stała pusta. Wtedy to przed kamerami wystąpił ówczesny arcybiskup miasta, kardynał Luís Martínez Sistach. Nie przebierając w słowach, zaapelował do sumień, ale też do kieszeni majątnych mieszkańców Barcelony, polityków i przedsiębiorców. Zawstydził ich i pomoc zaoferowało wielu, przedtem obojętnych na los najbiedniejszych.

Najpierw z inicjatywy Kościoła, a potem także szkół, w latach kryzysu podczas wakacji w Barcelonie czynne były stołówki, ponieważ bezrobotni rodzice nie mieli jak wyżywić

swoich dzieci. Przy Caritas powstały giełdy pracy i darmowe kancelarie adwokackie negocjujące z bankami, aby te nie dokonywały eksmisji i nie odbierały bezrobotnym mieszkań. Pomagano bezdomnym, szukano dachu nad głową rodzinom, które znalazły się na ulicy. A wszystko to za darmo i bez zwracania uwagi na wyznanie proszącego o pomoc. Zdecydowana większość tych, którzy co tydzień ustawiają się pod Caritas po darmową żywność, to muzułmanie.

Kościół na Poblenou przygarnął nie tylko polską Matkę Boską. Tam też przez lata przechowywany był krzyż adorowany przez legionistów – żołnierzy służących w Afryce – Chrystus Dobrej Śmierci. Odkąd powstała parafia, przychodzą do niej modlić się Romowie. Dlatego w kościele, obok konfesjonału, wisi obraz przedstawiający Ceferina Giménez Malla – męczennika i patrona Romów.

Po niedzielnej mszy w kaplicy spotyka się grupka Polaków, mała wspólnota, która się wzajemnie wspiera. Należą do niej osoby potrzebujące pomocy, zagubione, mające za sobą ciężkie przeżycia, bezdomne. „Jesteśmy wspólnotą połamanych” – nazywa grupę Wioletta Piotrowska należąca do Franciszkańskiego Zakonu Świeckich, która opiekuje się polską kaplicą. To ona przywiozła z Olsztyna portret siostry Faustyny. A potem relikwie polskiej błogosławionej Anieli Salawy, przechowywane nieopodal Barcelony, w Granollers, w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej z Montserrat i świętego Antoniego z Padwy. W tym samym kościele są przechowywane relikwie św. Maksymiliana Marii Kolbego i błogosławionych Michała Tomaszka i Zbigniewa Strzałkowskiego – franciszkańskich misjonarzy zamordowanych w Peru przez „Świetlisty Szlak” (Sendero Luminoso) – organizację będącą oficjalnie peruwiańską partią komunistyczną, która od lat stosuje przemoc. Unia Europejska uważa „Świetlisty Szlak” za organizację terrorystyczną.

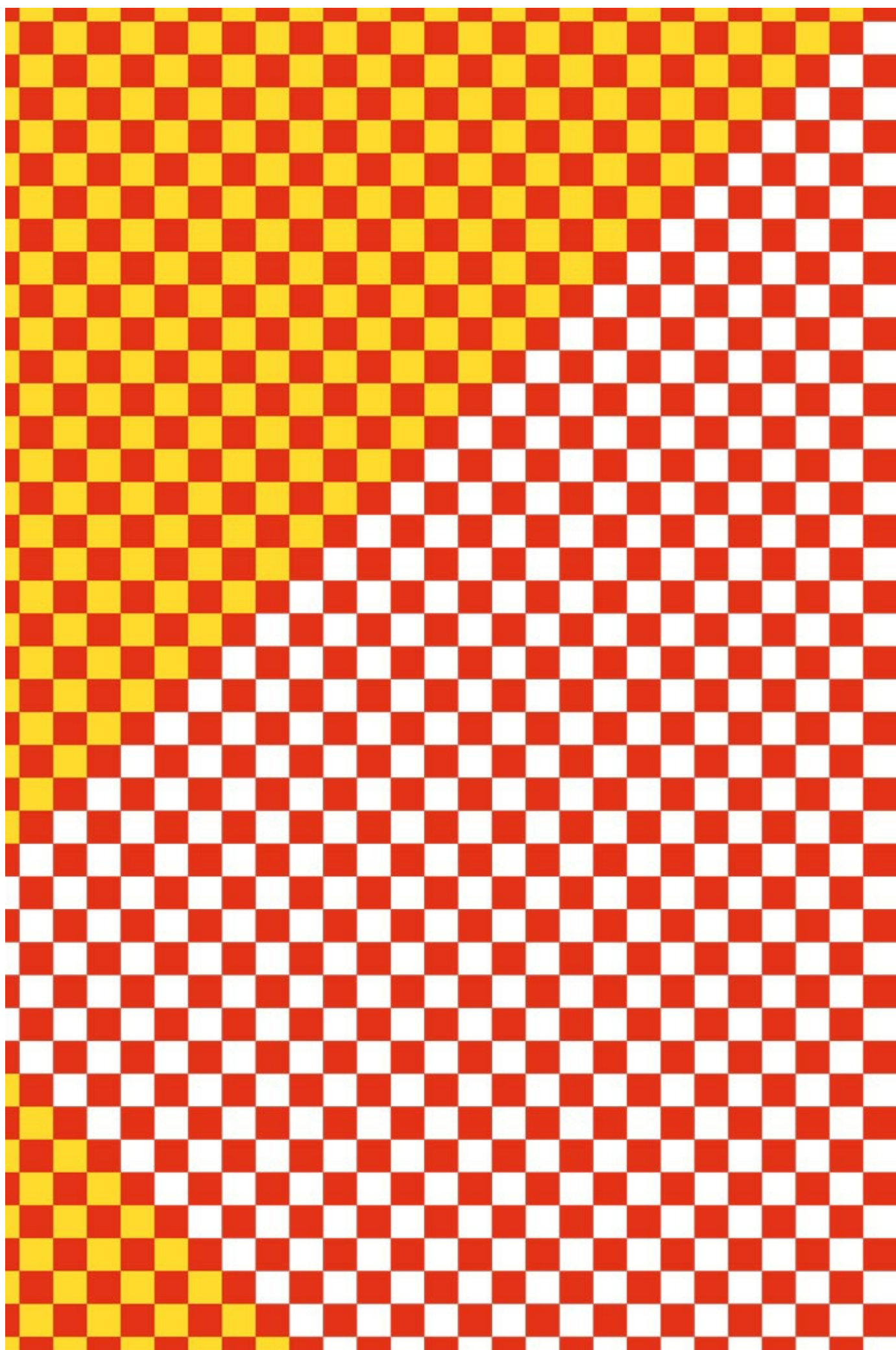
„Ta kaplica otworzyła nasze serca. Cały tydzień czekamy, żeby w niedzielę spotkać się i porozmawiać” – mówi Wioletta. W niedziele, po polskiej mszy w kościele San Jaume, przy ulicy Ferran, Wioletta często przyprawia Polaków do kaplicy. Latem do Barcelony przyjeżdża polski ksiądz z Niemiec z dziećmi na oazę i odwiedzają kaplicę. Kiedyś mieszkali na terenie parafii. Odkąd jest stołówka, zrobiło się ciasno. Ale przychodzą tam się modlić.

Dzięki Wioletcie od kilku lat pielgrzymki polskich rodzin wyruszają z Barcelony do sanktuarium maryjnego w Torreciudad powstałego z inicjatywy Josemarii Escrivy de Balaguer, założyciela Opus Dei, którego w 2002 roku Jan Paweł II ogłosił świętym. Podobnie jak kaplica, w której wisi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, sanktuarium także powstało wyłącznie z datków wiernych. Znajduje się w Aragonii, nieopodal Huesca, i dzieli je taka sama odległość od Barcelony, jak i Pampeluny, Tuluzy oraz Lourdes. Pierwszą odprawioną w nim liturgią była msza żałobna Josemarii Escrivy, który zmarł kilka dni przed uroczystym otwarciem sanktuarium.

Bonaventura wierzył, że Matka Boska Częstochowska opiekuje się nim każdego dnia. Jej podobizna zdobi tablicę nagrobną barcelończyka, w jego mieszkaniu – salon i sypialnię. W

polskiej kaplicy o jego hojności przypomina tabliczka, którą poświęcono i powieszono w 2015 roku.





GROCH Z KAPUSTĄ

Nie pytajmy Katalończyka, czy smakuje mu polska kuchnia. Powie, że smakuje. Skłamię. A potem, kiedy będziemy chcieli go ugościć po polsku, zje i będzie cierpiał. Dla mieszkańców Barcelony większość naszych narodowych potraw jest nie do przełknięcia. „Sfermentowane ogórki, sfermentowana kapusta, bbbrrrrrrrrrr... Jak wy to możecie jeść?” Przykładów jest więcej, weźmy karpia – królewską rybę. Dla Katalończyka jest to danie nie do zjedzenia, bo karpia się nie spożywa. Jak większości słodkowodnych ryb. Nie można kupić ich w sklepach, czasem sprzedają pstrągi, ale rzadko, bo kto zjada ryby, które nie żyły w słonej wodzie? Z pogardą patrzą nawet na węgorza. W delcie Ebro popularną potrawą jest *chapadillo* – suszony węgorz. Rzadko decydują się na niego barcelończycy, zwykle – tubylcy i turyści.

Śledź, mimo że z morza, też nie należy do ich ulubionych potraw. Chociaż jedzą *arangada* – rodzaj sałatki z wysuszonych w soli śledzi, wymieszanych z fasolą, cebulą i pomidorem, bardzo słonej. Jednak coraz częściej, z myślą o przybyszach z Europy Centralnej i Wschodniej, w sklepach sprzedają śledzie w occie.

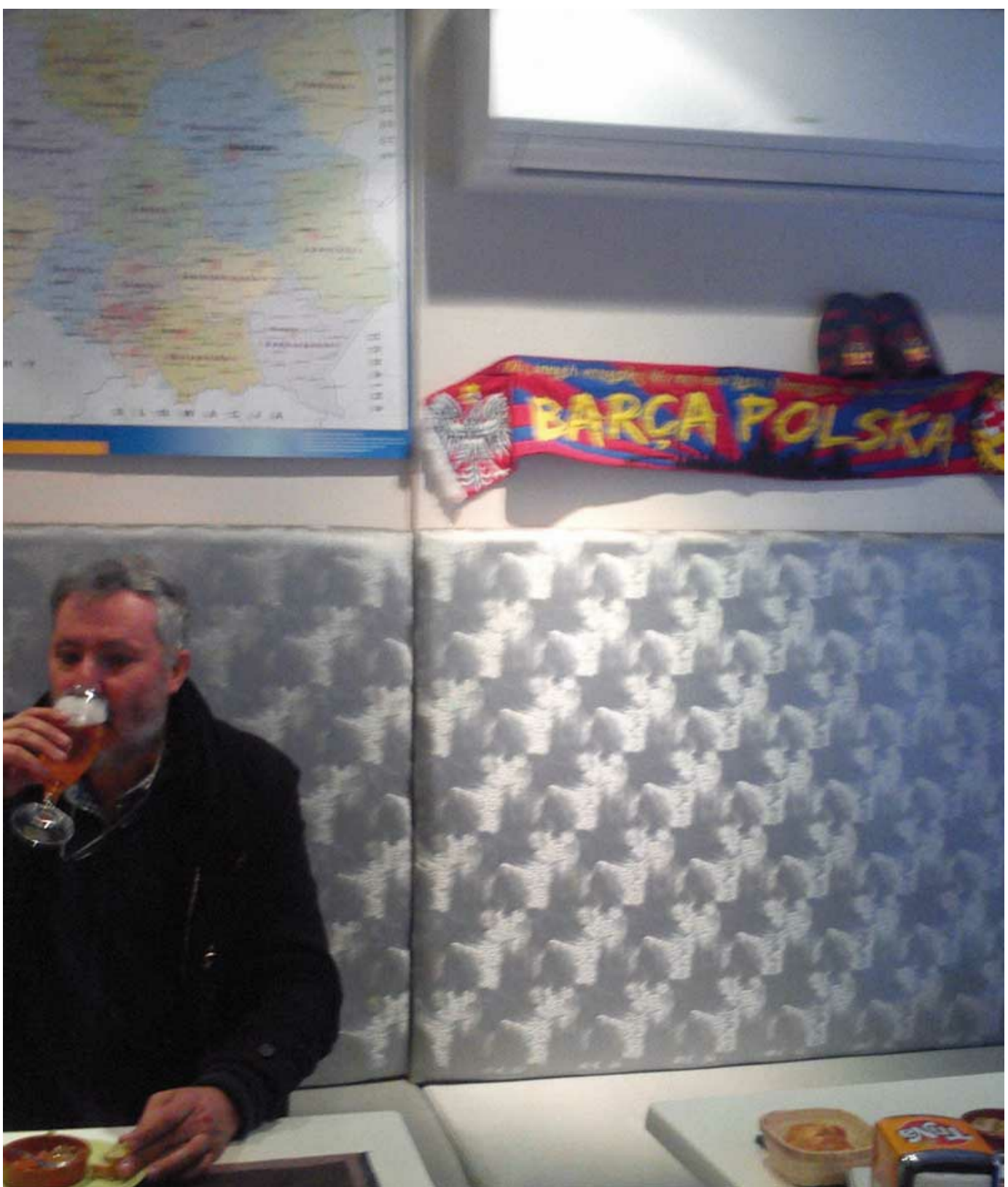
Stęsknieni za wędzonką niech nie dadzą się zwieść barcelońskim barom oferującym kielbasę krakowską *Botifarra de Cracòvia* albo *Salsitxa de Cracòvia*. Porcja kosztuje średnio pięć euro. Kielbasa jest podawana wyłącznie na gorąco – sama albo w towarzystwie fasoli i pieczonej papryki. Zawiedzie się ten, kto liczy, że pod nos wjedzie mu kawałek usmażonej, pachnącej, znanej z Polski krakowskiej. Dostanie raczej coś w rodzaju wymieszanej z papryką i czosnkiem polskiej metki. *Botifarra* jest w Katalonii kielbasą wyrabianą z mielonego surowego mięsa, którą w domu można upiec albo usmażyć. Wyjęta z flaka i wymieszana z jajkiem, tartą bułką i pietruszką dodawana jest do rosołu. A *botifarra* z rodzynkami i czosnkiem to nadzienie do kurczaka. W podawanych w barach daniach polska jest tylko nazwa.

Polska tradycyjna krakowska nie cieszyłaby się powodzeniem, bo Katalończycy nie jedzą wędzonej wędliny. A ci, którzy jej spróbują, zwykle kręcą nosem. Przeszkadza im ostry zapach. Zapominają, że *chorizo* – najbardziej typowa hiszpańska kielbasa – śmierdzi nie mniej, i to z daleka. Dlatego właśnie jest synonimem słowa „złodziej”. Zgodnie z tradycją surowe kielbasy suszą się tygodniami, a przy okazji pokrywają białym osadem, w pełni jadalnym, jak na serkach camembert. Jednak do ich zapachu trzeba się przyzwyczaić. I po zapachu można też do nich trafić. W sklepach nie muszą wieszać nad działem mięsnym wywieszki z napisem „Wędliny” – prowadzi do niego nos.

Albo na przykład buraki. Katalończycy zupełnie nie mają pomysłu, co można z nimi robić w kuchni. Najchętniej nic. „Mamy słońce, pomidory, paprykę, nie jesteśmy dżdżownicami, nie potrzebujemy jeść warzyw, które wyrosły pod ziemią” – twierdzą. W

sklepach można kupić buraki w słoikach, w occie albo gotowane i pakowane próżniowo. Prawdopodobnie jest to jeden z najbardziej deficytowych produktów katalońskiej branży spożywczej, bo wyjątkowo rzadko trafia do koszyka Katalończyków.

Na szczęście buraki jedzą Marokańczycy, a wielu z nich prowadzi dobrze zaopatrzone i tanie sklepy warzywne. Tam sprzedają je surowe, w pęczkach. W marokańskich sklepach można też kupić oferowane w półlitrowych torebkach sfermentowane mleko, idealne na chłódnik. A nawet koper, całkowicie zdegradowany w katalońskiej kuchni. Marokańczycy sprzedają go za pół ceny. Zawsze jednak przy płaceniu, patrząc z niedowierzaniem, zadają to samo pytanie: „Do czego ty tego używasz?”.



- Polka BarCelona – bar w dzielnicy Les Corts. Klient baru, Ignacio Mata Mata, jedzący śledzia i popijający piwem.

Czasem w barach można znaleźć danie o dziwnie brzmiącej nazwie: kapusta z niespodzianką (*col con sorpresa*) albo kapusta zawijana (*rollos de col*), i nie zawsze przyrządzają ją Polacy, czasem są to Rumuni, ale w obu wypadkach chodzi o to samo: gołąbki z mięsem. Musiano jednak nadać im inną nazwę, bo w Hiszpanii *palomitas* (gołąbki) to prażona kukurydza, którą sprzedają w kinach. W hiszpańskich supermarketach kupić można *chucrut* – czyli kiszoną, a raczej kwaszoną kapustę. Teraz nauczyli się ją robić nawet Hiszpanie, ale kupują najczęściej obcokrajowcy. O dziwo, Katalończykom smakuje

prawdziwy polski bigos. Najpierw jednak trzeba złożyć przysięgę, że dodano do niego grzyby spełniające normy europejskie.

Uwielbiają za to chleb z pomidorem – *pa amb tomàquet*. Nie jedzą go jednak tak jak my, lecz w chleb – zwykle opieczony – wcierają pomidor, czosnek i polewają oliwą. Takie kanapki serwuje codziennie od rana do wieczora jeden z najbardziej obleganych barów barcelońskiej L'illa (Wyspy) – centrum handlowego w bogatej dzielnicy miasta. Łatwo go rozpoznać, bo zawsze panuje tam tłok. Być może jego właściciel powinien serwować je też na polską modłę. Podane przeze mnie przed laty kanapki z krojonym pomidorem wywołały sensację. Gdyby istniały wtedy sieci społecznościowe, to prawdopodobnie stałyby się *trending topic* – bo zamiast jeść, goście robili im zdjęcia. Ku uciesze Polaków, Katalończycy uważają, że czerwone pomidory są przejrzałe i nie nadają się do jedzenia na surowo, tylko do smażenia i gotowania. Do sałat dodają zatem pomidory zielone i bez smaku. A te czerwone – dla nas najsmaczniejsze – są w sklepach najtańsze.

Latem robią z nich „zupę ze śmigła”, *gazpacho*, którą można zjeść w wielu polskich restauracjach. Miksują surowe pomidory, cebulę, ogórki, czosnek i paprykę, dodają oliwy, octu i suchego chleba, a obok podają na talerzu drobno pokrojone wszystkie składniki, na które mówią *tropezones* (przeszkody). Jest to zupa najbliższa naszemu chłodnikowi. I to podobno pod wpływem polskiej kuchni powstało *gazpacho* z buraków, które w dodatku jest dekorowane gęstym jogurtem. Na upartego można dopatrzeć się podobieństwa do polskiego barszczu.

W barcelońskich sklepach coraz częściej na półkach stoją polskie produkty. Sieć sklepów spożywczych nadzorowana przez spółdzielnie rolne od dawna sprzedaje polskie herbatniki. Ostatnio powodzeniem cieszą się owsiane, produkowane w krakowskiej firmie: smaczne, ładnie zapakowane i tanie. Zdarza się dostać polską czekoladę, a w supermarketach niemal zawsze można kupić polskie piwo. Często można też znaleźć ogórki konserwowe *Al estilo polaco* (w polskim stylu) – ale czytając etykietkę, odkryjemy, że choć smakują jak polskie korniszony, zostały wyprodukowane w Niemczech.

Od dawna triumfy święci wódka Belvedere. Jeden z najbardziej znanych barcelońskich barmanów w wywiadzie telewizyjnym zapewniał, że jest ona najlepsza do koktajli. Wódkę z Żyrardowa pił też w filmie *Spectre* słynny agent 007. Gdy złamał trwającą dziesięciolecia tradycję i poprosił tym razem nie o martini, tylko o polską wódkę, jej reklamy pojawiły się na okładkach hiszpańskich czasopism.

Belvedere jest też nazwą jednej z najstarszych w Barcelonie *coctelerias*, w której do niedawna specjalnością były wyłącznie koktajle, a teraz można też zjeść obiady. Romantyczne miejsce w centrum miasta, z ogródkiem, a w nim białe metalowe krzesła, cztery stoliki, zieleń pnąca się po ścianach. Tam zasiadali znani literaci, wydawcy, publicyści. Wprawdzie nazwy lokalu nie nadano na cześć polskiej wódki, ale od dawna jest tam serwowana.

Polacy, zwłaszcza przyjezdni, upodobili sobie typowy kataloński bar Brusi. Reklamę

zrobił mu były konsul, Marek Pernal, który opisał go w swoim przewodniku po Barcelonie. Posmakowały mu pikantne flaczki (*callos*) i teraz polskie rodziny z przewodnikiem w ręku przychodzą i proszą o to samo. „Nie wiedziałam, że jest konsulem. Nogi się pode mną ugięły, jak się dowiedziałam. Żeby się inaczej uśmiechał, ale on nie uśmiechał się jak konsul, tylko jak normalny człowiek. Który konsul tak się uśmiecha?” – pytała Montserrat, która od pięćdziesięciu lat gotuje w barze.

Jest smacznie, domowo, a do tego sceneria z lat sześćdziesiątych: typowy metalowy kontuar, na ścianach glazura w kwiatki, w kącie automat do gry (*tragaperras* – połykacz monet) i stoliki niczym ze szkolnej stołówki za Gierka. Wystrój baru jak w lustrze pokazuje mentalność Katalończyków – nie zmieniać, dopóki się nie zawali. A skoro trzyma się dobrze, to od jego otwarcia wymieniane są tylko żarówki.





POLSKI ŚLEDŹ W KATALOŃSKICH USTACH

„Wchodzi Polak do baru i widzi Katalończyka jedzącego śledzia z cebulą i kiszonym ogórkiem” – tak mógłby się zaczynać dobry dowcip. Katalończycy by się z niego śmiali. Dla statystycznego mieszkańca regionu śledź jest gatunkiem „podryby”, a kiszony ogórek, „sfermentowany” – jak to oni mówią – wart jedynie ominięcia i to dużym łukiem.

Jednak jest miejsce w Barcelonie, gdzie Polak może spotkać Katalończyka pochylonego nad śledziem w oliwie, z cebulą i kiszonym ogórkiem. Żeby tego było mało, to nie będzie przy tym popijać wina, tylko polskie piwo. Owym miejscem zmieniającym katalońskie obyczaje jest Polka BarCelona. Bar na Les Corts, w dzielnicy, w której położony jest najczęściej odwiedzany obiekt miasta – stadion FC Barcelony. Na ścianie w barze wisi szalik Barcy i duży telewizor, w którym oglądane są mecze. Na upartego, można by je oglądać na żywo, bo lokal oddziela od Camp Nou niespełna 5 minut spaceru. Odwiedzinom w barze często towarzyszą sportowe emocje. Przy okrzykach zebranych podczas pierwszego meczu Polaków w Mistrzostwach Europy w Piłce Ręcznej odbyła się inauguracja lokalu. Wygraliśmy wtedy jednym punktem 29:28. Monika i Paweł, jego właściciele też uprawiają sport, amatorsko, ale systematycznie. Biegają w maratonach. Pobiegli już w marcowym Zurich Marató w Barcelonie.

Przedtem Paweł mieszkał w centrum Hiszpanii, gdzieś nieopodal Madrytu. Potem wrócił do Polski i zatęsknił za Półwyspem Iberyjskim. Postanowili z Moniką osiedlić się w miejscu, które leży nad Morzem Śródziemnym, jest optymistyczne, kolorowe i pełne turystów. Może i nie założyliby w Barcelonie baru, ale Monika nie mówi po hiszpańsku. Bez znajomości języka miałyby niewielkie szanse na znalezienie pracy. A tak prowadzą go razem. On stoi za barem, a ona gotuje i powoli uczy się nowych słów.

Kiedy Polka BarCelona została otwarta, przychodzili do niej sami Polacy. Potem zaczęli przyprowadzać na obiady i na piwo kolegów z pracy, Katalończyków, obcokrajowców. Potem koledzy – już bez Polaków – przychodzili ze znajomymi i rodzinami. A teraz jest tłoczno. W weekendy trzeba rezerwować stoliki.

Do lokalu zagląдают kibice Barcy. Również kibice goszczących na Camp Nou drużyn. Przed meczami większość klientów to osoby idące na mecz. Częstymi gośćmi są Niemcy i Brytyjczycy, którym bardzo posmakowało polskie piwo. Właściciele pamiętają zdeorientowanego Japończyka, który zajrzał do środka jakby przez pomyłkę, ale zainteresował go trunek, który właśnie podawali. Było nim grzane wino. Japończyk też chciał go spróbować. Wypił i stwierdził, że smaczne. Po grzańcu poprosił o polskie piwo. Też mu smakowało. Na koniec doprawił kilkoma kieliszkami Soplidy. I wtedy w Japończyku obudziła się słowiańska dusza. Przesiedział w barze kilka godzin. Co chwilę zmieniał stolik, ze wszystkimi rozmawiał, a kiedy wychodził, to wyglądał na bardzo

szczęśliwego człowieka.

Z uśmiechem klienci baru wychodzą też w niedzielę, z tak zwanych rodzinnych obiadów. Podawany jest na nich domowy rosół, kotlety, buraczki, a na deser szarlotka. Od otwarcia lokalu Monika i Paweł postanowili prowadzić działalność edukacyjno-pedagogiczną wśród klientów pochodzących z Barcelony i uczyć ich polskich potraw. Zaczęli od pierogów z mięsem albo z kapustą i grzybami. A kiedy pierwsze lody zostały przełamane i rodowici Katalończycy sami się o nie upominali – zaczęli zachęcać ich do spróbowania śledzia. Z tym już nie poszło tak łatwo. Ale twierdzą, że odnoszą pierwsze sukcesy. Coraz częściej rodowici mieszkańcy dzielnicy przychodzą, proszą o piwo, a do niego biorą śledzia w oliwie z cebulą i ogórkiem kiszonym. I zjadają. Często też zamawiają sałatkę z łososia, ale do niej nie trzeba ich przekonywać, bo przepis na nią jest bardzo śródziemnomorski.

Kto wie, może wraz z otwarciem Polki BarCelony w mieście skończył się zły fart, jaki miały wcześniej działające polskie bary i restauracje. Lokal na Les Corts poprzedziły same polskie gastronomiczne falstarty. Właściciel poprzedniego polskiego baru nie popisał się – kupował mrożone pierogi w polskim sklepie, gotował i odgrzewał. Lepiej szło polskiej restauracji przy pasażu Juan de Borbon – najbardziej uczęszczanej ulicy nadmorskiej Barcelonety. Ale mimo że przez cały rok w dzielnicy panuje tłok i nie brakuje turystów, restauracja przestała istnieć.





- Walter Rozitsky, piłkarz polskiego pochodzenia, który zaczął grać w Barçie w 1911 roku.

POLSKI MESSI

Foot-Ball Club Barcelona – tak nazywała się Barça, kiedy w 1911 roku zaczął grać w niej Polak, Walter Rozitsky, pierwszy i jak dotąd jedyny piłkarz polskiego pochodzenia grający w katalońskiej drużynie. Była to tajemnicza postać, o której niewiele wiadomo. Podobno Polak stawiał się w klubie z francuskim paszportem. Nie mógł z polskim, bo Polska wciąż była pod zaborami. Mówiło się, że „przyjechał znad Sekwany”, że jego rodzice wyemigrowali do Francji, że zanim stał się piłkarzem Barçy, grał w Le Havre AC – najstarszym klubie piłkarskim Francji. W katalońskim klubie został trzy sezony.

W Barcelonie do drużyny przyjmował Polaka Hans Gamper, Szwajcar, założyciel Barçy. Założeniem klubu było powstałe kilka lat wcześniej Barcelońskie Stowarzyszenie Futbolu (Societat de Football de Barcelona). Gamper – lekkoatleta, kolarz i piłkarz, zanim przyjechał do Katalonii, był założycielem klubu piłkarskiego Excelsior w Zurychu, potem grał w drużynie FC Bazylea, gdzie był kapitanem i w ciągu czterech sezonów strzelił sto dwadzieścia goli. Z sentymentu Gamper zapożyczył od dawnego klubu bordowo-granatowe koszulki, które piłkarze FC Barcelony noszą do dzisiaj. Barwy te – przypadkowo – są też kolorami Szczecina. Dlatego pod koniec lat dziewięćdziesiątych miasto to zachwyliło jednego z członków zarządu Barçy. Po powrocie z Polski opowiadał, że Szczecin jest idealnym miejscem dla kibica FC Barcelony. „Całe miasto kibicuje Dumie Katalonii. Tam nawet tramwaje pomalowane są w bordowo-granatowe pasy” – powtarzał. Potem – trudno powiedzieć czy z sentymentu, czy wiedziony instynktem biznesmena – zainwestował w szczecińską stocznię.

Kolebką piłki nożnej nie jest w Hiszpanii ani Barcelona, ani Madryt, lecz Riotinto, górnicza wioska w Andaluzji. W drugiej połowie XIX wieku tamtejsze kopalnie rud metali kupiło brytyjskie przedsiębiorstwo Río Tinto Company Limited i zatrudniło własnych pracowników. Kopalnie leżały na uboczu, gdzie nie zbudowano ani stacji kolejowej, ani wygodnych dróg. A do najbliższych miast, Huelvy i Sewilli, było po kilkadziesiąt kilometrów. Jak na owe czasy – szmat drogi. Brytyjscy górnicy z nudów zaczęli grać w piłkę i nieznaną dyscyplinę sportową nauczyli mieszkańców wsi. W 1878 roku w Riotinto powstał Club Inglés (Angielski Klub), w którego skład weszła sekcja futbolu. Istniejący do dzisiaj, obecnie drugoligowy, Recreativo de Huelva, jest spadkobiercą tamtego klubu.

Hans Gamper nie przyjechał jednak do Barcelony, żeby zakładać klub, nawet nie po to, żeby się osiedlić. Chciał tylko odwiedzić wuja w drodze do Afryki, skąd planował importować cukier. Jednak stolica Katalonii urzekła Szwajcara i jeszcze tego samego roku dostał odpowiedzialną posadę księgowego w zajezdni tramwajowej w Sarrià – wtedy było to letniskowe miasteczko przylegające do Barcelony, a dziś jedna z najelegantszych dzielnic miasta. Żeby nie zapomnieć o piłkarskiej przeszłości w Bazylei, Gamper pisał artykuły do dwóch szwajcarskich dzienników sportowych. Nie porzucił też futbolu. Grywał

z mieszkającymi w Barcelonie obcokrajowcami, wysokimi urzędnikami fabryk włókienniczych. W stolicy Katalonii, podobnie jak w Łodzi, był to wtedy najważniejszy przemysł. Grywali na placach, między willami, w sąsiadującej z Sarrià dzielnicy Sant Gervasi de Cassoles.

Szwajcar postanowił zarazić swoją pasją innych. Na jego prośbę tygodnik „Los Deportes” (Sporty) zamieścił ogłoszenie: „Nasz przyjaciel i towarzysz, Mr. Hans Gamper, z sekcji Foot-Vallu należącej do Stowarzyszenia Sportu, były mistrz Szwajcarii, ma życzenie zorganizować w Barcelonie kilka meczów”. Zainteresowani nowym sportem – piłką nożną – mieli się zgłaszać do redakcji gazety. Na spotkanie z Gamperem przyszło jedenastu mężczyzn, wśród nich także Katalończycy, ale przede wszystkim obcokrajowcy, między innymi Wild, Mayer, Parson. Jeden z przybyłych nazywał się Carles Pujol. Tylko jedna litera i prawie sto lat dzieliły go od Carlesa Puyola – wieloletniego kapitana Barcy. A przy tym świetnego obrońcy i kochającego wnuka, który przez wszystkie lata spędzone w drużynie nosił długie włosy, żeby podczas meczów jego niedowidząca babcia mogła z łatwością odróżnić go na ekranie.

Od 1908 roku Gamper był prezesem klubu. Mówił po katalońsku i był nacjonalistą, zmienił nawet imię z Hans na Joan. W 1925 roku kibice wygwizdali hiszpański hymn i rządzący wtedy Primo de Rivera na trzy miesiące zamknął stadion. Gamper musiał wyjechać, potem pozwolono mu wrócić, ale pod warunkiem, że nie będzie miał niczego wspólnego z Barcą. W 1930 roku popełnił samobójstwo; podobno powodem były problemy finansowe. Pośmiertnie przyznano mu legitymację członka klubu z numerem „1”.

Z jego inicjatywy w 1922 roku zbudowano stadion na Les Corts, tak zwany Camp Vell (Stary Stadion), który w latach pięćdziesiątych, czyli u schyłku swojej świetności, zdołał pomieścić sześćdziesiąt tysięcy kibiców. W 1957 roku został zastąpiony przez Camp Nou (Nowy Stadion).

Walter Rozitsky, Polak, syn imigrantów, zaczął grać w Barcelonie dwanaście lat po spotkaniu założycieli klubu. Debiutował 15 października 1911 roku w towarzyskim meczu z University Sport Club, utworzonym przez studentów grających w żółto-niebieskich koszulkach. Spotkanie zakończyło się zwycięstwem Barcy 2:1. „Dobre podania, świetny atak i kapitalny strzał” – napisał po pierwszym meczu o Polaku dziennikarz „El Mundo Deportivo”, sportowej gazety, która wychodzi w Barcelonie do dziś. Rozitsky grał w Barcy na pozycjach pomocnika i obrońcy, rozegrał w sumie pięćdziesiąt pięć meczów i zdobył pięć bramek. Cztery z nich tuż po debiucie, w listopadowym spotkaniu w ramach rozgrywek o Puchar Katalonii. Rywalem ówczesnej Barcy był Català Sport Club, a wyniku tego meczu nie udało się do dzisiaj poprawić. *Blaugrana* wygrała wtedy 17:1. Po zwycięstwie drużyny i wyczynie Polaka komentatorzy sportowi napisali, że Rozitsky jest najlepszym piłkarzem FC Barcelony. Zaraz po nim została zatrudniona inna gwiazda – Filipińczyk Paulino Alcantara. Kibice i komentatorzy szybko przekonali się, że zawodnik – tak jak zapowiadano – ma bardzo silne uderzenie. W pierwszym rozgrywanym przez niego

meczu, strzelając gola, rozerwał siatkę bramki i ogłuszył stojącego za nią zawodnika. Alcantara pobił inny rekord – debiutował w Barcelonie, mając szesnaście lat, czyli o rok mniej niż Messi.



- Pamiątkowe zdjęcie z pobytu czterech z sześciu żyjących polskich piłkarzy, którzy w 1957 roku zagraли z Barcą pierwszy mecz na Camp Nou.

Granie dla Barcy nie było wtedy opłacalnym zajęciem. Zawodnicy zwykle występowali za darmo. Drużyna wciąż nie miał trenera. W tamtych czasach jego rolę pełnił kapitan zespołu. A na mecze musieli nosić ze sobą bramki. Kilka lat później klub zatrudnił Brytyjczyka Barrowa. Pracował jednak krótko, bo miał dwie pasje, których nie da się połączyć: futbol i wódkę. W czasach Rozitsky'ego bilet na mecz kosztował trzydzieści pięć *centimos* (odpowiednik polskich groszy), a miejsce w łoży – dwie pesety. Tyle, ile wynosiła roczna opłata członka klubu, która teraz mieści się w przedziale 40–1000 euro. W 1911 roku – kiedy do zespołu dołączył Polak – składki na rzecz Barcy płaciło ponad pięćset osób – trzysta czterdzieści sześć razy mniej niż teraz, gdy liczba kibiców Barcy na całym świecie szacowana jest na trzysta czterdzieści milionów osób, a ważne mecze ogląda średnio pół miliarda. Milionerami są też zawodnicy. Na początku XX wieku władze klubu nie dzieliły się zyskami z piłkarzami i ci podnieśli bunt. A kiedy karnie zwolniono jego przywódcę, na znak solidarności siedmiu zawodników odeszło razem z nim. Do zwaśnionej i osłabionej Barcy krótko potem trafił Rozitsky.

Aby znów nie doszło do podobnej sytuacji, władze zdecydowały, że będą płaciły

piłkarzom symboliczne pensję, średnio trzysta peset miesięcznie, czyli trochę więcej, niż wówczas zarabiali robotnicy. To jednak wystarczyło, by o zawodnikach Barcy przestano mówić, że mają dziury w kieszeniach. Pierwszymi w historii, którzy otrzymywali pensję, byli piłkarze składu, w którym grał Polak.

„Zawodnicy *blaugrany* nareszcie z amatorów stali się zawodowcami” – obwieściła gazeta „Los Deportes”. Dopiero po latach piłkarze zaczęły być rozpieszczani wysokimi zarobkami. Dla porównania, miesięczne wynagrodzenie grającego w latach pięćdziesiątych słynnego Ladislao Kubali było równoważnością stu pięćdziesięciu minimalnych pensji, a honorarium Messiego odpowiada tysiącu pięciuset pensjom. W czasie trzyletniego pobytu Rozitsky’ego w klubie Barça zdobyła tytuł Mistrza Katalonii, Puchar Pirenejów i dwukrotnie wygrała Puchar Króla. W 1913 roku – na krótko przed odejściem Rozitsky’ego z klubu – po raz pierwszy w historii liczba członków przekroczyła tysiąc. Wtedy też Barça po raz pierwszy zmierzyła się u siebie z zawodowym zespołem. Był nim angielski Notts County. Po meczach z Anglikami prasa sportowa z dumą obwieszczała, że barcelończycy są świetną drużyną, bo nie pozwolili na strzelenie sobie więcej niż pięciu bramek w jednym meczu.

Jedną z gazet, która od początku bardzo uważnie śledziła poczynania barcelońskiego klubu, była „La Rambla”. Jej redakcja mieściła się wtedy przy ulicy o tej samej nazwie, kilkadziesiąt metrów od Plaża Catalunya, na wysokości Fontanny Canaletas, miejsca, gdzie kibice FC Barcelony do dzisiaj świętują triumfy. Wiwatujący nie wiedzą, że fontanna jest punktem orientacyjnym. I kiedy Barça rozgrywała mecze wyjazdowe, na ulicy pod redakcją zbierali się kibice, żeby poznać wynik spotkania. Czekali, aż śledzący spotkanie reporterzy przetelegrafują rezultat meczu. Kiedy docierały informacje, dziennikarze wywieszali wyniki na tablicy przed redakcją. Świętowano każde zwycięstwo i mimo że od lat gazety już nie ma, zwyczaj przychodzenia na Ramblę pozostał.

Za czasów Polaka klub miał już własne boisko przy ulicy Industria, która dziś nazywa się Paris. To od tego mieszczącego sześć tysięcy osób i wciąż niepokrytego murawą stadionu na kibiców Barcy mówi się *cules* (w wolnym tłumaczeniu „dupki” – po katalońsku nie brzmi to wcale obraźliwie). Trybuny przylegały do ulicy i podczas ważnych meczów, kiedy brakowało miejsc i panował tłok, kibice siadali na koronie – niezbyt grubym murze okalającym stadion. Przechodnie, spacerujący tamtędy podczas meczów, patrząc z dołu, nie widzieli kibiców, tylko ich rozpląszczone pośladki.

„Kolos Rozitsky” – jak go nazywano – był jedną z pierwszych gwiazd klubu FC Barcelona, ale też piątym w historii piłkarzem, który porzucił Barcę dla Realu Madryt. Wówczas konsekwencją takiej decyzji nie było jeszcze – jak w przypadku Luisa Figo – wrzucanie na murawę podczas gry świńskich głów. Jednak komentatorzy barcelońskiej prasy sportowej już wtedy narzekali, że piłkarze przechodzą do stolicy, a sędziowie faworyzują Real.

Podobno Rozitsky zdecydował się na zmianę barw, bo w Katalonii nie grał w ważnych

turniejach. Do 1928 roku w Hiszpanii nie istniały rozgrywki ligowe, a prawo zabraniało Polakowi gry w Pucharze Katalonii (Copa de Catalunya). Zgodnie z przepisami w meczach o najważniejsze trofeum regionu nie mogli grać obcokrajowcy. Teraz stanowią oni ponad połowę składu drużyny. A z pierwszoligowych klubów tylko w Athletic Bilbao grają wyłącznie baskijscy piłkarze. W Kraju Basków urodził się nawet zdolny czarnoskóry Iñaki Williams. Teoretycznie Polak nie powinien też brać udziału w innym ważnym turnieju – Pucharze Pirenejów. Warunkiem uczestniczenia w nim było zamieszkiwanie na Półwyspie Iberyjskim co najmniej od dwóch lat. Tylko raz zwolniono piłkarza z tego wymogu i graczem tym był właśnie Walter Rozitsky. W pięcioletniej historii Pucharu Pirenejów trofeum zawsze zdobywała drużyna z Barcelony – cztery razy Barça i raz FC España de Barcelona – poprzedniczka klubu Español.

Kiedy wybuchła I wojna światowa, Rozitsky zniknął bez śladu. Jedni twierdzą, że poszedł walczyć za Polskę, inni – że założył niemiecki mundur. Niektórzy utrzymują, że był Węgrem, Niemcem albo że wywodził się z terenów będących pod pruskim zaborem, że poszedł na wojnę, że zginął, że przeżył... Istnieją też podejrzenia, że wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Niejakiego Walthera Rokiskiego znaleziono na liście amerykańskich żołnierzy poległych w czasie II wojny światowej. Może to on. Jedno jest pewne – do hiszpańskich klubów piłkarskich już nie wrócił.

Wątpliwości dotyczących jego pochodzenia nie mają jedynie kluby, w barwach których występował. Na tablicy pamiątkowej Muzeum Camp Nou – najczęściej odwiedzanego muzeum w mieście – Rozitsky widnieje jako Polak. Podobnie jak w Muzeum Realu Madryt. Tam też jego zdjęcie opatrzone biało-czerwoną flagą wisi na honorowym miejscu – obok Santiago Bernabeu – gracza, trenera, a potem wieloletniego prezesa madryckiego klubu, osoby, której imieniem „królewscy” nazwali swój stadion. Prawdopodobnie pożegnalny mecz w Hiszpanii polski piłkarz rozegrał 3 maja 1914 roku z Españolem. Jednak nie w barwach Realu, lecz University S.C. – zespołu, z którym trzy lata wcześniej, jako piłkarz Barçy, zagrał debiutancki mecz.





• Wejście na stadion Barcy przy dawnej ulicy Industria, 1909 r.

WIĘCEJ NIŻ KLUB

Henryk Szymborski i Władysław Sporek. Pisarze? Podróżnicy? Dyplomaci? Nie – piłkarze, ale niewielu ich pamięta, choć nazwiska te powinny być wypisane wielkimi literami na kilku stadionach: barcelońskim, warszawskim i śląskim. Ślązacy Henryk Szymborski i Władysław Sporek są bowiem pierwszymi na świecie zagranicznymi piłkarzami, którzy strzelili słynnej Barście gole na Camp Nou. Wydarzyło się to 24 września 1957 roku w dwunastej i pięćdziesiątej dziewiątej minucie meczu inauguracyjnego Camp Nou (Nowy Stadion). Uroczyste otwarcie obiektu odbyło się w środku tygodnia, we wtorek, w czasie obchodów święta La Mercè, Matki Boskiej Miłosierdzia, patronki Barcelony – największego święta miasta. W 1957 roku w Polsce rozpoczynała się postalinowska odwilż, w Hiszpanii wciąż trwała frankistowska dyktatura. Ale mimo żelaznych kurtyn i ceglanych murów, jakie nas wtedy oddzielały, FC Barcelona zdecydowała się zaprosić polską drużynę, by to ona właśnie otworzyła z Barcą największy w Europie i jeden z największych stadionów świata. Nowo zbudowany Camp Nou miał wtedy sto tysięcy miejsc, z czego czterdzieści tysięcy siedzących.

Owym zaproszonym gościem miała być Legia Warszawa, „wojskowy zespół”, jak ją nazywano wtedy w Barcelonie, i to do niej władze klubu wystosowały oficjalne imienne zaproszenie. Ona też w kronikach i relacjach sportowych jest najczęściej wymieniana jako zagraniczna drużyna, która pierwsza zdeptała na Camp Nou nowo położoną murawę. Jednak to nie legionieści wyszli na boisko. Przedstawiciele Polskiego Związku Piłki Nożnej zdecydowali, że na tak ważny mecz nie może pojechać żadna lokalna drużyna, tylko reprezentacja Polski.

Przedstawiciele PZPN chcieli też, żeby Polacy wykorzystali okazję i sprawdzili siły przed planowanym miesiąc później na Stadionie Śląskim w Chorzowie rewanżowym meczem z ZSRR, rozgrywanym w ramach eliminacyjnych spotkań do Mistrzostw Świata. Poprzedni, w Moskwie, nasi reprezentanci przegrali 0:3. Pomysł się sprawdził, bo na Śląsku, przy stutysięcznej widowni, reprezentacja Związku Radzieckiego została przez gospodarzy pokonana. Dwa gole strzelił Gerard Cieślik, któremu Rosjanie w czasie II wojny zamordowali ojca. Pamiątką po tamtym meczu było pięćdziesiąt tysięcy butelek po wódce zostawionych na chorzowskim stadionie. Władze barcelońskiego klubu wiedziały, kto zagra z Barcą, ale w mieście wydrukowano już plakaty, które informowały, że rywalem gospodarzy będzie Legia Warszawa – mistrz Polski.

Mecz rozpoczął się punktualnie o 16.30 i zakończył wynikiem 4:2 dla Barcelony. Polacy wyszli na boisko w beżowych szortach i żółtych koszulkach z orłem na piersi. Pierwszą bramkę w jedenastej minucie spotkania zdobyli gospodarze. Mimo że w meczu grał słynny Ladislao Kubala, stojącemu na bramce Edwardowi Szymkowiakowi gola strzelił nie on, lecz Eulogio Martínez – bardzo zdolny piłkarz z Paragwaju, któremu przepowiadano

wielką przyszłość. Grał w Barcelonie przez siedem sezonów. Martínez przeszedł do historii klubu nie tylko jako ten, który zdobył pierwszego gola na Camp Nou, ale też jako zawodnik, który w ciągu zaledwie szesnastu minut strzelił Realowi Madryt trzy bramki. Nastąpiło to w tym samym roku, co inauguracja stadionu, w ćwierćfinałowym meczu o Puchar Generalissimo, czyli dyktatora Franco. Nie było jeszcze rozgrywek o Puchar Króla, bo nie było króla – dopiero za osiemnaście lat Juan Carlos de Borbón zostanie hiszpańskim władcą. Rekord Paragwajczyka dopiero po pięćdziesięciu latach wyrównał Robert Lewandowski. Grający w barwach Borussi Dortmund polski napastnik podczas półfinałowego meczu Ligi Mistrzów też strzelił Realowi trzy bramki w siedemnaście minut.

W meczu inauguracyjnym Camp Nou do historii przeszedł Martínez – zdobywca pierwszej bramki, ale też Henryk Szymborski, polski napastnik, który minutę później wyrównał wynik i stał się pierwszym zawodnikiem, który strzelił gola barcelońskiej drużynie na jej nowym stadionie. W ostatniej minucie pierwszej połowy bramkę zdobyli gospodarze. Po przerwie, podczas której w niebo poszybowało dziesięć tysięcy gołębi, setki balonów i na środku murawy Camp Nou odtąńczono sardanę, do ataku ruszyły oba zespoły. W czternastej minucie drugiej połowy wyrównującego gola zdobył Władysław Sporek. Gospodarze dalej atakowali, a gościom zaczęło brakować siły. Barça zmieniała co kilka minut zawodników, Polacy nie mogli, bo na ich ławce rezerwowych siedziało tylko dwóch piłkarzy. Do Barcelony przyleciało bowiem tylko trzynastu zawodników. Zanim sędzia odgwizdał koniec spotkania – skończono przed czasem, bo było już za ciemno, żeby grać, a nad stadionem nie wisiały jeszcze reflektory – Barça zdobyła dwie kolejne bramki. Jeszcze jedną strzelili Polacy, ale sędzia jej nie uznał, stwierdzając, że polski napastnik był na spalonym. „Wątpliwa decyzja arbitra” – napisał po meczu barceloński komentator. Po latach ówczesny trener FC Barcelony, Domènec Balmanya, przyznał, że przed meczem ustalono z polskimi piłkarzami, że pierwszego gola na Camp Nou strzela Katalończycy.



• Piłkarze FC Barcelona ok. 1903 r.

„Zasłużony triumf niebiesko-bordowych w inauguracyjnym meczu mistrzów Polski i Hiszpanii” – głosił następnego dnia największy kataloński dziennik, „La Vanguardia”. „Po tylu latach nieobecności polskich drużyn na hiszpańskich stadionach byliśmy ciekawi, jak radzą sobie z piłką tamtejsi zawodnicy. Gra zespołu gości nikogo nie zawiodła. Dobre wycucie piłki, zgrana obrona i dobrze zaplanowany atak. Tak charakterystyczny dla środkowoeuropejskiego futbolu” – napisał komentator gazety. Nie wiedział, że Barça – ówczesny zwycięzca ligi – nie grała z pierwszą w polskiej tabeli Legią Warszawa. Do tego dyskretnie pominął w artykule sformułowanie „Europa Wschodnia”, którego bardzo wtedy obawiali się Hiszpanie. Wystarczyło zajrzeć do gazet, aby się o tym przekonać. Na innej stronie tego samego numeru dziennika „La Vanguardia”, w którym tak chwalono grę polskiej drużyny, uspokajano, że „USA ma wystarczająco dużo broni, aby zniszczyć Rosję”.

Obok relacji z meczu gazeta opublikowała wtedy wywiad z trenerem polskiej reprezentacji, pułkownikiem Henrykiem Reymanem, żołnierzem obu wojen światowych, wojny polsko-bolszewickiej i powstań śląskich, a w okresie międzywojennym piłkarzem secesyjnej Wisły Kraków. Również pierwszym w Polsce zawodnikiem, który strzelił pięć bramek w jednym meczu. W wywiadzie Reyman wyjaśniał, że do Barcelony przyjechała prawie cała reprezentacja, że w Polsce nie ma zawodowej piłki nożnej, nie występują – tak jak przed II wojną światową – zagraniczne gwiazdy, choć prawo tego nie zabrania, że w drużynie Legii Warszawa razem z żołnierzami grają urzędnicy, a nawet garnizonowi bibliotekarze. Miesiąc później pułkownik Henryk Reyman zagrzewał swoich piłkarzy

przed słynnym meczem w Chorzowie opowiadania o wojnie polsko-bolszewickiej i o Cudzie nad Wisłą. Wrześniowa przegrana na Camp Nou nie została uznana przez Polaków za wielką porażkę. Większość polskich zawodników po raz pierwszy miała kontakt z zawodową piłką nożną i wynik reprezentacji uznano za sukces. A październikowe zwycięstwo polskiej drużyny w Chorzowie nad ZSRR znaczyło o wiele więcej niż kolejna wygrana.

Podobnie jak od lat Camp Nou znaczy więcej niż tylko stadion. *Més que un club* (Więcej niż klub) – taka maksyma widnieje na jego trybunach. Sformułowania tego użył jako pierwszy pod koniec lat sześćdziesiątych ówczesny prezes klubu FC Barcelona. Potem pewien ekonomista, Agustín Montal, startujący w kampanii wyborczej do władz klubu posłużył się nim jako swym sloganem. „Barça jest więcej niż klubem piłkarskim, więcej niż miejscem, gdzie przychodzimy w niedzielę, by popatrzeć, jak grają drużyny. Bardziej niż to wszystko Barça jest uczuciem, które w sobie nosimy, i kolorami, które kochamy” – powiedział w 1968 roku. A na dodatek, przemawiając, wymieszał słowa hiszpańskie z katalońskimi, co w czasach generała Franco nie było dobrze widziane. Montal wygrał i przez prawie osiem lat rządził klubem.

Na nowo otwartym Camp Nou przed meczami rozdawano nawołujące do strajków ulotki. Potem, już po śmierci generała Franco, tam właśnie odbył się pierwszy niepodległościowy koncert Katalończyków, tam też papież Jan Paweł II odprawił mszę podczas swej jedynej pielgrzymki do Katalonii. Mimo oburzenia UEFA i centralnego rządu na Camp Nou nadal wygwizdywany jest hiszpański hymn.

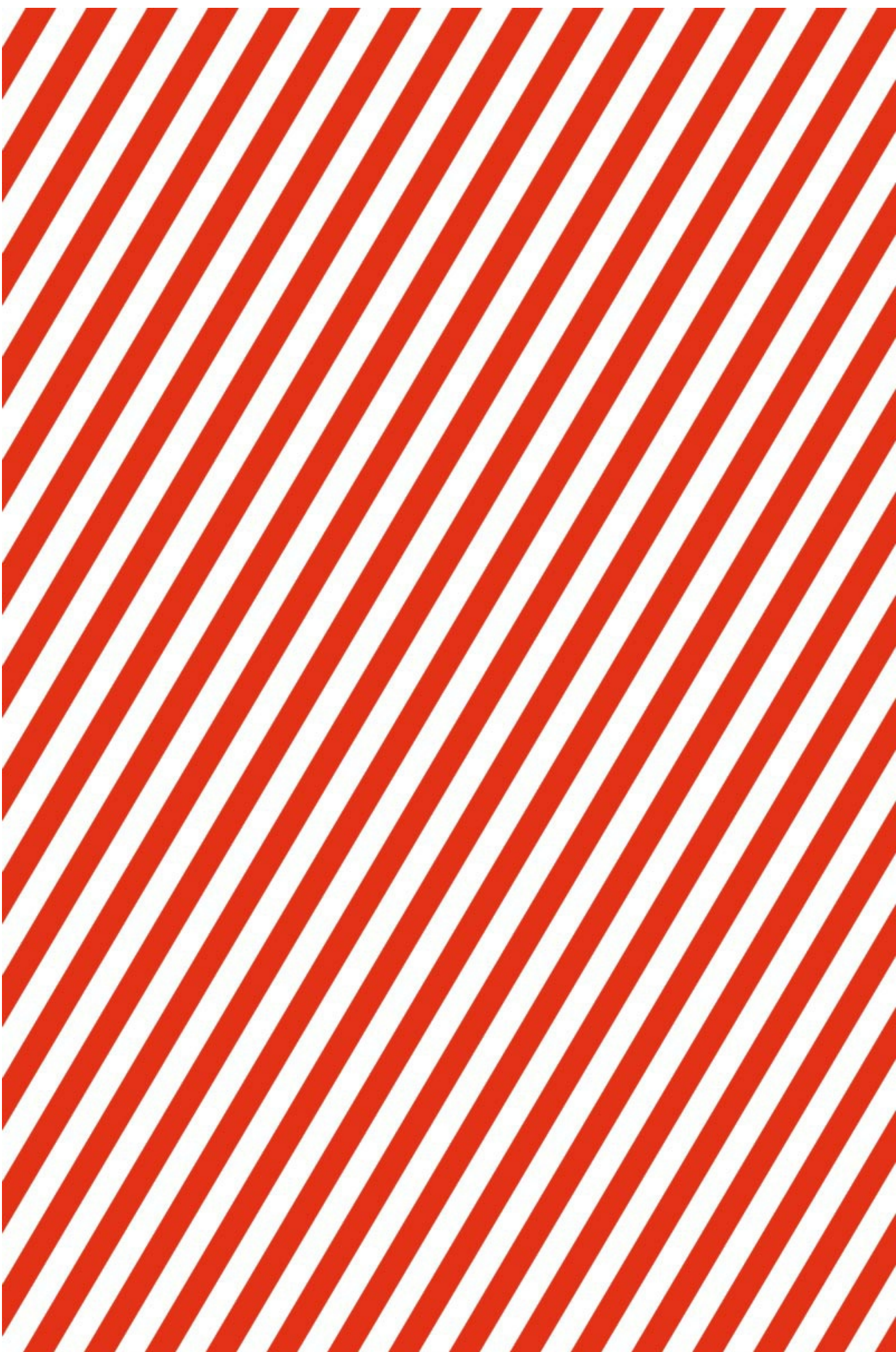
Niechęci do Barcy nie ukrywał sam dyktator. Na jego rozkaz w 1936 roku rozstrzelano ówczesnego prezesa klubu FC Barcelona, Josepa Sunyola. Potem Franco nie pozwolił, aby w barcelońskich barwach występował słynny Alfredo Di Stefano. A na koniec nie zgodził się, by nowy stadion Camp Nou nazwać imieniem Joana Gampera. Obcokrajowiec, protestant, kataloński niepodległościowiec – nawet imię zmienił, a na dodatek samobójca – to nie mieściło się w obyczajowości reżimu. Niewykluczone, że już wkrótce stadion Camp Nou będzie nosił imię zmarłego niedawno Holendra Johana Cruyffa, niegdyś wybitnego piłkarza Barcy, a następnie jej trenera, który zmienił sposób gry i filozofię drużyny.

Camp Nou powstał szybko, w ciągu osiemnastu miesięcy, ale potem przez długie lata przyprawiał kolejnych kierujących klubem o ból głowy. Budowa stadionu miała kosztować niespełna siedemdziesiąt milionów peset, a kosztowała cztery razy więcej. W przeliczeniu to niespełna dwa miliony euro, w latach pięćdziesiątych – prawdziwa fortuna. Podobno część z tych pieniędzy rozeszła się w niewiadomy sposób. Podobno też podczas budowy często dochodziło do wypadków, nawet śmiertelnych, bo pracujący na cztery zmiany robotnicy nie mieli zapewnionych podstawowych środków bezpieczeństwa. Jednak reżim zatuszował te wydarzenia. Podobnie jak wtedy w Polsce, również w Hiszpanii obowiązywała narzucona przez dyktaturę propaganda sukcesu. A w „NO-DO” – odpowiedniku *Polskiej Kroniki Filmowej* – mówiło się wyłącznie o osiągnięciach i

dobrych stronach reżimu.

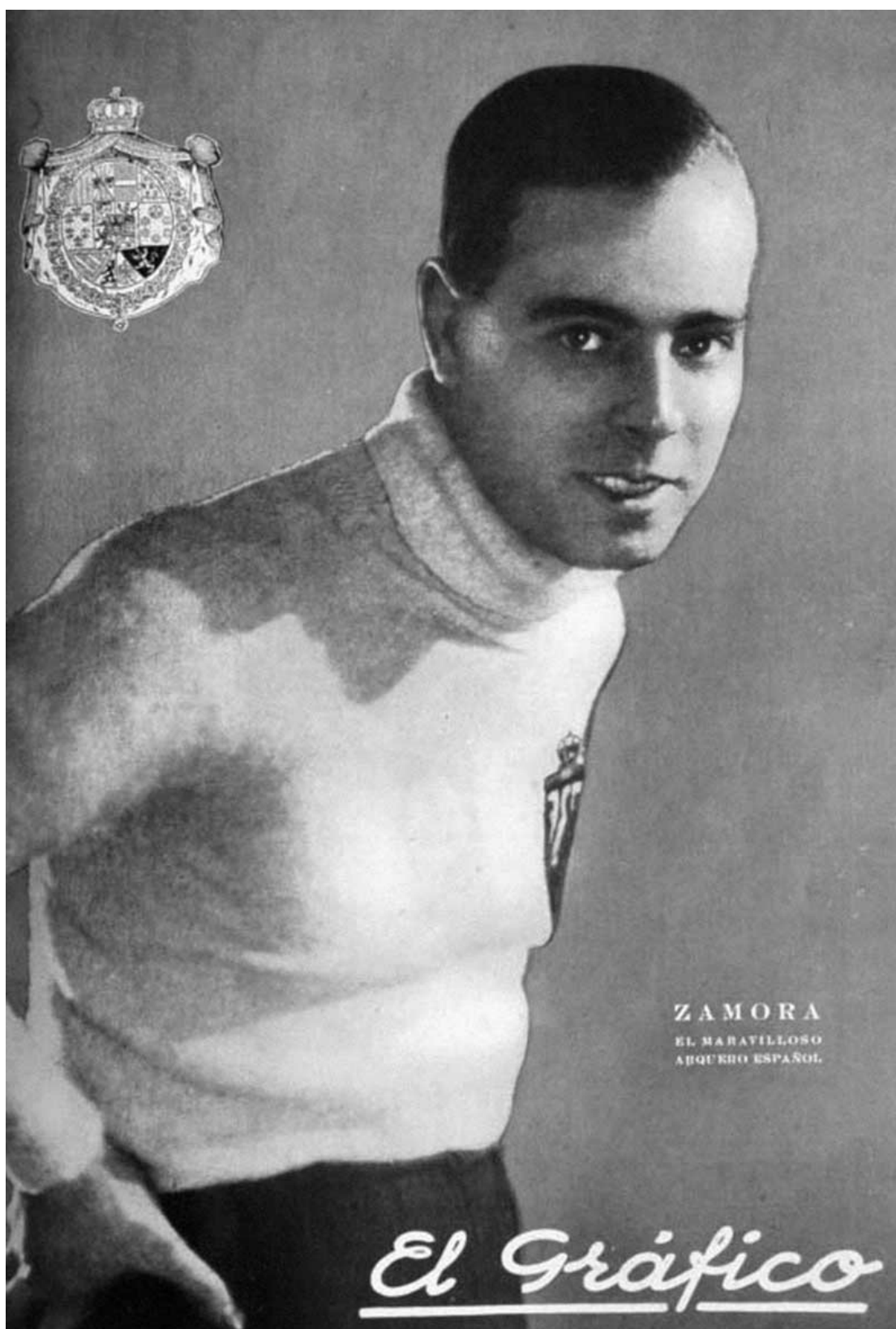
Po pięćdziesięciu latach do barcelońskiego klubu wrócili polscy gracze, którzy występowali w pamiętnym meczu. Z sześciu, którzy żyją, przyjechało czterech. W sentymentalną podróż zabrał ich Fan Club Barça Polska. Na stadionie Camp Nou czekał na nich Justo Tejada, piłkarz, który wtedy w kolorach Barcy mierzył się z nimi na boisku. Piłkarskich weteranów przyjął prezes klubu, mogli wejść na murawę, usiąść na fotelach przeznaczonych podczas meczów dla zawodników, zwiedzili Muzeum FC Barcelona i z trybuny honorowej obejrżeli mecz Barcy z Athletic Bilbao. Nie było wśród nich strzelców goli, ci odeszli wcześniej. Jednak warto zapamiętać ich imiona i nazwiska: Henryk Szymborski i Władysław Sporek.





TĘGI I KLASOWY PRZECIWNIK

Zaproszenie Legii Warszawa na otwarcie stadionu Camp Nou – mimo że to nie ona stawiała się na boisku – można potraktować jako rewanż barcelończyków za polską gościnność sprzed lat. Kataloński akcent miała bowiem inauguracja warszawskiego stadionu Legii – prezentu dla wojskowego klubu piłkarskiego od Marszałka Józefa Piłsudskiego. Stadion nosił zresztą jego imię. W sobotę 9 sierpnia 1930 roku Polska drużyna rozegrała na nim mecz z barcelońskim Club Esportiu Europa. Mecz zakończył się remisem 1:1. Była to pierwsza w dziejach polskiego piłkarstwa rozgrywka z drużyną z Półwyspu Iberyjskiego. Nigdy wcześniej żaden zespół stamtąd nie odwiedził naszego kraju. Władze warszawskiego klubu chciały najpierw zaprosić reprezentację Włochów, ale ci odmówili. Kiedy ogłoszono, że na nowym stadionie przy ulicy Łazienkowskiej zagra „Europa Barcelona”, warszawscy kibice ucieszyli się, że zobaczą piłkarzy klubu FC Barcelona, czyli słynnej Barcy. Wtedy w katalońskiej drużynie grał Ricardo Zamora, uważany za najlepszego bramkarza świata. Nie oni jednak wyszli na boisko, choć zaproszeni goście wcale nie byli dużo gorsi. W latach trzydziestych CE Europa była silnym, pierwszoligowym katalońskim zespołem, który często porównywano do Barcy. Była też jedną z dziesięciu drużyn, które zapoczątkowały rozgrywki hiszpańskiej ligi. Wcześniej, w latach dwudziestych, zdobyła Puchar Króla, a potem Mistrzostwo Katalonii. Klub liczył wówczas sześć tysięcy członków, czyli o wiele więcej niż ówczesna FC Barcelona. Teraz jest trzecioligowym klubem mieszczącym się w Guinardó, jednej z peryferyjnych dzielnic miasta.

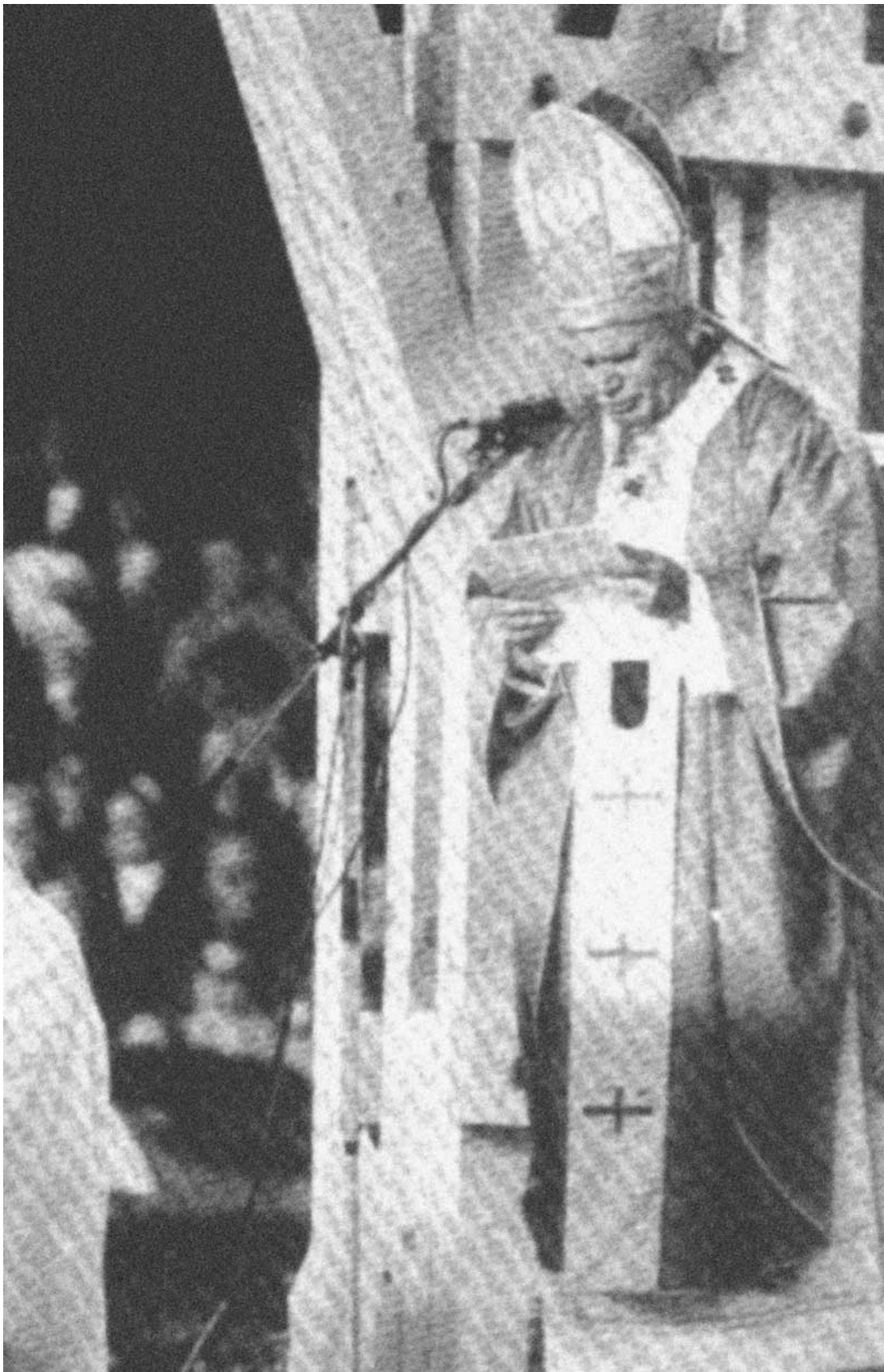


• Ricardo Zamora na okładce argentyńskiego czasopisma „El Gráfico”, 1926 r.

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych zespół ten był na tyle silny i popularny, że zaproszono go na europejskie tournée. Rozgrywany w Warszawie mecz był jego zakończeniem. Do Polski piłkarze przyjechali z Niemiec, wcześniej odwiedzili Danię i Szwecję. Podczas spotkania na nowym stadionie pierwszego gola w dwudziestej drugiej minucie meczu zdobył z rzutu karnego Henryk Martyna, a pod koniec spotkania wynik wyrównał Amadeu Gironés. Był to dla Polaków świetny wynik. Hiszpanie – oprócz

jednego remisu w Danii – wygrali wszystkie pozostałe mecze. W Warszawie jednak w kolejnym popisie gry przeszkodziła im pogoda. Lało i było zimno. W środę 13 sierpnia w „Przeglądzie Sportowym” napisano: „Legia [w oryginale jest Legia] może być z sobotniego meczu bardzo zadowolona. Przeciwnik był naprawdę tęgi i klasowy, a wynik z nim uważać trzeba za duży sukces”.





• Jan Paweł II w czasie mszy na Camp Nou.

JAN PAWEŁ II NA CAMP NOU

Ależ wtedy lało! Od samego rana ściana deszczu. Za ten deszcz oberwało się nawet dyżurnym meteorologom. „Zawiedliście nas” – usłyszeli od przełożonych 7 listopada 1982 roku o świcie. Kiedy papież Jan Paweł II kilka dni wcześniej lądował w Santiago de Compostela, świeciło słońce. Potem towarzyszyło mu przez wszystkie dni. A kiedy miał przylecieć do Katalonii, zaczął lać deszcz.

Papież przez całą pielgrzymkę nocował w Madrycie i podróżował po Hiszpanii wojskowym helikopterem. Miał dolecieć do Montserrat, ale szef barcelońskiego Centrum Meteorologicznego odmawiał wydania zgody na jego lot. Papież musiał zmienić plany i dolecieć samolotem z Saragossy do Barcelony. Żeby nie zawieść pielgrzymów, od świtu czekających na niego pod bazyliką, ruszył dalej autobusem, z pięciogodzinnym opóźnieniem.

Potem, już w Barcelonie, odmówił modlitwę *Anioł Pański* w Sagrada Família. Przybył do świątyni dokładnie sto lat po rozpoczęciu jej budowy. Wtedy cały zespół inżynierów i architektów liczył zaledwie pięć osób. Świątynia Pokutna była w podobnym stanie, w jakim w 1926 roku zostawił ją architekt Antoni Gaudí. Wnętrze, które w czasie wojny domowej było najpierw żołnierską stołówką, a potem stajnią dla koni, zarastało trawą. Powoli wznoszono fasadę Męki Pańskiej. Umieszczone na niej rzeźby projektował Josep Maria Subirachs. Artysta wspominał tamto wydarzenie, kiedy po latach poprosił mnie, żebym sprawdziła, czy na zaprojektowanych przez niego odlanych z brązu wrotach prawidłowo napisano po polsku „Ojciec nasz”. „Jestem agnostykiem, trudno mnie zaskoczyć religijnością, jednak wizyta twojego papieża zrobiła na mnie wrażenie” – przyznał autor najbardziej kontrowersyjnej fasady Sagrada Família. Teraz bazylika jest najczęściej odwiedzanym zabytkiem w Katalonii. Rocznie przybywa tu ponad trzy miliony turystów. Zgodnie z wolą Gaudiego, to z ich pieniędzy i datków kontynuowana jest budowa.

Papież miał też zwiedzić barcelońską katedrę pod wezwaniem świętej Eulalii. Jednak był w świątyni tylko przez chwilę. Modlił się przy grobie świętej, a potem na kilka minut spotkał się z rycerzami, damami i zakonnikami powstałego w średniowieczu, podczas pierwszej wyprawy krzyżowej, Zakonu Rycerskiego Świętego Grobu Bożego w Jerozolimie. Hiszpania i Polska są jednymi z nielicznych krajów, w których zakon ten przetrwał. W Barcelonie miejscem spotkań Bożogrobców jest od XII wieku [1141 rok] położony opodal katedry kościół świętej Anny. W średniowieczu otrzymali też od katalońskich możnych wieś Calatayud. Jednak do zakonów Bożogrobców, Templariuszy i Szpitalników powinna należeć cała Katalonia, Aragonia i północna część włoskiej Sardynii, bowiem zmarły na początku XII wieku król Alfons I Waleczny (władca Aragonii i Nawarry) przepisał w testamencie całe swoje królestwo Bogu, Jezusowi Chrystusowi i

wszystkim świętym. Jego ostatnia wola nie została jednak wypełniona. Nie dopuścili do tego ówcześni możnowładcy.

Najważniejsza podczas pielgrzymki papieskiej miała być msza na Camp Nou. Jednak zanim się rozpoczęła, doszło do spotkania, które zaskoczyło wtedy nawet hiszpański kler. Na wznoszącym się nad miastem wzgórzu Montjuïc Ojciec Święty spotkał się z robotnikami. Zastanawiano się, dlaczego podczas pierwszych w dziejach miasta i zaledwie jednodniowych odwiedzin Jan Paweł II postanowił część swego cennego czasu poświęcić dla „czerwonych”. „Wśród zebranych na Montjuïc mogą być potomkowie tych, których ojcowie i dziadowie palili kościoły i prześladowali duchownych” – ostrzegały wtedy prawicowe stacje radiowe.

Spotkanie jednak odbyło się zgodnie z planem. „Przyjaciele i bracia robotnicy” – zwrócił się do zebranych Karol Wojtyła. W „ewangelii pracy” – jak potem sam nazwał wygłoszoną homilię – opowiadał im o swojej robotniczej przeszłości, mówił o przedsiębiorstwach z ludzką twarzą, apelował o miłość i poszanowanie wykonywanego zajęcia. Zapelował też do pracodawców o tworzenie nowych miejsc pracy. W 1982 roku bezrobocie przekraczało w Hiszpanii piętnaście procent. „Miałem wrażenie, że papież lepiej rozumie naszą sytuację niż związki zawodowe” – przyznał potem jeden z uczestników spotkania. A następnego dnia media obwieściły: „Papież uścisnął robotniczą dłoń”.

Na Camp Nou papieża oczekiwało na trybunach sto dwadzieścia tysięcy osób. Aby ich pomieścić, dobudowano specjalne platformy i wpuszczono więcej osób na koronę stadionu, skąd wtedy jeszcze można było na stojąco oglądać mecze. Dwa lata później stojące miejsca ze względów bezpieczeństwa zostały zakazane przez UEFA. Takiego przywitania, jak dla Jana Pawła II, nie zgotowano na stadionie Barcy nigdy wcześniej ani nigdy później. Nawet we wrześniu owego roku podczas debiutanckiego meczu Diega Maradony w barwach klubu.

Argentyński napastnik podpisał umowę z klubem FC Barcelona dziewięć dni przed rozpoczęciem w Hiszpanii Mundialu. Latem 1982 roku inauguracyjny mecz Mistrzostw Świata odbywał się na Camp Nou i to na tę okazję powiększono stadion, na którym potem tłumy wiwatowały na widok papieża. W tamtych pamiętnych Mistrzostwach Świata natchniona piosenką Bohdana Łazuki polska reprezentacja zajęła trzecie miejsce i wypadła lepiej niż ich organizator. Minął niespełna rok od ogłoszenia w Polsce stanu wojennego i na meczach drużyny Antoniego Piechniczka powiewały flagi Solidarności, które często przynosili popierający Polaków Hiszpanie. A podczas transmisji z meczów ekipie TVP obecności flag nie zawsze udawało się ukryć.

Przez południową bramę wciąż kojarzonego ze złudnymi nadziejami i pogrzebanymi szansami Camp Nou wszedł 7 listopada 1982 roku Jan Paweł II. Na jego cześć murawę przykryto trzema tysiącami metrów kwadratowych bordowo-żółtej wykładziny i obstawiono kwiatami, a obok ołtarza podczas mszy towarzyszył papieżowi dwutysięczny

chór. Ci, którzy uczestniczyli wtedy w mszy, pamiętają, że okrzyki i wiwaty – typowe dla publiczności na trybunach – skończyły się wraz z pierwszymi słowami papieża. Brzmiały one: *La pau sigui amb vosaltres* (Niech pokój będzie z wami). Kiedy zebrani na Camp Nou usłyszeli, że Ojciec Święty zwraca się do nich po katalońsku, na przepełnionym stadionie zapanowała cisza. „Ta cisza była najlepszymi oklaskami” – podsumował wydarzenie dziennik „La Vanguardia”. Do końca liturgii zebrani jeszcze raz usłyszeli papieża mówiącego w ich języku. Żegnając się z wiernymi, Polak powiedział: *Que Deus beneixi. Bona nit a tothom* (Niech Bóg was błogosławi. Dobranoc wszystkim). „Ale ten facet ma klasę!” – wymknęło się wtedy dziennikarzowi komentującemu na żywo mszę w telewizji.

Przed mszą Jan Paweł II został członkiem klubu piłkarskiego FC Barcelona. Miał legitymację członkowską z numerem 108000. Czyli, jeśliby chciał, mógłby – jak każdy posiadacz takiej legitymacji – oglądać mecze Barcy z trybun. Ojciec Święty nigdy jednak z tego przywileju nie skorzystał. Odwiedził stadion Camp Nou tylko raz, dziewiątego dnia pierwszej pielgrzymki, którą odbył do Hiszpanii. Była to zarazem pierwsza w dziejach kraju wizyta namiestnika Kościoła.

Oprócz legitymacji członka klubu, FC Barcelona podarowała papieżowi narzędzia chirurgiczne, które potem zostały wysłane do jednego z krajów Trzeciego Świata. Ówczesny prezes, Josep Lluís Núñez dostał od papieża różaniec, z którym podobno nigdy się nie rozstaje. Za czasów jego rządów w Barcie po każdym większym sukcesie piłkarze składali kwiaty w bazylice na Montserrat.

Papieska podróż odbywała się pod hasłem „Świadek nadziei”, a jej celem było zamknięcie Roku Terezańskiego, obchodzonego w czterechsetną rocznicę śmierci świętej Teresy z Avili. Była też najdłuższą z pięciu podróży Jana Pawła II do Hiszpanii. W ciągu dziewięciu dni papież odwiedził osiemnaście miejsc położonych w jedenastu regionach.

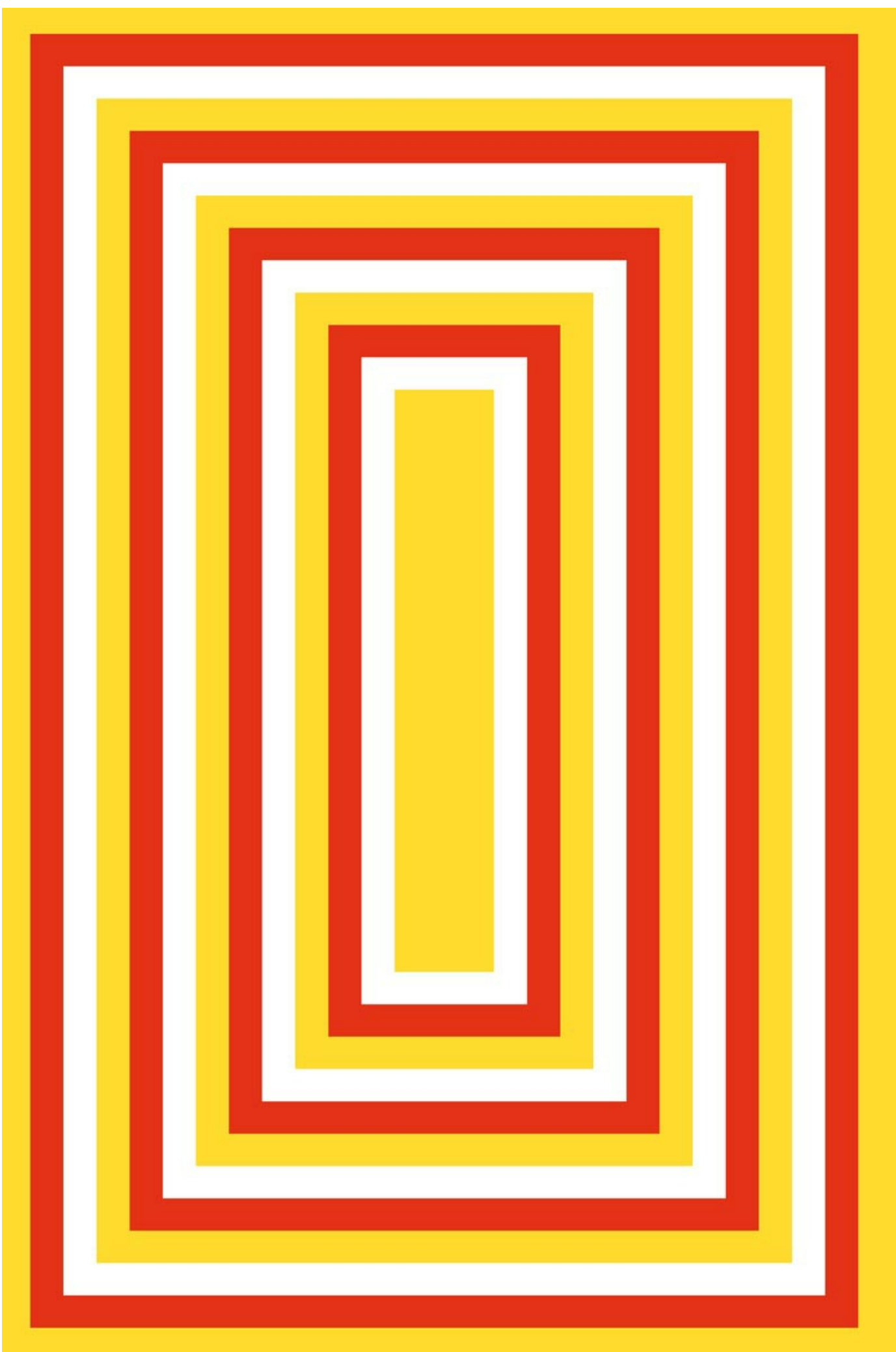
Pobyтови papieża w Katalonii przez cały dzień towarzyszyła ulewa. Najpierw w strugach deszczu witano go rano na Montserrat, katalońskiej Częstochowie. Deszcz padał też, kiedy przemierzał Barcelonę i podczas liturgii odprawianej na stadionie piłkarskim. Organizatorzy wizyty proponowali nawet skrócenie pobytu, jednak papież się nie zgodził. „Papież lubi deszcz” – miał im wtedy odpowiedzieć po hiszpańsku. Jan Paweł II oczarował mieszkańców Katalonii. „Robotnik, aktor, poeta, podróżnik, filozof, pasterz dusz” – tak nazywała go hiszpańska prasa. A obok artykułów z pobytu zamieszczała raporty dotyczące zniszczeń spowodowanych ulewą. Opady deszczu trwały jeszcze dwa dni i okazały się największymi od 1940 roku. Wezbrane rzeki pozrywały wtedy mosty i podmyły domy. Zginęło ponad dwadzieścia osób, między innymi dwie mieszkanki Girony, które wracały ze spotkania z papieżem na Montserrat. Schodząc ze szczytu Montserrat, zostały przysypane osuwającą się ziemią.

Klub nie zapomniał o tym wydarzeniu. „Papież odwiedził nas dwadzieścia osiem lat temu” – taką informację można było przeczytać na internetowej stronie Barcy 7 listopada

2010 roku. Nie była to okrągła rocznica mszy na Camp Nou, ale wtedy właśnie do Barcelony przyjechał Benedykt XVI. „Z 257 papieży tylko ci dwaj nas odwiedzili” – widniało na stronie barcelońskiego klubu piłkarskiego.

Po wizycie w 1982 roku Jan Paweł II jeszcze cztery razy odwiedził Hiszpanię, ale nie wrócił już do Katalonii. Po raz ostatni przyjechał na Półwysep Iberyjski w 2003 roku.





MARSZ MENDELSSOHA NA MURAWIE

„Polak potrafi” – przekonali się o tym pracownicy działu promocji FC Barcelona, kiedy zwróciła się do nich polska para z prośbą o pozwolenie na zorganizowanie na stadionie sesji zdjęć ślubnych. Polacy planowali się pobrać w Konsulacie i po złożeniu przysięgi małżeńskiej przyjechać na Camp Nou, czyli do miejsca, gdzie rok wcześniej się zaręczyli. Dostali zgodę klubu, a nawet pozwolenie na wejście na murawę, o wygląd, kolor i zdrowie której dba cały zastęp ogrodników.

Następnego dnia zdjęcia młodej pary w eleganckich strojach i szalikach ich ulubionego klubu można było obejrzeć w hiszpańskiej prasie i to nawet w gazetach wychodzących daleko od Katalonii. Dlatego klub szybko podchwycił pomysł młodych Polaków. Teraz na Camp Nou można urządzać nie tylko sesje zdjęciowe, ale nawet śluby i wesela. Największy stadion Europy oddaje do dyspozycji młodych par i ich gości wielkie sale konferencyjne i słynne *palco*, lożę prezydencką, z której mecze oglądają głowy państw i właściciele rywalizujących drużyn. Młodzi, jeśli tego zapragną, mogą nawet zasiąść za mikrofonami, zza których podczas konferencji prasowych na pytania dziennikarzy odpowiadają trenerzy i piłkarze. Mogą też dojechać do stadionu oficjalnym autobusem klubu, wznieść toast przy dźwiękach hymnu Barcy, a nawet zobaczyć na tablicy świetlnej nad stadionem życzenia i swoje imiona. Mogą podarować swym ślubnym gościom koszulki z barwami klubu ze specjalnym napisem okolicznościowym albo włączyć do atrakcji weselnych zwiedzanie stadionu i muzeum. Oczywiście wszystko ma swoją cenę i każdy kaprys kosztuje. Za wynajęcie największej sali na Camp Nou trzeba zapłacić trzysta tysięcy euro, a za poczęstunek – średnio sto euro od osoby. Pomysł, który podsunęła pracownikom klubu para Polaków, okazał się strzałem w dziesiątkę. Już pierwszego dnia, kiedy stosowna informacja pojawiła się na stronie internetowej klubu, zgłosiło się dwadzieścia pięć par gotowych na zawarcie związku małżeńskiego na Camp Nou. Jednym z tych, którzy przez całe życie marzyli o złożeniu przysięgi małżeńskiej w Pałacu Barcy (El Palau de Camp Nou) – jak nazywany jest potocznie stadion barcelońskiego klubu – był Senyor Enrique, mój dawny sąsiad, fanatyczny kibic tego klubu. Miał wykupione miejsce na trybunie, co kosztowało go tysiąc euro rocznie, i zapewniał, że nie opuścił w życiu ani jednego meczu ukochanej drużyny. Nawet rozgrywanego w dniu ślubu jego syna. W połowie ceremonii ojciec pana młodego zniknął i pojawił się dopiero na bankiecie po zakończonej rozgrywce – w doskonałym nastroju, bo jego drużyna wygrała.

Piłkarskie upodobania sąsiada nie najlepiej wpływały na rodzinną atmosferę. Pan Enrique bowiem wpuszczał do domu tylko „wyznawców Barcy” – jak sam określał jej kibiców. Na przykład siostra żony mogła wejść, jeśli przychodziła bez męża. Jeśli była w towarzystwie – rozmawiali na dole w barze. Jej mąż był kibicem barcelońskiego El Espanyol. A gospodarz domu – co zwykł często podkreślać – nie wpuszczał za próg

„innowierców”. Po śmierci – zgodnie z życzeniem – pan Enrique został przykryty w trumnie flagą FC Barcelony, a na jego grobie, obok imienia, wygrawerowano herb klubu. Pochowano go na barcelońskim cmentarzu.

Wkrótce jego żona będzie mogła spełnić inne życzenie męża: przenieść urnę z prochami na jego ulubione miejsce – stadion Camp Nou. Kilka lat temu grupa członków klubu zaproponowała, aby ci, którzy tego zapragną, mogli na nim spocząć na zawsze. Klub przystał na tę prośbę i w 2014 roku zdecydował o wybudowaniu cmentarza, który pomieści trzydzieści tysięcy urn. Zanim powstanie – wciąż nie zdecydowano, w którym miejscu, gdyż Barcę czeka budowa nowego stadionu – władze klubu wynajęły pięćset nisz w nekropoli Les Corts – cmentarzu sąsiadującym od północy z Camp Nou. Miejsca zostały odpowiednio ozdobione, aby nikt nie miał wątpliwości, że leżą tam kibice klubu. Wykup niszy na pół wieku kosztuje trzy tysiące euro, a na dziewięćdziesiąt dziewięć lat – dwa razy tyle.





- Kibice Barcy są nazywani *cules* z powodu wystających pup z korony pierwszego, bardzo skromnego stadionu FC Barcelony.

TRUDNE ŻYCIE KIBICA BARÇY

W Barcelonie jest prawie osiem tysięcy barów i restauracji. W poniedziałkowe poranki w każdym z nich spotykają się kibice piłki nożnej. W Barcelonie na mecze nie tylko się chodzi i nie tylko ogląda się je w telewizji. Meczami się żyje. Jeśli weszlibyśmy w poniedziałek rano do jakiegokolwiek baru, to bez wątpienia natknęlibyśmy się na grupkę dyskutujących mężczyzn. Nieważne, czy ich kluby wygrały, czy przegrały – mecz trzeba przedyskutować, pochwalić, wytknąć błędy i rzucić kilka klątw na przeciwnika. Potem – we wtorek, środę – emocje słabną, żeby znów koło czwartku nabrać mocy przed kolejnymi wyczynami drużyn. I tak co tydzień.



- Telewizyjne gwiazdy Barçy w satyrycznym sportowym programie „Cracóvia”, od lewej trener Luis Enrique, z tyłu za nim Neymar, obok Leo Messi i Luis Suárez.

Przed każdymi wyborami parlamentarnymi jednym z pytań zadawanych kandydatom jest przynależność klubowa – nie ta parlamentarna, partyjna, tylko piłkarska. Startujący muszą się dobrze zastanowić, co odpowiedzieć. Kiedy w jednym z wywiadów Albert Rivera – pochodzący z Katalonii lider prawicowych *Ciudadanos* (Obywateli) – przyznał, że kibicuje Barçie, zaczął tracić popularność w Madrycie i Andaluzji. Dlatego tydzień później, podczas kolejnej rozmowy z dziennikarzem, do FC Barcelony dla równowagi dorzucił reprezentację Hiszpanii. Lider socjalistów, Pedro Sánchez, jest kibicem Atlético Madryt. Nawet niezwykle kontrolujący swój wygląd i emocje były premier José Maria

Aznar dał się kilka razy sfotografować w szaliku Realu Madryt. Hiszpański premier Mariano Rajoy, podczas czteroletniej kadencji regularnie co rano zwykł przeglądać przygotowany dla niego przez biuro prasowe skrót wydarzeń – co podobno zabierało mu niewiele czasu, a zaraz potem – „Marcę”, wydawaną w Madrycie gazetę sportową. Tę jednak czytał bez pośpiechu, od deski do deski, z wyjątkowym zaangażowaniem zagłębiając się w artykuły o Realu Madryt. Polityk, który w obawie przed dziennikarzami potrafił się wymknąć tylnymi drzwiami z parlamentu i unikał, jak mógł, konferencji prasowych, z chęcią przyjął zaproszenie stacji radiowej, by razem z prowadzącymi program komentować na żywo mecz Realu Madryt. A kiedy podczas jednego z wywiadów zapytano premiera, co zrobiłby, gdyby jego syn stał się w przyszłości socjalistą, czyli członkiem najbardziej rywalizującej z Rajoyem partii, szczerze odpowiedział: „To jeszcze nie byłby wielki problem. Problemem byłoby dla mnie zaakceptowanie, że nie jest kibicem Realu Madryt”.





BARCELONA TAKA JEST...

Kilka lat temu przyszło mi stać w korku na jednokierunkowej uliczce. Po chwili wychyliłam się przez okno i zobaczyłam mężczyznę, który zostawił auto z włączonym silnikiem, wysiadł, chodzi w poprzek uliczki, gestykuje i coś wykrzykuje do telefonu komórkowego. Żaden kierowca na niego nie zatrafił, wszyscy cierpliwie czekali. Było jasne, że jeśli ktoś tak się zachowuje, to znaczy, że dzieje się coś ważnego i nie wolno mu przeszkadzać. Innym razem, na początku którejś jesieni, w mglisty poranek starsza pani w wążkach na głowie i długim, zielonym szlafroku spokojnie przechodziła na światłach przez Diagonal, szeroką arterię, która przecina miasto. Nie wyglądała na osobę, która czuje, że jest niestosownie ubrana. No bo czy była? Miała przecież na sobie wyjściowy szlafrok.

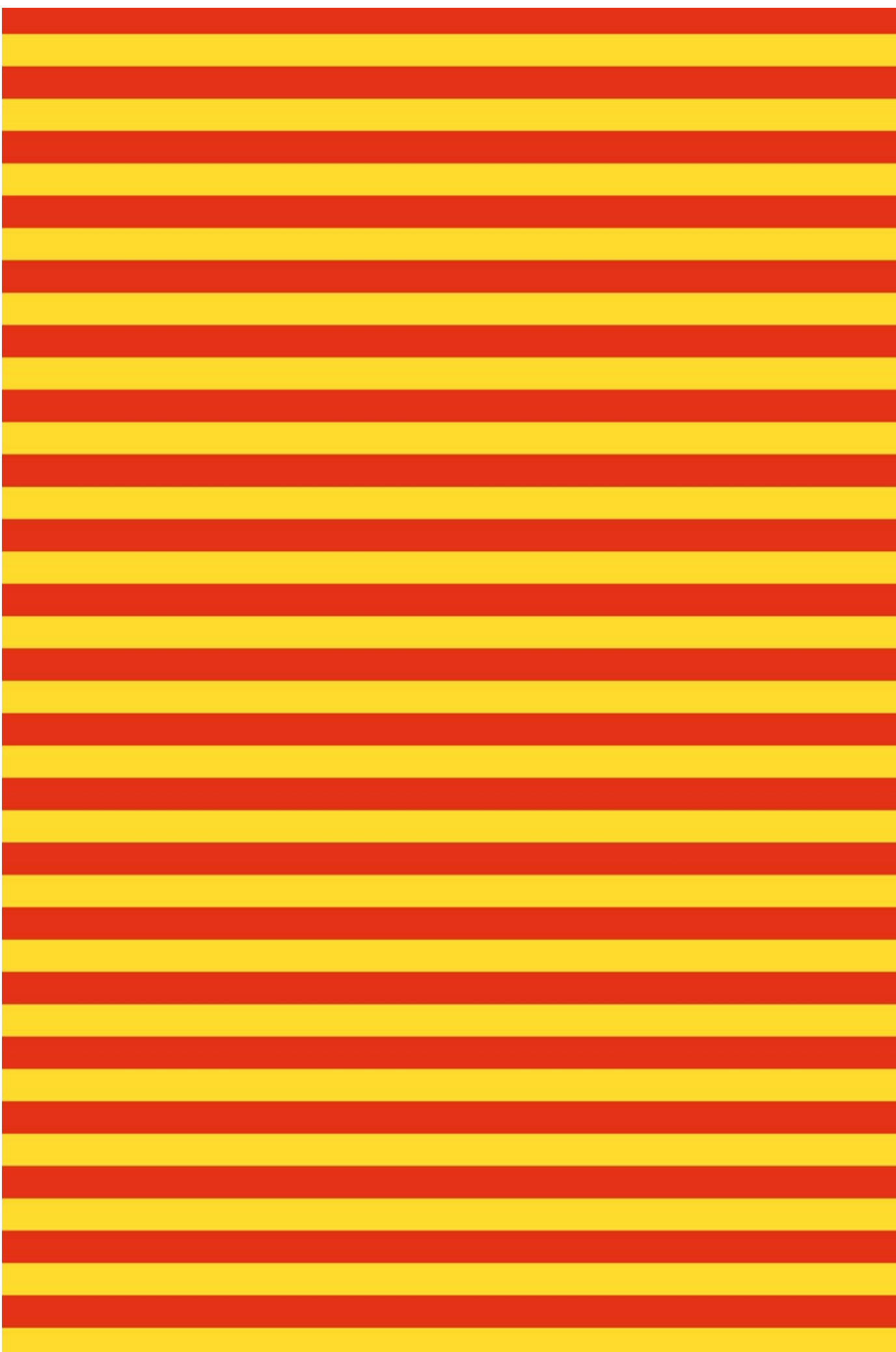
I taka właśnie jest Barcelona. Miasto, które zaakceptuje każdego bez względu na jego światopogląd, gust, wygląd, zainteresowania. Taką, jakby nad jej niewidzialnymi bramami ktoś zawiesił wielkie transparenty: wejdź i znajdź sobie miejsce. Barcelona bez osądzania przygarnia każdego. Ale w zamian tego samego oczekuje od swoich mieszkańców.

Polacy, z drugiego krańca kontynentu, ze świata, w którym reguły i dopuszczalne zachowania są sztywniej wyznaczone, dobrze się czują w Barcelonie. A w dodatku, na przestrzeni lat, żeby nie powiedzieć wieków, odcisnęli tam swój ślad. I dalej to robią. Istnieje coś, co nas łączy. Owa łączność rozgrywa się nie tylko na poziomie wzajemnej akceptacji, sięga głębiej.

Chociażby kwestia narzuconej Katalończykom przez innych polskość. Nie ciąży na nich, więcej – oni ją poważnie traktują. Uznali, że jest atutem, który w określonych sytuacjach mogą wykorzystać. Na przykład w manifestacjach pokojowych, albo kiedy czują potrzebę podkreślenia – i to grubą kreską – swojej tożsamości. Polska flaga często trzepece obok „senyery” – katalońskiej. A zdarza się, że ją zastępuje, kiedy z jakiegoś powodu nie mogą rozwiesić swojej. Mimo że oni o nas wciąż bardzo mało wiedzą, z bliżej niesprecyzowanego powodu Katalończycy potrafią przeniknąć przez polską kulturę i zachwycić się nią.

Wzajemne sympatie są prawdopodobnie pochodną wielu wydarzeń. Ale w sumie to jest najmniej ważne. Istotne jest to, że poza czasem i przestrzenią zawarliśmy porozumienie. Ponieważ nie ma w nim ani zobowiązań, ani przymusu, jest to pakt, który ma szansę przetrwać długie stulecia.





KROKI, PO KROKACH...

Dziękuję Wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki. Osobom, które podzieliły się swoim czasem, wiedzą, wspomnieniami i zdjęciami. Tym, którzy zadbali o ostateczny wygląd książki i by nie pojawiły się w niej lapsusy. Dziękuję również tym, którzy nie mieli ochoty na pomoc, bo zachęcili mnie do pójścia inną drogą.

Pozwalam sobie nie wymieniać wszystkich z nazwisk. Wymienię za to kilka instytucji. Dziękuję Konsulatowi Generalnemu RP w Barcelonie, „Minoria Absoluta” – producentowi programu „Polònia”, Archidiecezji barcelońskiej, braciom benedyktynom z klasztoru na Montserrat, teatrowi Mercat de les Flors, Assemblea Nacional Catalana-Polska, Klubowi Piłkarskiemu FC Barcelona, teatrowi Lliure, Fundacji Itaca, Fan Klubowi Barça Polska i parafii Świętego Feliksa Afrykańskiego.

SPIS FOTOGRAFII

- s. [10–11](#) fot. Aleksandra Nałęcz-Jawecka
- s. [21](#) fot. Assamblea Nacional Catalana – Polska
- s. [33](#), [96](#) fot. Enfo
- s. [48](#), [51](#), [55](#), [62](#) fot. Cristina Tozer
- s. [53](#), [136](#) fot. ze zbiorów Konsulatu Generalnego Barcelona
- s. [56–57](#), [98–99](#), [106](#), [110–111](#), [142–143](#), [200](#), [222](#) fot. Barcelona Abans
- s. [63](#) fot. Bartek Molga
- s. [68](#), [72–73](#), [75](#), [77](#), [78–79](#) fot. ze zbiorów Jurka Janiszewskiego
- s. [75](#) fot. Sebastian Szulfer, Fundacja Itaca
- s. [85](#) fot. ze zbiorów Bożeny Zaboklickiej
- s. [95](#) fot. Beata Kopyt
- s. [121](#) fot. Lite
- s. [124](#) fot. ze zbiorów Wydawnictwa Anagrama
- s. [129](#) fot. Lali Gubern
- s. [130](#), [133](#), [135](#) fot. ze zbiorów Teatre Lliure
- s. [144](#) fot. ze zbiorów Xaviera Farré
- s. [151](#) fot. Iwona Małecka-Sayol
- s. [152](#), [157](#), [163](#), [225](#) fot. ze zbiorów TV3 Televisió de Catalunya
- s. [164](#), [167](#), [168–169](#) fot. ze zbiorów opactwa Montserrat
- s. [172](#), [177](#) fot. ze zbiorów Wioletty Piotrowskiej
- s. [176](#), [185](#) fot. Ewa Wysocka
- s. [194–195](#) fot. Paweł Kołodziejki
- s. [206–207](#) fot. A.A. Artis
- s. [212](#) fot. ze zbiorów Archidiecezji barcelońskiej